Maria Białobrzeska —tego nie da się zapomnieć • **Człowiek numer dwa** • **Sosny czy kominy?** • **Upiór na łańcuchu** • **Narkomania jako znak czasu**

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 33 (1324) ROK XXVI 13 SIERPNIA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

„Dawniej, piękna dziewczyno, byłaś łupem wojny,
Branką, zdobyczną różą dla sułtana w darze,
Napastowanych włości najcenniejszym skarbem,
Unoszonym w objęciach, przed sobą, na siodle...
Dzisiaj skrzydlaty człowiek, gryf o ludzkiej twarzy,
Przelatując nad tobą, gardzi twym urokiem:
Pragnie cię tylko zabić, zabić i nic więcej,
Gdyż ma serce z metalu i płonie ku tobie,
I twoim rówieśnicom, biegnącym przez łąki,
Ogniem salwy stokrotnej i żądzą celności..."
(„Branka" — MARII PAWLIKOWSKIEJ).

3

JAK ZOSTAĆ ŚPIEWAKIEM

BOHDAN GADOMSKI

Czekając na piękne głosy

I. KONKURS WOKALNY

Konkurs wokalny dla młodych ludzi śpiewających pieśni i arie operowe (w przeważającej większości, piosenki, to nieliczne wyjątki) został zorganizowany po raz drugi przez **Akademię Muzyczną w Łodzi (Wydział Wokalno-Aktorski)** i redakcję **„Głosu Robotniczego"**.

Małgorzata Karbowiak oglądając razem ze mną przebieg konkursu nazwała go w swoim sprawozdaniu prasowym **„show młodości, pięknego śpiewu i wdzięku"**. Był to rzeczywiście show młodości i wdzięku, co do śpiewu, tym bardziej pięknego miałbym pewne zastrzeżenia, podobnie jak członkowie jury, ale fakt odkrycia kilku naprawdę dobrych głosów, takich, co to mają perspektywy na przyszłość, jest sporym sukcesem tych, którzy imprezę zorganizowali.

Jury składającemu się z pedagogów wokalistyki łódzkiej uczelni przewodniczył doc. **Adam Duliński**, dziekan Wydziału Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej w Łodzi.

Stawka, o którą walczyli młodzi śpiewacy była wysoka, bo laureaci pierwszych miejsc byli zwolnieni z egzaminów kierunkowych na pierwszy rok Wydziału Wokalno-Aktorskiego AM w Łodzi. Większość uczestników konkursu wybierała się na ten wydział, gdzie miejsc było 8, a kandydatów 35!

Na estradzie sali koncertowej Akademii Muzycznej pojawili się pierwsi uczestnicy konkursu: **Jan Zwoliński** (bas), **Anna Dzionek** (sopran) i **Wojciech Grzelak** (baryton).

Każdy z uczestników wykonywał dwa dowolnie wybrane utwory. Ci pierwsi byli niejako reprezentantami poziomu całego konkursu, bo bas — przeciętny i właściwie niezauważony, sopran choć nieduży, to bardzo świeży, dźwięczny, a jego posiadaczka miała aparycję operetkowej diwy, baryton — mocny, duży, **„najzdrowszy głos konkursu"** — jak ocenili po występie fachowcy, jego posiadacz zaprezentował aparycję amanta, o którym marzą teatry muzyczne.

Kolejne głosy były mniej lub bardziej ciekawe, ludzie mniej lub bardziej utalentowani, mniej lub bardziej urodziwi, z mniejszą lub większą tremą, lepszym lub słabszym przygotowaniem.

Uwagę zwrócił **Robert Jurczyk** ze Szczecina, dysponujący bardzo ciekawym w barwie tenorem lirycznym, którego po wykonaniu pieśni „Znasz li ten kraj" i arii „Caro mio bene", nikt nie podejrzewał, że jest na II roku Studium Piosenkarskiego w Poznaniu i ma już profesjonalne osiągnięcia w piosenkarstwie. Robert w ogóle był bardzo ciekawym przypadkiem, bo przy jego osobie i sposobie śpiewania można się zastanowić nad różnicami i podobieństwami w wokalistyce rozrywkowej i poważnej. Czy ktoś tak utalentowany w piosence może mieć równe szanse w konfrontacji z ludźmi śpiewającymi szkolnymi głosami operowymi? Jak potraktuje kogoś takiego jury? Czy w ogóle warto szukać szczęścia w wokalistyce poważnej? I właściwie po co?

10

Członkowie jury z

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Lew Lechistanu

FRAGMENT POWIEŚCI, KTÓRA UKAŻE SIĘ NIEBAWEM NAKŁADEM ŁÓDZKIEGO ODDZIAŁU KAW

Z Czerniakowa nadjechała do Wilanowa skórzana kareta. Para koni różnej maści podciągnęła podniszczone pudło w kierunku częstokołu ogradzającego dwudzielny dziedziniec przed pałacem.

Zastukały kopyta na drewnianym moście nad fosą, zaturkotały koła. Przez bramę wykutą w kamieniu pojazd wjechał na podwórze gospodarcze, zamknięte po bokach przez wozownie i odgrodzone od dziedzińca pałacowego drewnianymi sztachetami na podmurowaniu.

Z okna karety wyjrzała ascetyczna twarz księdza. Sobieski z wielkim koniuszym koronnym Matczyńskim zabawiał się igrając ze sforą psów i oswojonym niedźwiedziem na łańcuchu.

Było tajemnicą publiczną, że te włości o milę od stolicy, Błonie, Kępę i Milanów (nazwany Villa Nova), kupił od podkomorzego kaliskiego Stanisława Krzyckiego za złotych czterdzieści trzy tysiące w dobrej monecie koniuszy wielki koronny Marek Matczyński na swe imię dla króla. A uczynił to na prośbę przyjaciela, ponieważ ustawy konstytucyjne zabraniały panującym w Polsce nabywania posiadłości ziemskich, zaś liczne dobra rodowe Sobieskich — Żółkiew, Jaworów czy Olesko, jako zbyt oddalone od Warszawy nie mogły zaspokoić pragnień króla, tęskniącego do sielskich radości ziemiańskiego życia.

Ksiądz opadł na poduszki karety i zaczął poruszać ustami, wplatając w ewangeliczną osnowę modlitwy, pobożne słowa potępienia i klątwy na grzeszników rywalizujących z Kościołem o wpływ na duszę monarchy. Polityka królowej, zrażonej w ostatnich czasach do Ludwika XIV, przybierała powoli kierunek wyznaczony przez Stolicę Apostolską. Rozsądna niewiasta zostanie za to nagrodzona, ojciec jej otrzyma upragnioną purpurę kardynalską. Nato-

7

Po peronie przeszedł jęk rozpaczy. Panienka z megafonu zapodała nadzwyczaj uprzejmie, że strasznie jej przykro, ale pociąg osobowy z Zakopanego do Olsztyna zwiększył opóźnienie do dziewięćdziesięciu minut. Oszczędziła nam surowej prawdy, że... półtorej godziny...

Tłum oczekujących ma solidną zaprawę w stosunkach z koleją żelazną, wiadomo, że nie pomogą żadne interwencje, przekleństwa, ani tym bardziej demonstracje ze zwracaniem biletów do kasy. Uratować może jedynie zrezygnowany spokój, poza tym — kto ma ochotę szarpać sobie nerwy, gdy ma się przed sobą magiczne słowo — wakacje. — Jest ciepła, letnia noc, na głowę się nie leje, nawet bufet z kanapkami i pepsi otwarty, mimo że dochodzi pierwsza po północy, więc koczowisko peronowe nabiera przytulności. Atmosfera staje się niemal piknikowa. Niespieszne pogadywanie o tym dokąd się jedzie, ile kosztują wczasy. Gromadki podróżnych kupią się wokół stert plecaków, worków namiotowych, śpiworów, waliz. Tu i ówdzie widać fragment wakacyjnych utensyliów — to kołki do parawanu przeciwwiatrowego, to płetwy przytroczone do walizki, albo dmuchana wielka piłka, wymuszona przez potomka w ostatniej chwili.

Urlopowo wyondulowane mamy niemrawo uspokajają dzieci zemocjonowane podróżą i wybite ze zwykłej pory snu. Tatusiowie starają się zachować zimną krew i szczątki dobrego humoru... rany boskie!... urlop z rodziną... Z zazdrością popatrują w stronę swobodnie rozwalonych na ławkach gromadek młodzieży oblepionej zwałem plecaków i gitar. Tym to dobrze.. niczym się nie przejmują, ani brakiem forsy, ani cenami w restauracjach. Dach nad głową mają ze sobą i stanowczo odcinają się od

Exodus do wód

JOLANTA WROŃSKA

Foto: M. Zajdler

ogarniętego gorączką „wapna".

Na stosie śpiworów rozłożyła się Danka, której jest wszystko jedno dokąd pojedzie, byle dalej od swego bogobojnego domu, gdzie panuje wieczny strach o zgromadzone dobra, godne pięciu zamków w drzwiach. Danka ma ze sobą tylko dwa tysiące, od starych brać nie chciała, tyle uciułała z makulatury, resztę, w razie czego, dorobi u chłopa przy żniwach. Najbardziej to ona ma w nosie ambicje „zgredów", żeby została lekarzem, albo choć wydała się za doktora...

Obok Danki coś tam smuci na gitarze Włodeczek, lat dwadzieścia i dwójka dzieci na karku.

— *Ma człowiek* — uważasz — *dopiero dwadzieścia lat, ani nie pożył, a tu już rośnie dwójka. Pierwsza córka to był wypadek przy pracy, ożeniłem się, zacząłem pracować. Moja dziewczyna — to była „rakieta", nogi po szyję... Potem jakoś bez wielkich starań zmajstrowaliśmy tę drugą, żona chciała, żeby dać jej Beatka... Tylko wyje coś w człowieku, ani miejsca we własnym domu..., jaki on tam własny — u teściów mieszkamy, to się zerwałem na jeziora...*

Włodeczek co chwila zagląda w stos śpiworów, gdzie zawinięty po nos leży Maciuś. Maciuś jest chłopak dwumetrowy i kompletnie ucpany jakimś świństwem.

— *Nie upilnowałem szczeniaka* — boleje Włodeczek — *to mój brat, jeszcze nie ma osiemnastu. Teraz muszę drania holować całą drogę, dwa plecaki targać, bo gad ocknie się dopiero rano.. U nich w budzie co drugi ćpa, dla szpanu i z nudów...*

12

Strategiczne pozycje na peronie

Przegląd prasy

CO WŁAŚCIWIE MA URATOWAĆ POLSKĄ GOSPODARKĘ!

Jest to pytanie z gatunku tzw. dręczących — ekonomistów, publicystów, ministrów. Podejrzewam, że niektórym pytanie to po nocach spać nie daje. Z bezsenności rodzą się koncepcje. Są one dwojakiego rodzaju — jedne to proste, aż genialne w swej prostocie recepty na wyjście z kryzysu, drugie zaś — błyskotliwe, pełne erudycji i olśniewających skojarzeń analizy przyczyn tegoż kryzysu. Przy czym te ostatnie pełne są akcentów personalnych, czyli pobukiwań, jak to autor wszystko dokładnie przewidział i nawet chciał już opublikować, tylko mu nie pozwolili różni redaktorzy i urzędnicy — psy łańcuchowe ubitej z piany gierkowskiej moralno-politycznej jedności społeczeństwa...

Na tym niewyraźnym tle korzystnie wyróżnia się szkic Bronisława Łagowskiego „Gospodarka uwikłana" w „Polityce" nr 32 z 6 sierpnia 1983 roku, ponieważ Łagowski pisze, że jest i będzie źle i pisze też dlaczego, nie narzucając się nachalnie z rozwiązaniem, głosząc tylko uczciwie, że jeżeli jako społeczność nie wyciągniemy wniosków z jego tezy, to klęskę gospodarczą mamy pewną jak w banku.

Jaka zatem jest teza Łagowskiego? Otóż twierdzi on, że *„funkcjonowanie gospodarki polskiej jest psute przez nacisk błędnych wyobrażeń o tym, co jest dobre dla społeczeństwa, a co złe"*. Innymi słowy rzecz ujmując — my wszyscy, obywatele tego państwa, nie mamy zielonego pojęcia o tym, czego winniśmy chcieć, do czego dążyć. Jako ogół i każdy z osobna nie mamy świadomości co w istocie jest dla nas dobre, a co złe — co więcej: na złe mówimy dobre, a na dobre — złe. I te fałszywe mniemania, zebrane w jeden potężny głos — wolę narodu — wymagają od gospodarki czegoś, czego ona nie jest w stanie spełnić, albowiem musi funkcjonować wedle praw ekonomicznych.

Na miłość boską, panie Łagowski, jeżeli tak jest naprawdę, to z dna kryzysu nie wydobędziemy się nigdy, albowiem przebudowa — i to tak gruntowna — świadomości społecznej wymaga dziesiątków lat, jeżeli nie życia pokoleń!

Tymczasem Łagowski twierdzi, że *„w Polsce można już mówić o antyekonomizmie, jako wyraźnie zarysowanej tendencji niektórych grup społecznych i części środków masowego przekazu. Jest zdumiewające, że gospodarka podczas kryzysu jest poddawana antyekonomicznemu rygorowi ograniczającemu produkcję, zwiększającemu koszty, zmniejszającemu opłacalność. Jeżeli prasa lub inne grupy nacisku występują przeciw prywatnemu ogrodnictwu, targowiskom, rzemiosłu, można to ostatecznie rozumieć jako kontynuację walki z kapitalizmem na dostępną dziś skalę. Ale co znaczy zapobieganie zyskom przedsiębiorstw uspołecznionych?"* — zapytuje z troską Łagowski, mając tu na myśli przede wszystkim ograniczanie przez społeczne kontrole wybujałego cenotwórstwa niektórych „trójeesowców".

Łagowski chciałby widzieć gospodarkę regulowaną wyłącznie przez mechanizmy rynkowe, a więc poprzez ceny, ściślej wolną grę cen. Otóż istnieje obawa, podzielana przez wielu fachowców, nie tylko może ekonomistów co teoretyków i praktyków tzw polityki społecznej, że uruchomienie od natychmiast mechanizmu, o którym marzy Łagowski, spowodowałoby trwałe i ostateczne rozregulowanie — i tak już kruchych — więzi spajających strukturę społeczną w naszym kraju. Wolna gra sił, wyrażających się przecież w pieniądzu, jest sprzeczna z bardzo silnymi w naszym społeczeństwie poglądami równościowymi.

Nie wiem, czy ów egalitaryzm to sukces czy grzech niemal czterdziestolecia budowy realnego socjalizmu w Polsce, ale to fakt. Fakt determinujący niemal całą politykę społeczną państwa — a w niej dominujące tendencje do równomiernego rozkładania ciężarów kryzysu i ochrony (dyskusyjne jest, czy skutecznej) warstw najgorzej sytuowanych.

Może jednak Łagowski ma rację? Nie wiem, czy ma ją w ogóle, ale w jednej sprawie na pewno — z edukacją ekonomiczną ogółu obywateli jest kiepsko, tak źle, że właściwie jakakolwiek publiczna rozmowa na tematy gospodarcze jest niemożliwa bez ciągłego nawracania do spraw zupełnie podstawowych, bez tłumaczenia praw oczywistych.

Ale my tu z Łagowskim gadu, gadu, a tymczasem obywatele powoli tracą chęć do aktywnego uczestniczenia w grze ekonomicznej na szerszą, społeczną skalę.

Oto nieocenione „Veto" w numerze 32 z 7 sierpnia 1983 r., ze wstydem donosi, że:

W ŁODZI GINIE, NA UWIĄD SPOŁECZNEJ BEZINTERESOWNOŚCI, ORGANIZACJA KONSUMENTÓW!

„Veto", zdopingowane przez swą czytelniczkę z Pabianic, przedrukowuje fragmenty wywiadu, jakiego dziennikarzowi „Dziennika Łódzkiego" udzielił przewodniczący (dziś już ex) Związku Obrony Konsumentów w Łodzi (autonomicznego i niezależnego od Federacji Konsumentów) inż. Mariusz Młynarski — wywiadu pod tytułem „Gaśnie pożyteczna inicjatywa".

Młynarski powiada, że *„nikt nie rezygnuje z członkostwa, ale ludzi, na których mogę liczyć, jest coraz mniej. Dziś jest nas kilkunastu, na początku tych aktywistów było cztery, pięć razy więcej. Ludzie są niezadowoleni z efektów działania i to ich zniechęca"*.

Ale przede wszystkim chodzi o pieniądze. Organizacja nie ma z czego zapłacić czynszu za lokal (25 tys. zł rocznie), nie ma pieniędzy na niezależne badania jakościowe. Nb. w naiwności swojej łódzcy konsumenci próbowali uzyskać środki na to od... handlu! Nic dziwnego, że łódzcy dyrektorzy firm handlowych nic im nie dali; któż bowiem lubi finansować kontrolera, który nieproszony wciska się w od lat ułożone jako tako stosunki między wytwórcami a sprzedawcami.

Zawstydzone „Veto" postanawia działać w swoim stylu. Przesyła na poratowanie 6.300 złotych, ogłasza zbiórkę wśród czytelników, oferuje 10 proc. obrotów, gdyby związek zdecydował się sprzedawać „Veto" w swym lokalu. Ale przede wszystkim *„redaktor naczelny „Veto" obiecał przyjechać do Łodzi na spotkanie z sympatykami ZOK. Byłby to jak zwykle atrakcyjny wieczór — obiecał zabrać ze sobą kolekcję zdjęć z wyborów MISS NAGOŚCI, ujawnić szczegóły sprawy porno-shopu, opowiedzieć o kulisach spotkania z min. Zdzisławem Krasińskim: zwierzyć się wreszcie dlaczego przestał pełnić funkcję prezesa. Ponadto urządzona będzie aukcja tzw. zerowego numeru „Veto" dla kolekcjonerów. I jeszcze jedno: sam będzie, podczas tego wieczoru, zbierał datki do urny na czynsz dla ZOK"*.

Uff! Podajcie tylko termin — już lecę na tę hecę. Tylko jedna wątpliwość historycznej natury — przywódcy, zjednujący masy do swej polityki przy pomocy cyrkowych igrzysk na ogół kiepsko lądowali. Pewnie jednak Nałęcz-Jawecki nie będzie się tym przejmował, mając w zanadrzu całkiem nową arenę swej aktywności, zupełnie nie polegającą na konsumowaniu.

Można podejrzewać, że sferą tą będzie polityka w sensie bardziej dosłownym. Tylko, że tam czekają na nowego adepta zasadzki niejednoznaczności znacznie większe, niż te, do których przywykł gromiąc producentów, handlarzy i nieprzyjaznych mu gazetowych pismaków. Ot, takie choćby, jak ta, która przydarzyła się dwóm dziennikarzom komentującym to samo — mianowicie Kazimierzowi Koźniewskiemu i Jerzemu M. Fiedosiejewowi. Obaj odnieśli się do opublikowanego przed dwoma tygodniami w „Polityce" komentarza prof. Jana Szczepańskiego o wizycie papieża w Polsce. Obaj natrafili na marginalny, jak się wydaje, wątek w wypowiedzi profesora, którego przedmiotem jest

EWOLUCJA POLSKIEJ INTELIGENCJI OD ANTYKLERYKALIZMU W STRONĘ KOŚCIOŁA

Jerzy M. Fiedosiejew napisał: *„Już jedno z pierwszych stwierdzeń Jana Szczepańskiego budzi wątpliwości. Autor, charakteryzując towarzyszącą wizycie atmosferę, pisze, iż w międzywojennego antyklerykalizmu polskiej inteligencji w Polsce socjalistycznej w 1983 roku nie pozostało nic."* Następnie dziennikarz „Głosu Robotniczego" (tekst pt. „Na marginesie głównego tematu" zamieszczono tamże, w numerze 182 z 5 sierpnia 1983 roku) przywołując definicję encyklopedyczną klerykalizmu (przypomnijmy — zespół poglądów, dążeń i postaw życiowych zmierzających do zapewnienia Kościołowi (klerowi) wpływu na życie społeczne, polityczne kulturalne), powiada, że *„stwierdzenie Szczepańskiego musi się wydać co najmniej wątpliwe"*. Przestudiowałem uważnie cały, następujący po tym tekst i daję słowo, że żadnego argumentu na rzecz kontynuowania przez polską inteligencję postaw antyklerykalnych nie znalazłem, poza tym, że w Polsce socjalistycznej tamę klerykalizmowi postawiły normy konstytucyjne i inne, oddzielające Kościół od państwa. Wynika z tego, że Jerzy M. Fiedosiejew jest optymistą, gdy sądzi, że poza wiarą w skuteczność norm prawnych (to prawda, że skuteczność w tym przypadku jest niezachwiana), można sobie pozwolić na niepodejmowanie sporu na płaszczyźnie ideologicznej.

Nieco inaczej sądzi Koźniewski. Ani mu w głowie zakwestionować tezę prof. Szczepańskiego. Wprost przeciwnie — w felietonie „Zadanie" z cyklu „Ociosywanie mgły" w „Tu i Teraz" — nr 31 z 3 sierpnia 1983 roku pisze wyraźnie: *„Cechą charakterystyczną naszego czasu, czasu polskiego, jest przesunięcie się dużej części inteligencji z lewicy ku Kościołowi — ale znowóż bardziej jako siłe politycznej i intelektualnej niż moralnej. Poważne grupy lewicowej, bądź lewicującej, dawniej laickiej i antyklerykalnej inteligencji twórczej deklaruja swój neoficki katolicyzm. Denerwujące, nawet dla wielu kapłanów wydają się owe aż ekshibicjonistyczne akty nawrócenia zademonstrowane przez paru bardzo niedawnych ateuszy pisarzy i publicystów w „Tygodniku Powszechnym", ale są one wyrazem zjawiska autentycznego"*. (Akurat z tym autentyzmem za świętomarcińskie zrzuty i dolary to Koźniewski przesadził, ale niech mu będzie...).

Mamy tedy dwa poglądy — optymistyczny i pesymistyczny. A jak jest naprawdę ze świadomością religijną polskiej inteligencji en masse — nie tylko jednostek? Skłonny byłbym raczej przychylić się do poglądu Szczepańskiego i Koźniewskiego, niż Fiedosiejewa. A zatem przygotować się do długotrwałej konfrontacji ideologicznej.

Na gruncie władzy państwowej Kościół nie ma żadnych szans — spór potoczy się na płaszczyźnie postaw ideowych i moralności. A zwłaszcza w tej ostatniej dziedzinie Kościół jako realny autorytet moralny właściwie nie funkcjonuje, nie ma bowiem, jak słusznie zauważa Koźniewski — *„żadnego iunctim między codzienną praktyką moralną ogromnych rzesz ludzi w naszym kraju, a przyznawaniem się tych samych do związków z Kościołem. Dziesięcioro przykazań oraz inne wskazania moralne w żadnym stopniu nie powodują pracą bądź życiem codziennym obywateli"*.

Podjęcie dysputy na tej płaszczyźnie wymaga jednak przestrzegania przez państwo standardów moralnych ustanowionych na własny rachunek — przede wszystkim norm prawa. Od konstytucyjnych do norm urzędniczej przyzwoitości. Myślę, że znakomitą lekcją rozumienia prawa mogłaby być sprawa odpowiedzialności konstytucyjnej byłych członków najwyższych władz państwowych, co w opinii publicznej funkcjonuje jako pytanie

POSTAWIĆ GIERKA PRZED SĄDEM CZY NIE!

Sejmowa Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej dała na tak sformułowane pytanie odpowiedź zdecydowanie negatywną. Ale problem jest daleko szerszy. Mówi o tym w dwóch wywiadach przewodniczący tej komisji, poseł Zdzisław Czeszejko-Sochacki — dla „Prawa i Życia" („Kto ponosi odpowiedzialność konstytucyjną?" — nr 32 z 6 sierpnia 1983 roku) i dla „Tu i Teraz" („Bez rozgrzeszenia" — nr 31 z 3 sierpnia 1983 roku).

Ograniczenie wniosku komisji o pociągnięcie do odpowiedzialności konstytucyjnej tylko Piotra Jaroszewicza i Tadeusza Wrzaszczyka i stwierdzenie, że Edward Gierek, Edward Babiuch, Jan Szydlak i Tadeusz Pyka odpowiadać przed Trybunałem Stanu nie powinni, wywołało, jak twierdzi dziennikarz „Prawa i Życia", niezrozumienie, i, delikatnie mówiąc, zdziwienie.

Na co poseł Czeszejko-Sochacki odpowiada, że *„niedostateczne zrozumienie stanowiska Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej, które — trzeba podkreślić — jest jedynie propozycją pod adresem Sejmu, w dużym stopniu wynika z niedoinformowania co do roli i zakresu odpowiedzialności konstytucyjnej, a nierzadko także emocji, jakie nagromadziły się w ostatnich latach"*.

Odpowiedzialność konstytucyjna polega w istocie na odpowiedzialności za konkretne naruszenie konkretnego przepisu konstytucji lub innej ustawy, i to w związku z zajmowanym stanowiskiem państwowym.

W drugim z wywiadów dla „Tu i Teraz" poseł Czeszejko-Sochacki stwierdził, że *„w odniesieniu do Piotra Jaroszewicza i Tadeusza Wrzaszczyka komisja wskazała na naruszenie niektórych przepisów Konstytucji, związanych ze sferą planowania gospodarczego, a więc głównie artykułu 24, a także 40 i 41. (...) rząd nie realizował uchwalonego przez Sejm Narodowego Planu Społeczno-Gospodarczego, wprowadzając zadania gospodarcze nie objęte tym planem, albo wręcz konstruując sobie własny plan. Główną odpowiedzialność ponoszą za to — w przekonaniu komisji — Piotr Jaroszewicz (...) i Tadeusz Wrzaszczyk (...)"*.

Jeśli chodzi o byłych wicepremierów Tadeusza Pykę i Jana Szydlaka, *„komisja nie znalazła w materiale dowodowym faktów świadczących o zawinionym działaniu obwinionych"*. Komisja dokonała też oceny działalności Edwarda Gierka i Edwarda Babiucha wyłącznie na stanowiskach państwowych, to znaczy jako członków Rady Państwa, a Babiucha, jako premiera od kwietnia do sierpnia 1980 roku. *„Aby przypisać tym osobom delikt konstytucyjny, komisja musiałaby dysponować faktami wskazującymi na to, że (...) naruszyli przepis Konstytucji lub innej ustawy. Takiego zaś faktu komisja w ogromnym materiale dowodowym, jakim dysponowała, nie znalazła. (...) Chciałbym tu jednak zastrzec, że nasza opinia o niemożliwości prawnego ścigania E. Gierka i E. Babiucha w trybie konstytucyjnym nie rozgrzesza ich z wszelkich innych błędów, potknięć i niedociągnięć, których rozpatrzenie nie leżało w kompetencji naszej komisji"* — powiedział poseł Czeszejko-Sochacki.

I jeszcze jedno, istotne stwierdzenie przewodniczącego Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej: *„Od samego początku, gdy tylko miałem możliwość wypowiadać się publicznie na temat prac komisji i Trybunału Stanu, zawsze konsekwentnie przestrzegałem przed zbyt daleko idącymi oczekiwaniami. Chciałbym powtórzyć to jeszcze raz: odpowiedzialność konstytucyjna nie może zaspokoić doraźnych odczuć społecznych, wynikających z kryzysu, jaki nasz kraj przeżywa. (...). Myślę, że jesteśmy całkowicie w porządku w stosunku do sytuacji prawnej, jaka została stworzona. Przez długi okres czasu mówiono: »I tak nic z tego nie wyjdzie, te sprawy rozejdą się bokiem, oni będą się bali ruszyć tych ludzi i te sprawy«. Nie baliśmy się ruszyć niczego, przeprowadziliśmy postępowanie zgodnie z najbardziej uczciwą oceną faktów. (...)"*.

Mam nadzieję, że pierwsza sprawa przed Trybunałem Stanu będzie nie tyle wyrazem sprawiedliwości dziejowej, co wielką lekcją prawa dla wszystkich obywateli.

ZASTĘPCA

Minął tydzień

„CYTRONETĘ" MAMY ZA DOLARY

Jak donosi „Express Ilustrowany" (4. bm.), obfitość płynu chłodzącego o nazwie „Cytroneta" (jakże dźwięcznej i zachęcającej do picia) zawdzięczamy... dolarom, wygranym w przetargu przez Łódzkie Zakłady Piwowarskie. Za 48 tys dolarów uzyskanych z Banku Handlowego sprowadzono składniki do cytronety z RFN — do października piwowarzy namieszają z tego 14 milionów butelek. Szybki rachunek — 11 zł za butelkę — 154 mln zł, czyli jeden dolar kredytu nakręcił obrót ponad 3.200 zł. Nieźle, tylko jaki był zysk na tej operacji? W każdym razie cytroneta okazała się lepsza niż płyn występujący nie wiadomo dlaczego pod nazwą „Pepsi-coli", czy inne rozpuszczone w wodzie landryryny figurujące na rynku jako „oranżady". Chwała operatywności i odwadze ryzykowania u łódzkich piwowarów; szkoda tylko, że z równą sprawnością nie potrafią sobie poradzić ze swym firmowym płynem — piwem.

JUŻ MOŻNA SPOTKAĆ MUCHOMORA

donoszą „Wiadomości Skierniewickie" (4. bm.), przestrzegając przed zbyt bliskimi spotkaniami z tym grzybem. Zresztą głosy przestrogi rozlegają się w kraju powszechnie (nb. nie tylko przed muchomorami...). Ale gdzie tam! rodakowi żadne przestrogi, zwłaszcza z „reżimowej" prasy, nie są potrzebne — sam wie lepiej, co jeść i rząd nie będzie go pouczał. Pierwsze skutki już są — w woj. tarnobrzeskim siedmioosobowa rodzina zatruła się muchomorową zupą: dwoje dzieci zmarło, troje w szpitalu — tylko rodzicom niewiele się stało. Ale dlaczego dzieci znalazły się w szpitalu dopiero trzeciego dnia po spożyciu zupki? Na to pytanie zamieszczone w „Dzienniku Łódzkim" (5 bm.) informacja PAP nie odpowiada — a szkoda. Czyżby rodzice nic nie zauważyli...

CZAR DROBNYCH OGŁOSZEŃ

Temperaturę życia gospodarczego i przedsiębiorczości obywateli najlepiej mierzyć, uważnie studiując kolumny ogłoszeń drobnych w prasie codziennej. Prawdę tę odkryto już dawno, ale na aktualności nic nie straciła. Oto garść „pomiarów" z wkładki ogłoszeniowej „Życia Warszawy" (5 bm.). Kupuje się mniej — oczywiście bony lub *„aktualnie bony"* bez zndian — innego towaru, jakby mniej, poza maszynami różnego rodzaju i rasowymi psami modnych marek. Za to sprzedaje się więcej, jakby — nawet powóz włosie materacowe i bar „Picbło" na Puławskiej róg Ursynowskiej.

Jeszcze niedawno swe kwalifikacje i umiejętności oferowało mnóstwo ludzi, dzisiaj został *„młody, energiczny prawnik znajomość angielskiego, atrakcyjny samochód, zachodni, gotówka — przystąpi do spółki lub inne propozycje"* i nie wiadomo czy to ogłoszenie handlowe czy matrymonialne.

Za to ruch w dziedzinie lokalowej. Ambasada RFN poszukuje willi z ogrodem i dużą jadalnią, a dziennikarz francuski pilnie co najmniej pięciopokojowej willi lub mieszkania umeblowanego z telefonem. Czyżby ruch w sferach dyplomatyczno-korespondenckich? Rozczulające jest ogłoszenie kogoś, kto *„kupi malutką kawalerkę"* — kawalerki na ogół bywają malutkie, mimo reklamy. Gdzie taki ma szanse wobec siły przebicia ogłaszającego, że *„po powrocie z zagranicy kupię duże mieszkanie"* (w domyśle: za dolary only!). A ile pań z dobrych domów rzuci się na anons „potrzebna kucharka do rezydencji ambasadora". Powodzenia, czytajcie drobne ogłoszenia!

BYKI W PODRÓŻY

Wspomniane tu już „Wiadomości Skierniewickie" donoszą o fatalnej wyprawie byków z podłowickich Walewic do dalekiego Libanu. Po drodze miały przystanek na stacji PKP w Skierniewicach... A tam stanęły na bocznicy, w blaszanych wagonach, w trzydziestostopniowym upale, cały dzień. Konwojent nie mógł się kolejarzy doprosić o przesunięcie pociągu o kilkaset metrów do hydrantu, umożliwiającego podłączenie wagonów do wody i napojenie byków (nosić wodę wiadrami dla kilkudziesięciu byków, bez trudu wypijających po kilkadziesiąt litrów — to zadanie ponad siły dla jednego konwojenta). Dyżurny ruchu proszony o przesunięcie pociągu albo puszczenie go w dalszą drogę, rzucił tylko uwagę dobrze świadczącą o jego antyeksportowych, „patriotycznych" uczuciach — „jak wywożą bydło z kraju, to niech się męczy!!".

Zresztą z ludźmi nasi kolejarze postępują wcale nie lepiej jak z ładunkiem byków.

„VETO" PROTESTUJE W OBRONIE NAGUSÓW W ŁDZANIU

Do stałej rubryki tego nieocenionego pisma pt. „Naga plaża" napisał list protestacyjny prezes przepędzonych z podłódzkiego Ldzania naturystów (primo voto nudystów). Prezes Niedzielski opisuje, jak to rozwydrzeni „tekstylni" przy pomocy wideł i innych narzędzi oraz gróźb karalnych („kto pozbawia człowieka wzroku, słuchu, mowy, zdolności płodzenia...") pogonili naturystów z ustronnej plaży, którą przedtem, mimo utrudnień terenowych gęsto nawiedzali i obserwowali. (Czyżby sami sobie odebrali przyjemność? Trochę to niezgodne z naturą ludzką).

Prezes Niedzielski domaga się, aby wreszcie władze terenowe dostrzegły goły problem i wyznaczyły specjalne miejsce na plaże i strzegły ich przed nietolerancją kołtunerii. Główny golas „Veta" Marek Hauszyld, autor rubryki „Naga plaża" gorąco przyłącza się do tego protestu. I my też popieramy protest łódzkich naturystów, łącząc się z nimi w rozpaczy nad ciemnogrodem i nietolerancją oraz w poszukiwaniu nowego miejsca. Zwłaszcza chętnie przyłączylibyśmy się do jakiejś sympatycznej naturystki, może być miss nagości.

VICESEKATOR

W najbliższych numerach:

- LEW LECHISTANU — DALSZE ODCINKI NOWEJ POWIEŚCI WŁADYSŁAWA RYMKIEWICZA
- PROZA LEONA GOMOLICKIEGO
- WYWIAD Z WŁADYSŁAWEM ŻMUDĄ
- STEROWCE NA CELOWNIKU
- SYSTEM REGLAMENTACJI — SPRZEDAŻ STEROWANA!
- LUD EGIPTU ZABIŁ SWEGO FARAONA
- TRANSPORT DLA ZDROWIA
- DALSZY CIĄG SPORU O KAWĘ

Prawo prasowe dla wszystkich obywateli

Przedstawiając w pierwszym czytaniu w Sejmie rządowy projekt prawa prasowego wicepremier Mieczysław Rakowski powiedział, że wprawdzie na pierwszy rzut oka zawarte w nim treści mogą się wydawać odległe od problemów codziennego bytowania większości obywateli, to w rzeczywistości prawo prasowe reguluje bardzo ważną dla całego życia publicznego w państwie sferę, sferę dotąd nietkniętą przez normy prawne wyższego rzędu ustanowione po wojnie, w ustroju socjalistycznym.

Nie sposób temu twierdzeniu zaprzeczyć. Prawo prasowe nie będzie tylko zbiorem norm technicznych, regulujących stosunki między dziennikarzami, wydawcami, dysponentami politycznymi prasy i władzą państwową. Będzie ono przede wszystkim płaszczyzną normatywnej reglamentacji konstytucyjnego prawa do wolności słowa — a to już dotyczy wszystkich obywateli. Nie oznacza to oczywiście, że każdy obywatel będzie miał prawo realizować swą wolność słowa poprzez własny środek masowego przekazu, chociaż oczywiście ustawa i taką możliwość prawną przewiduje, naturalnie w granicach porządku prawnego w PRL.

Projekt ustawy zawiera — w art. 1 — dokładne określenie zasad wolności słowa i druku, stanowiąc jakie są zadania prasy. Otóż prasa: *„rozpowszechnia informacje i opinie będące czynnikiem właściwego rozwoju socjalistycznych stosunków społecznych oraz rozwoju nauki i kultury narodowej; urzeczywistnia zasady jawności życia publicznego i kontroli społecznej oraz ujawnia i krytykuje negatywne zjawiska życia społecznego i gospodarczego, jak również prowadzi działalność interwencyjną; umożliwia udział obywateli w konsultacjach społecznych i dyskusjach nad przygotowaniem decyzji dotyczących węzłowych problemów kraju".*

Realizacja tych celów nie będzie dziać się sama przez się — tylko dlatego, że ustawa tak stanowi. Dlatego prasę, czyli pracujących w niej dziennikarzy, wyposaża się w prawne instrumenty działania. Przede wszystkim ustawa nakłada na wszystkie instytucje państwowe oraz w pewnym zakresie na niepaństwowe, a nawet osoby fizyczne prowadzące działalność gospodarczą — obowiązek udzielania informacji dziennikarzom i redakcjom. Tak sformułowany przepis, wsparty możliwością zaskarżenia każdej odmowy tak, jak innych decyzji administracyjnych, jest niezwykle istotny dla funkcjonowania prasy. Zresztą odmowa udzielenia informacji, jeżeli odmawia osoba przez ustawę zobowiązana do jej udzielenia — czyli np. kierownik jednostki organizacyjnej, taka odmowa podlega karze grzywny.

Trudno oczywiście przeceniać skuteczność tych ustawowych rozwiązań, ale — wobec funkcjonującej dotąd zupełnej dowolności i praktycznej bezkarności ludzi ukrywających informacje przed dziennikarzami, czyli opinią publiczną — jest to znaczny postęp. Można przypuszczać, że wprowadzenie obowiązku informowania prasy jest jednym z najważniejszych postanowień zawartych w projekcie prawa prasowego. Razem z przepisami o prawie do krytyki stanowi on zasadniczą gwarancję niezakłóconej realizacji wspomnianych tu zadań prasy — czyli konstytucyjnej wolności słowa i druku.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że każdy obywatel ma prawo udzielać dziennikarzom informacji w sprawach o charakterze krytycznym — a nikt, kto takiej informacji udzielił, nie może być z tego powodu szykanowany. Ustawa przewiduje karę pozbawienia wolności do lat trzech wobec osób, które nadużywając swego stanowiska lub funkcji działają na szkodę innych z powodu krytyki prasowej. To znaczy, że każdy szef, usiłujący się na podwładnym odegrać za udzielenie informacji wykorzystanej później przez dziennikarza w publikacji krytycznej, może trafić do sądu, a potem do zakładu karnego. Tej samej karze podlegać będzie każdy, kto utrudnia lub tłumi krytykę prasową.

Jeden z przepisów ustawy określa, kto w jednostkach organizacyjnych jest zobowiązany udzielać informacji — kierownicy i ich zastępcy, rzecznicy prasowi. Nie oznacza to, że tylko oni mają wyłączność na informowanie. To znaczy, że nie mogą zabronić swym podwładnym udzielania informacji ani uniemożliwiać dziennikarzowi zbierania takich informacji czy opinii. W ten sposób winien zostać złamany monopol informacyjny kierowników, a rzecznicy prasowi przestaną pełnić de facto rolę buforów, odgradzających opinię publiczną od spraw wewnątrz różnych instytucji — buforów uniemożliwiających rzetelną kontrolę społeczną.

Jako dziennikarz z pewną praktyką nie jestem skłonny do przeceniania ozdrowieńczego wpływu tych przepisów na zagmatwane i pełne dyplomatycznych niemal niuansów stosunki prasy z instytucjami życia publicznego oraz obywatelami. W każdym razie nie sądzę, aby normalizacja mogła nastąpić w sposób magiczny — od zaraz. Wejście w życie norm ustawowych to dopiero początek długiej drogi do przezwyciężania barier informacyjnych, do pełnej jawności w życiu społecznym, do kontroli społecznej, do prawdy we wzajemnych stosunkach obywateli i władzy w państwie.

Prawo prasowe nie jest oczywiście jednostronne — nakłada też liczne obowiązki na dziennikarzy. Przede wszystkim obowiązek szczególnej staranności przy zbieraniu informacji, obowiązek sprawdzania ich zgodności z prawdą, a nadto obowiązek ochrony dóbr osobistych i interesów ludzi udzielających informacji a także innych osób, okazujących mu zaufanie. Zwłaszcza zaś ma obowiązek zachowania w tajemnicy danych umożliwiających identyfikację osób udzielających informacji, jeżeli te sobie to zastrzegły, oraz wszelkich innych informacji, których ujawnienie mogłoby naruszyć czyjeś chronione przez prawo interesy. „Odtajnienie" listów i innych materiałów zastrzeżonych do wyłącznej wiadomości redakcji może nastąpić wyłącznie na żądanie sądu lub prokuratora w związku z toczącym się postępowaniem.

Prawo prasowe zawiera nadto szereg istotnych rozwiązań prawnych dotyczących organizacji działalności prasowej, procedury w zakresie sprostowań i odpowiedzi, komunikatów i ogłoszeń urzędowych. Na szczególną uwagę zasługują jeszcze dwa rozwiązania projektu, ze względu na znaczenie dla życia publicznego w państwie. Pierwsze z nich to projekt utworzenia Rady Prasowej przy premierze. Miałaby ona charakter doradczy i opiniodawczy w sprawach dotyczących roli prasy w życiu społeczno-politycznym w kraju — jak stanowi odpowiedni artykuł projektu ustawy, a w szczególności winna być forum uzgadniającym sprzeczne dążenia i interesy w tej dziedzinie.

Drugie z rozwiązań szczególnie ważnych dotyczy linii programowych gazet i innych środków masowego przekazu. Wyłączne prawo do ich ustalania mają dysponenci prasy, a więc partii politycznych, organizacji społecznych związków zawodowych, stowarzyszeń, kościołów i związków wyznaniowych itp. Natomiast nie mają takiego prawa zespoły redakcyjne, o co niedawno toczył się spór, inspirowany przez grupę opozycyjną w łonie byłego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Co więcej: prawo do wolności sumienia i wyznania oraz swobody twórczości i krytyki nie zwalnia dziennikarza od obowiązku realizowania ustalonej przez dysponenta linii programowej. Działalność sprzeczna z tą linią jest naruszeniem obowiązku pracowniczego w myśl przepisów kodeksu pracy. W ten sposób spór został rozstrzygnięty, a zespoły redakcyjne będą się formować wedle kryteriów ideowych nie zaś towarzyskich. Rozszerzający się pluralizm życia publicznego w Polsce, a zatem postępujące różnicowanie się prasy, umożliwia to w zupełności.

T. SAS

Maria Białobrzeska —tego nie da się zapomnieć

Dokończenie ze str. 1

Jedną z uczestniczek Powstania Warszawskiego — była MARIA BIAŁOBRZESKA, pseudonim Małgorzata, odznaczona Krzyżem Walecznych i Warszawskim Krzyżem Powstańczym w 1982 r. Aktorka Teatru Nowego. Kreowała takie role jak Mezaliansowa w „Łaźni" Włodzimierza Majakowskiego, Nike Napoleonidów w „Nocy listopadowej" Stanisława Wyspiańskiego, Konstancja w „Święcie Winkelrieda" Jerzego Andrzejewskiego, Helena w „Lekkomyślnej siostrze" Perzyńskiego, Nietoperzowa w „Vatzlavie" Sławomira Mrożka oraz Babcia Eugenia w „Tangu" Sławomira Mrożka.

Wspomnienia Marii Białobrzeskiej nie są relacjami o na ogół znanych wydarzeniach i faktach z Powstania Warszawskiego. Są jej osobistymi, często intymnymi przeżyciami i odczuciami.

W ostatnich dniach lipca 1944 r. w Warszawie atmosfera stawała się coraz bardziej gorąca i napięta. Podniecona była zwłaszcza młodzież. Wyczuwało się nadciągającą burzę... Kamil Baczyński w wierszu „Uderz" pisał:

„Oddycha miasto ciemne długimi wiekami,
spowiada miasto ciemne dawnych grobów żałość;
rozrąbane żelazem, utulone snami,
nienasycone płaczem, niespełnione chwałą.
Nie wierz, jeżeli ci się ulice pogłębią
i staną się jak otchłań, w której śmierć się przyśni.
Powierz swą myśl mieniącym się nad nią gołębiom
i obłokom kwitnącym, jak gałęzie wiśni,
i chmurom, które zawsze te same, tam w górze,
jak oblicze tęsknoty wykutej w marmurze.
Nie wierz nawet pragnieniom, jeśli cię zawiodą
nad brzeg spalonych domów i każą ci skoczyć
przez wytłuczone okno do czarnych ogrodów,
ażeby na zhańbione prochy zamknąć oczy
Ale uwierz tym głazom, co z kamieni bruku
jak psy zdeptane wyją i krwią ludu chluszczą,
i rwą się niepomszczone, i o bramy tłuką.
O! niech ci one będą jako słowa ustom,
niech ci wydrapią czułość z wzroku i krew z rany,
abyś kochając płomień sam był pokochany.
O, pij, pij te ciemności z zawalonych ruder,
przyjmuj z siebie to miasto gromów, które biją,
tych Kilińskich, Okrzejów jak oskardy trudu,
a kiedy runą w bruku — niech w tobie ożyją.
Stań się krzywdą i zemstą, miłością i ludem —
o, chwyć za miecz historii i uderz! I uderz!"

1 sierpnia 1944 r. Maria Białobrzeska wyszła wcześnie z pracy, by — jak umówiła się z matką — powrócić jeszcze za dnia do domu:

„Była właśnie godzina 4 po południu, kiedy wsiadłam na Marszałkowskiej przy Śniadeckich, chyba do osiemnastki i w pewnym momencie, kiedy tramwaj przejeżdżał przez skrzyżowanie Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi, zaczęła się kanonada. Konduktor, młody, przystojny chłopak, zawołał:

— Proszę przysiąść do podłogi!

Tramwaj ruszył trochę dalej. Stanął po chwili przy ulicy Widok. W tym momencie konduktor krzyknął:

— Proszę wysiadać! Widzę, że konduktor ma opaskę czerwono-białą na ramieniu. Wysiadł razem z nami i przeprowadził nas przez dom na tyły gmachu „Palladium", gdzie znajdowały się schrony przeciwlotnicze. Był to jakiś skład mebli. Konduktorem był porucznik Andrzej, w cywilu Stanisław Radkiewicz. Dziś jest inżynierem. Poprosiłam go o przydzielenie do plutonu saperów przy batalionie im. Jana Kilińskiego 8 kompanii. Był to tak zwany samodzielny 7 pluton saperów pod kierownictwem Andrzeja. Byłam w tym plutonie początkowo jedyną kobietą. Potem doszły jeszcze dwie inne. Cóż ja mogłam robić w plutonie saperów? Na początku moja praca ograniczała się do tego, że pisałam rozkazy i roznosiłam je. Ponieważ nasz pluton budował między innymi barykady, a głównie słynną w Alejach Jerozolimskich, więc całe noce spędzałam na nich, donosząc powstańcom żywność i broń, a w dzień pomagając w kuchni plutonu.

Moje czynności polegały nie tyle na walce, czynili to znacznie lepiej ode mnie mężczyźni, ile na dostarczaniu żywności i broni. Oczywistą, że to łączyło się z ogromnym niebezpieczeństwem, bo nieść kocioł z zupą przez ulicę Marszałkowską, pod ostrzałem z jednej strony z Ogrodu Saskiego, bo tam było gniazdo karabinów maszynowych i jednocześnie z drugiej z „Polonii", było niesłychanie ryzykowne.

Trafiłam na moment, kiedy zdobyto PASTĘ. Było to wrażenie niezapomniane. PASTA była cała w ogniu. Wychodzili z niej hitlerowcy. Byli to już nasi jeńcy, przeważnie esesmani. Przy ulicy Zielonej pod PASTĄ stał tłum żołnierzy i ludności cywilnej. Jest takie słynne zdjęcie spod PASTY, kiedy właśnie nasi prowadzą Niemców z podniesionymi do góry rękami. Na tym zdjęciu jest mój bezpośredni dowódca, kroczący na czele konwoju jeńców."

Inny fragment wspomnień Marii Białobrzeskiej:

„Głęboko wryła mi się w pamięć scena, która miała miejsce na Marszałkowskiej. Któregoś dnia nasz pluton miał uderzyć na Ogród Saski. Przed takim uderzeniem było organizowane coś w rodzaju — powiedzmy — kilkugodzinnej czy nawet dobowej kwatery w niedalekiej odległości od Ogrodu Saskiego. Na Marszałkowskiej niedaleko Ogrodu był lokal rozrywkowy. Nie pamiętam już dzisiaj, jak się nazywał. W każdym razie był to lokal na piętrze z czerwonymi kanapami, z dużym parkietem, ogromnymi oknami itd. Otrzymałam rozkaz udania się do tego lokalu i doręczenia żywności i broni znajdującym się tam powstańcom. Najtrudniej właśnie było przejść od nas z ulicy Złotej przez Zgodę, potem przez barykady koło ulicy Sienkiewicza, albo trochę dalej. Tam rzeczywiście ciężko było przejść pod barykadą, która była bardzo prowizoryczna. To nie była taka barykada jak w Alejach Ujazdowskich. To była barykada ustawiona na przewróconym tramwaju.

Jakoś dobrnęliśmy. Było popołudnie, może 5 lub 6. Grupa młodych ludzi rozłożona na klubowych kanapach, spiesznie posiła się. Na parkiecie widać porzucone w nieładzie instrumenty muzyczne. Cisza, spokój. I w pewnym momencie zaczyna się nalot i bombardowanie. Równocześnie następuje silny ostrzał z broni maszynowej z Ogrodu Saskiego. I zaczyna się istne piekło. Robi to wrażenie niesamowite. Nie możemy nic zrobić, bo czekamy na rozkaz. Chłopcy mają włączyć się do akcji dopiero w godzinach nocnych.

W tym momencie, gdy się zaczyna ta straszna kanonada, kiedy od kul szyby z trzaskiem lecą, jeden z powstańców siada do fortepianu i zaczyna grać walca. Oprócz mnie były jeszcze trzy inne koleżanki. Zaczynamy wszyscy tańczyć. Klawisze instrumentu aż trzeszczą pod gwałtownymi uderzeniami grającego. Było to coś niesamowitego, trudnego do opisania. Garstka szaleńców — bo tak nazwać nas można było — wśród wybuchu bomb i trzasku kul — tańczyła do upadłego, bez opamiętania. Gdybym to teraz zobaczyła na jakimś filmie, powiedziałabym: — O, jakże to zręcznie przemyślany chwyt reżyserski. Tymczasem ten taniec na parkiecie, po szkle rozbitych od pocisków okien, w momencie, kiedy każda sekunda groziła śmiercią, był czymś, nie wiem, trudno było mi powiedzieć: prowokacją czy też szalonym, bezmyślnym wyzywaniem śmierci. To był mój pierwszy od lat pięciu taniec. Moje pokolenie, przynajmniej grupa ludzi, w której się obracałam, przyrzekła sobie, że do końca wojny nie zatańczy nigdy. To był mój pierwszy od 1939 r. taniec. Mógł być i ostatni. Los był jednak dla mnie łaskawy. Ocalałam i przetrwałam okres wojny".

Państwo Białobrzescy mieszkali w Warszawie. Matka na Pradze a ojciec przy ulicy Śniadeckich. Od kilku tygodni Maria Białobrzeska nie wiedziała co się z nimi dzieje. Gdy dowiedziała się, iż ojciec zachorował, postanowiła przenieść się bliżej ulicy Śniadeckich. Dowódca jednostki zgodził się i skierował ją do szpitala Maltańskiego, który w międzyczasie został przeniesiony ze Starówki właśnie na ulicę Śniadeckich. Szpital ten mieścił się w budynku dawnego gimnazjum mechanicznego. Pracowała w administracji szpitala, a równocześnie była w dalszym ciągu łącznikiem oddziałów powstańczych, które się tu znajdowały. Z pobytu w szpitalu zachowała szczególnie jedno wspomnienie:

„Otóż w okresie, kiedy byłam właśnie w tym szpitalu, zajęłam się akcją zbierania żywności oraz płótna, pościeli wśród ludności cywilnej. Wiele domów było jeszcze całych, nieuszkodzonych. Moja inicjatywa polegała na tym, że udawałam się do mieszkań, okazywałam zaświadczenie władz powstańczych i w ich imieniu prosiłam o dary dla powstańców. Oczywiście ludzie dawali bez żadnych zastrzeżeń. Kto co miał, to dawał. Głównie prosiłam o prześcieradła, poduszki i płótna na bandaże dla rannych.

Któregoś dnia wchodzę do jakiegoś mieszkania przy ulicy Lwowskiej. Kobieta, dosyć elegancko ubrana jak na ówczesne warunki, otworzyła drzwi. Weszłam do przedpokoju. Przedstawiam się i proszę: — Czy pani nie byłaby łaskawa ofiarować nam trochę płótna na bandaże. A ta jak nie wrzaśnie na nas.

— Jakim prawem mi tu wchodzicie i zanieczyszczacie podłogę? Tyle godzin się namęczyłam, nim ją doprowadziłam do jako takiego wyglądu! O Boże! Co za ludzie!

— Cofnęłam się wraz z koleżankami. W pierwszej chwili zaniemówiłam. Przyszłam do siebie i wygarnęłam jej co myślę o niej.

— Proszę pani! — powiedziałam. — Obok pani domu, znajduje się zburzona od kul i pocisków kamienica. Życzymy, aby pani w tym domu utrzymała się jak najdłużej. Ale nikt z nas nie wie, jak długo utrzyma się ten dom. Być może, że za godzinę lub dwie trzy podzieli los kamienicy. Czy warto troszczyć się o tak błahą rzecz, jaką jest czysta podłoga? Raczej wszystko robić, aby ocalić samego siebie! Życie ważniejsze, niż podłoga i dom.

Paniusia się zmitygowała i przeprosiła za nietakt. Dała trochę bielizny i płótna. Wtedy potraktowałam ją jak zdrajcę, odszczepieńca. Dziś skłonna jestem zrozumieć jej troskę o czystość mieszkania. To była z jej strony samoobrona przed następstwami wojny. Działała na przekór niebezpieczeństwu, chciała za wszelką cenę utrzymać normalny tryb życia. Odpędzała od siebie myśl, że spotkać ją może śmierć, zagłada wszystkiego, co przez wiele lat gromadziła. Czy nie można by nazwać takiego postępowania pewnego rodzaju bohaterstwem".

Zbigniew Jasiński w wierszu „Żądamy amunicji" pisał:

„Tu zęby mamy wilcze, a czapki na bakier,
Tu u nas nikt nie płacze w walczącej Warszawie:
Tu się Prusakom siada na karkach okrakiem
I wrogów gołą pięścią za gardło się dławi.
A wy tam wciąż śpiewacie, że z kurzem krwi bratniej
Że w dymie pożarów niszczeje Warszawa,
A my tu nagą piersią na strzały armatnie,
Na wasz podziw, na śpiew i na wasze brawa.
Czemu żałosny chorał śpiewacie wciąż w Londynie,
gdy tu nadeszło wreszcie oczekiwane święto?
U boku swoich chłopców walczą i dziewczęta,
I małe dzieci walczą, i krew ta dumnie płynie.
Hallo!... Tu serce Polski!... Tu mówi Warszawa!...
Niech pogrzebowe śpiewy wyrzucą z audycji!
Nam ducha starczy dla nas i starczy go dla was!
Oklasków też nie trzeba!
Żądamy amunicji!"

Były to już ostatnie dni września 1944 r.:

„Powstanie się kończy. W sierpniu mieliśmy jeszcze żywność, nie odczuwaliśmy głodu. Natomiast to, co działo się we wrześniu, było już okropne. Brak żywności, wyprawy naszych chłopców na pola mokotowskie po ziemniaki i pomidory, za które płacili często życiem, wyprawy po wodę, gdzie stało się godzinami i gdzie ludzie padali od kul, wszystko to stwarzało sytuację nie do zniesienia. Byliśmy już udręczeni okropnościami wojny. Niemcy nawoływali do opuszczenia Warszawy, zapewniając obłudnie bezpieczeństwo i wolność. Nie wszyscy jednak opuszczali swoje miejsca. Wychodzili ci, którzy już naprawdę nie mieli z czego żyć.

W chwili ogłoszenia kapitulacji szpital z rannymi został zlikwidowany. Trupy i rannych znosiliśmy na jeden centralny punkt, tu, gdzie dzisiaj znajduje się dworzec Śródmieście. W tym miejscu, gdzie dziś stoi Pałac Kultury, rozciągała się ogromna przestrzeń. Tam układaliśmy rannych z całego Śródmieścia. Tam czekały karetki sanitarne, które przewoziły rannych. Ich transport powiedzmy z ulicy Śniadeckich poprzez ulicę Poznańską na ten właśnie duży plac, dziś wydaje się rzeczą łatwą, ale wtedy strasznie ciężko było po gruzach i barykadach przenosić ludzi.

Z chwilą, kiedy szpital został opróżniony, pozostało nas 11 ludzi — lekarz i sanitariusze. Przerażeni potwornym widokiem zniszczenia i zupełnej pustki w mieście, postanowiliśmy opuścić szpital i każdy z nas na własną rękę udał się tam, gdzie tętni życie ludzkie. Próbowałam odwiedzić dom moich rodziców, ale nie znalazłam nikogo. Przerażona widokiem pustych i opustoszałych pokoi oraz zniszczonych mebli uciekłam".

Po wielu perypetiach Maria Białobrzeska dostała się do Kielc, gdzie odnalazła ojca. Później oboje — jak wielu warszawiaków — udali się do Krakowa.

„Może posłyszysz, może gdzie wyczytasz,
może ci ludzie powtórzą te słowa:
Jesteśmy żywi, mieszkamy w Krakowie,
Warszawy nie ma — matka Twoja zdrowa.
Polska jest inna, przeszłość leży w grobie,
Niewiele mógłbym donieść Ci o sobie.
Twój list ostatni nie do nas pisany,
chciał od nas prawdy, oto prawda naga:
Nie mamy domu, ja nie mam rodziców.
Wiemy jak w polu deszcz jesienny smaga.
Wyszłyśmy stamtąd z plecakiem na grzbiecie.
Nikt nas nie zdziwi na tym bożym świecie.
Jak Twoje zdrowie? Czy ból ustał w nodze?
Twą fotografię trzymam na biurku.
Znaczki pocztowe Twoje ocalały.
Wszystko spłonęło, jest nas troje. Jurku,
Mówię od siebie i od Twojej mamy.
Żegnaj. Czekamy. Może doczekamy"
(„List do przyjaciela" — J. Wołoszynowskiego).

Zanotował: FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Zagadka lotu Rudolfa Hessa do Anglii

1

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Człowiek numer dwa

W 1953 roku, kiedy w berlińskim więzieniu Spandau wartę objął oddział żołnierzy brytyjskich, oficer zapytał:

— Czy wiecie, kogo tu będziecie pilnowali?

Żołnierze milczeli.

Oficer wypisał nazwiska więźniów na tablicy. Nazwisko: RUDOLF HESS — dwukrotnie podkreślił.

— Może wiecie, kim był ten człowiek?

Żołnierze nadal milczeli. Po chwili znalazł się jednak odważny i podniósł rękę.

— Spekulant, sir? — raczej zapytał niż stwierdził.

Fakt ten skomentował Jack Fishman w książce o więzieniu Spandau. Napisał on:

„Żaden z tych żołnierzy, dzieci tej wojny, którzy wychowali się w czasie jej trwania, nigdy niczego o tych ludziach nie słyszał, ani nie znał powodów, dla których zostali osadzeni w Spandau".

Przypomnijmy sobie kilka faktów: wojna skończyła się 9 maja 1945 roku. A więc w 1953 roku minęło zaledwie 8 lat od jej zakończenia. Jeśli założymy, że żołnierze brytyjscy z 1953 roku mieli po 21 lat, to w chwili zakończenia wojny mieli po 13 lat. Cały okres ich edukacji wypadł więc na czas trwania proceu norymberskiego, demaskowania zbrodni faszystowskich, ujawniania przestępstw faszyzmu. I oni nie wiedzieli nic o roli, jaką w ruchu faszystowskim odegrał Rudolf Hess. Co wobec tego mówić o dzisiejszych młodych ludziach, w 30 lat później, a w 38 lat po zakończeniu drugiej wojny światowej.

Marian Podkowiński w wydanej w 1976 roku (wydanie drugie) książce pt. „W kręgu Hitlera" pisze tak na temat wiadomości młodzieży w RFN o Rudolfie Hessie:

W „RFN młodzi czytelnicy nie wiedzą o tym, że Hess był prawą ręką Hitlera, że uprawiał boski kult „führera", był autorem powiedzenia, że „führer nigdy się nie myli", że jego podpis figuruje pod ustawodawstwem norymberskim, które było wyrokiem śmierci dla setek tysięcy niewinnych ludzi..."

A co na ten temat wiedzą w 1983 roku młodzi Polacy?

KIM BYŁ RUDOLF HESS?

Urodził się 26 kwietnia 1894 roku w Aleksandrii w Egipcie w rodzinie niemieckiego handlowca. Ojciec pragnął, aby jego syn, podobnie jak i on został handlowcem. Rudolf Hess uczył się najpierw w niemieckiej szkole w Aleksandrii, a także w domu. W 1906 roku został wysłany do ewangelickiej szkoły w Bad Godesberg. W 1911 — mając już 17 lat — wstąpił do szkoły handlowej w Szwajcarii. Szkołę tę ukończył z dobrym wynikiem, ale wcale nie miał zamiaru zajmować się handlem. Chociaż jeszcze przez rok chodził do specjalnej szkoły handlowej w Hamburgu.

W 1914 roku, po wybuchu pierwszej wojny światowej, nadarzyła się okazja wyłamania się z narzuconego przez ojca programu. Zgłosił się jako ochotnik do 16 bawarskiego pułku rezerwowego piechoty, w którym również jako ochotnik służył Adolf Hitler. Szybko został porucznikiem i wkrótce przeniesiono go do lotnictwa. Okazało się, że odkrył w sobie pasję do latania.

Po zakończonej wojnie rozpoczą studia w Uniwersytecie Monachijskim. Studiował historię, ekonomię i nauki polityczne. Zetknął się z prof. Karlem Haushoferem — geopolitykiem, zajmującym się wpływem położenia geograficznego na politykę państwa. I ta nauka i znajomość z prof. Karlem Haushoferem wywarły niebagatelny wpływ na losy życiowe Rudolfa Hessa.

Decydującym jednak momentem w jego życiu było spotkanie w jednej z bawarskich piwiarni w 1920 roku Adolfa Hitlera. Rudolf Hess wysłuchał tam jego przemówienia, zachwycił się zarówno mówcą, jak i programem przez niego prezentowanym i wstąpił do partii nazistowskiej. Wkrótce jego losy ściśle związały się z losami wodza hitlerowców. *„Na Hitlera* — pisze Marian Podkowiński — *przeniósł wtedy całe swoje oddanie i wiarę, i odtąd szedł za nim z iście psią wiernością".*

9 listopada 1923 roku razem z Adolfem Hitlerem brał udział w monachijskim puczu. Razem z nim stanął też przed sądem i został skazany na 18 miesięcy więzienia. Adolf Hitler otrzymał wówczas 5 lat więzienia. Karę odbywali obaj w więzieniu w Landsbergu, gdzie Adolf Hitler rozpoczął pisanie „Mein Kampf".

„Od lipca 1924 roku — pisze Marian Podkowiński — *Hitler zaczął dyktować Rudolfowi Hessowi swoje pamiętniki. Był to monolog gaduły. A w gruncie rzeczy zlepek wszystkich szowinistycznych, maniakalnych i antysemickich poglądów i myśli, jakie Hitler przeczytał lub przyswoił sobie w latach wojny i po wojnie. „Jeśli wierzyć pastorowi Bernhardowi Stempfle* — cytuje M. Podkowiński opinię Ottona Strassera, jednego ze współtwórców partii nazistowskiej — *który dwukrotnie przejrzał maszynopis „Mein Kampf", tylko jeden rozdział pozostał w tej książce bez poważnych zmian i korektur adiustatora: rozdział o propagandzie... Duchowny ten* — pisze dalej Otto Strasser - *wydawca gazety „Miesbacher Anzeiger", miesiącami pracował nad uporządkowaniem bezładnych myśli i poprawą okropnego stylu Hitlera. Hitler nigdy mu nie wybaczył, że przy adiustacji jego pracy Stempfle dowiedział się o ubóstwie myślowym autora. Kazał go rozstrzelać w nocy 30 czerwca 1934 roku".*

Pierwotnie tytuł tego, co Adolf Hitler dyktował Rudolfowi Hessowi brzmiał: *Cztery i pół roku walki z kłamstwami, głupotą i tchórzostwem".* Max Amann — późniejszy wydawca książki zredukował ten tytuł do dwóch słów: Moja walka" - „Mein Kampf".

Pod koniec 1924 roku obaj przywódcy NSDAP znaleźli się na wolności. Wtedy to Rudolf Hess został prywatnym sekretarzem Adolfa Hitlera. A w rzeczywistości czymś więcej niż prywatnym sekretarzem. Był bowiem jednocześnie jego asystentem i kierowcą. Zarabiał miesięcznie 500 marek. Oficjalnie osobistym adiutantem Adolfa Hitlera został mianowany 20 lipca 1929 roku. Powoli stał się jego cieniem, drugą osobą po wodzu. W 1931 roku przejął kierownictwo Centralnej komisji Politycznej NSDAP, a to oznaczało w praktyce kierowanie parlamentarną frakcją nazistowską oraz wpływ na strategię partyjną, a więc na politykę partii nazistowskiej. 21 kwietnia 1933 roku został oficjalnym zastępcą Adolfa Hitlera do kierowania NSDAP. Range tego awansu można zruzmieć, pamiętając, że od 30 stycznia 1933 roku Adolf Hitler jest kanclerzem Niemiec.

W akcie oskarżenia przedstawionym Trybunałowi Norymberskiemu wymienia się następujące funkcje Rudolfa Hessa:

„...zastępca führera, minister Rzeszy bez teki, poseł do Reichstagu, członek Rady Ministrów Obrony Rzeszy, członek Tajnej Rady Gabinetowej, drugi zastępca führera po oskarżonym Göringu, generał SS i generał SA..."

Rudolf Hess ma dziś 89 lat, a przed kilku laty zapytany przez Eugene'a K. Birda — byłego komendanta amerykańskiego więzienia w Spandau, pułkownika armii amerykańskiej, autora książki „Hess" wydanej w Monachium w 1974 roku — czy gdyby ponownie mógł wybierać swoją drogę życiową, postąpiłby tak samo, powiedział:

— *„Poszedłbym tą samą drogą i skończyłbym tutaj w Spandau. Poleciałbym z pewnością do Szkocji. Jak pan wie, mam swoje przekonania i istnieje tylko jedna droga ich uzewnętrznienia. Wierzyłem w to, co robiłem... Moim szczerym życzeniem było przywrócić Niemcom ich dawną wielkość, którą osiągnęły przed pierwszą wojną światową. Przed traktatem wersalskim, który był błędem. Chciałem przywrócić Niemcom ich dawną chwałę i dawną rangę w świecie. O tym myślałem, kiedy w roku 1923 jako młody człowiek zacząłem działać w polityce".*

Przy okazji ciekawostka: Rudolf Hess zwierzył się E. K. Birdowi, że *„...tylko czterech ludzi było z Hitlerem na ty: Ernst Röhm, Julius Streicher, Christian Weber i Herman Esser. I oczywiście — Ewa Braun. Zresztą zbytnia poufałość z Hitlerem nie była rzeczą bezpieczną. Wiemy wszyscy, co stało się z Röhmem".*

Wyrok Międzynarodowego Trybunału Wojskowego ogłoszony 30 września i 1 października 1946 roku w Norymberdze uznał Rudolfa Hessa winnym następujących zbrodni:

„Zbrodnie przeciw pokojowi: Jako zastępca führera Hess był czołową osobistością partii i czynnie popierał przygotowania do wojny. Również gdy w latach 1936—1937 Hess wygłaszał przemówienia, w których wyrażał pragnienie zachowania pokoju, musiał wiedzieć lepiej niż inni oskarżeni, jak niezłomna była decyzja Hitlera co do zrealizowania żywionych przezeń ambitnych zamiarów. Hess uczestniczył w dokonaniu agresji niemieckiej na Austrię, Czechosłowację i Polskę. Musiał wiedzieć o agresywnych planach Hitlera od chwili ich powstania. Hess odleciał do Anglii w dziesięć dni po ustaleniu dokładnej daty napaści na Związek Radziecki. W czasie swych rozmów przeprowadzonych po przybyciu do Anglii Hess usprawiedliwiał niemieckie działania agresywne.

Zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciw ludzkości: Są dowody świadczące, że Hess uczestniczył w wydawaniu rozkazów związanych z popełnianiem zbrodni wojenych i że mógł wiedzieć o przestępstwach dokonywanych na Wschodzie. Nie wystarczą one jednak, by można na ich podstawie uznać go winnym popełnienia tych czynów. Trybunał uważa, iż nic nie wskazuje na to, że Hess nie był zupełnie zdrów na umyśle w okresie popełniania zarzucanych mu czynów."

CO ROBIŁ ZASTĘPCA?

Rudolf Hess — zastępca Adolfa Hitlera — zajmując się sprawami partii miał ogromny wpływ na sytuację polityczną Trzeciej Rzeszy, a po przyłączeniu Austrii i Czech również i na sytuację wewnętrzną tych krajów. 27 kwietnia 1941 roku — a więc zaledwie na kilka dni przed jego lotem do Anglii — w „Nationalzeitung" ukazał się artykuł, w którym tak przedstawiono rolę Rudolfa Hessa w Trzeciej Rzeszy:

„Zakres jego pracy i działalności jest niezwykle wielostronny i rozległy, że trudno go ująć w kilku zaledwie słowach. Nieliczni tylko wiedzą, że wiele zarządzeń naszego kierownictwa państwowego i partyjnego, także w dziedzinie gospodarki wojennej, jest wynikiem osobistych inicjatyw zastępcy führera".

W Norymberdze wyliczono te dokumenty, na których widniał podpis Rudolfa Hessa. Zrobił to oskarżyciel brytyjski W. Griffith-Jones. Fragmenty jego przemówienia przytaczają Joe Heydecker i Johannes Leeb w książce „Trzecia Rzesza w świetle Norymbergi". I tak podpis Rudolfa Hessa widnieje na następujących dokumentach:

— na zarządzeniu ustanawiającym służbę bezpieczeństwa (SD) i raichsführera SS jedynym wywiadem politycznym i kontrwywiadem partii, co stało się 9 czerwca 1934 roku;

— na decyzji 14 grudnia 1934 roku, która SD podporządkowała organizacyjnie SS;

— *na „ustawie w sprawie zdradzieckich napaści na państwo i partię"* z 20 grudnia 1934 roku, na podstawie której można było karać ludzi, jeśli uznano, że ich wypowiedzi wskazują na wrogi stosunek do hitlerowskiego porządku; Rudolf Hess był też autorem przepisów wykonawczych do tej ustawy, co w praktyce spowodowało, że tysiące Niemców znalazło się w obozach koncentracyjnych;

— na ustawie o ochronie krwi i czci z 15 września 1935 roku, która to ustawa stanowiła jedną ze słynnych ustaw norymberskich;

— na ustawie z 14 listopada 1935 roku odbierając Żydom prawo do głosowania i piastowania urzędów publicznych;

— na zarządzeniu z 20 maja 1938 roku rozciągającym ustawy norymberskie na obszar Austrii.

Rudolf Hess podpisał też ustawę wcielającą Wolne Miasto Gdańsk do Rzeszy.

Był autorem projektu karania chłostą Polaków i Żydów. Brytyjski oskarżyciel W. Griffith-Jones przedstawił w Norymberdze pismo sekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości Rzeszy — Franza Schlegelbergera do szefa Kancelarii Rzeszy — Heinricha Lammersa. Oto fragment tego pisma:

„Dowiedziawszy się o woli führera, że w dziedzinie karania Polacy, a także chyba Żydzi, mają być traktowani inaczej niż Niemcy, sporządziłem załączony projekt. Uwzględnia on w znacznym stopniu impulsy pochodzące od zastępcy führera.

Punkt 1. ustęp 3 zawiera ogólne stwierdzenie, że w przyszłości za każde karygodne uchybienie przeciw niemczyźnie, którego dopuści się Polak lub Żyd z terytoriów wschodnich, może być nałożona kara każdego rodzaju. Zgodnie z poglądem zastępcy führera już dotychczas wychodziłem z założenia, że Polak mniej dotkliwie odczuwa wymierzoną mu karę zwykłego pozbawienia wolności. Dlatego już w drodze administracyjnej zabiegałem o to, żeby Polacy i Żydzi byli izolowani od pozostałych więźniów i żeby wykonanie kary w stosunku do nich miało formę surowszą. Punkt trzeci idzie jeszcze krok dalej i w miejsce kary więzienia lub ciężkiego więzienia stawia inne, nowego rodzaju kary pozbawienia wolności, mianowicie obóz karny i obostrzony obóz karny. Przy odbywaniu tych rodzajów kar więźniowie powinni przebywać poza zakładami karnymi i zajmować się pracą ciężką i najcięższą".

A więc inicjatywa Rudolfa Hessa przyczyniła się do wysyłania Polaków i Żydów do obozów koncentracyjnych, tak jak poprzednio z jego woli i na mocy ustanowionych przez niego praw zsyłano tam nieprawomyślnych i niewygodnych politycznie Niemców. Dlaczego jednak nie zdecydowano się na karanie Polaków i Żydów chłostą? Odpowiada na to Franz Schlegelberger:

„W projekcie nie uwzględniłem, podanego przez zastępcę führera pod rozwagę, wprowadzenia kary chłosty. Nie mogę się zgodzić na tego rodzaju karę dlatego gdyż, moim zdaniem, wymierzanie jej jest nie do pogodzenia ze stanem kultury naszego narodu".

Cóż za subtelność jednego z twórców obozów koncentracyjnych!

Ale tu mała ciekawostka: pismo Franza Schlegelbergera nosi datę 17 kwietnia 1941 roku. A więc wszystko to działo się na kilkanaście dni przed lotem Rudolfa Hessa do Anglii.

To między innymi Rudolf Hess wzywał ludność Niemiec do zamiany masła na armaty. W październiku 1936 roku mówił.

„Jesteśmy gotowi również w przyszłości — jeśli zajdzie tego potrzeba — jadać nieco mniej tłuszczów, nieco mniej wieprzowiny i nieco mniej jajek, ponieważ wiemy że ta niewielka ofiara jest ofiarą na ołtarzu wolności naszego narodu. Wiemy, że zaoszczędzone w ten sposób dewizy zostaną zużytkowane na zbrojenia. Hasło: „Armaty zamiast masła" — zachowało swoją moc do dzisiaj".

Również Rudolf Hess był autorem rozporządzenia przekazanego reichsleiterom, gauleiterom i innym funkcjonariuszom partyjnym, a naszącego tytuł: *„Pouczenie o zachowaniu się w wypadku przymusowego lądowania nieprzyjacielskich samolotów i lotników"* Pouczenie to zawierało zastrzeżenie, aby przekazywane było dalej tylko ustnie. Punkt czwarty tej instrukcji głosił bowiem:

„Również nieprzyjacielskich lotników zmuszonych do lądowania na spadochronach należy zatrzymać lub unieszkodliwić".

Instrukcja ta pochodziła z 13 marca 1940 roku. Worawdzie obrońca Rudolfa Hessa — dr Alfred Seidl przekonał Trybunał Norymberski, że nie zawierała ona nic sprzecznego z prawami i zwyczajami prowadzenia wojny i słowo unieszkodliwić nie oznacza linczować, to przecież trudno było zaprzeczyć, że zdarzały się przypadki linczu lotników alianckich. Wiemy 30 maja 1944 roku Martin Bormann — następca Rudolfa Hessa — zakazał policji podejmowania jakichkolwiek kroków przeciw tym osobom, które brały udział w linczowaniu lotników alianckich.

Miał Rudolf Hess również i swój udział w wojnie przeciw Polsce w 1939 roku. Brał udział w jej przygotowaniu, a także interweniował przeciw jakimkolwiek działaniom zmierzającym do odbudowy zniszczonej Warszawy. Już w listopadzie 1939 roku wydał następujące zarządzenie:

„Dowiaduję się od członków partii, którzy przyjeżdżają z Generalnej Guberni, że różne władze, jak na przykład Wojskowy Sztab Ekonomiczny, Ministerstwo Pracy itd zamierzają odbudować niektóre przedsiębiorstwa przemysłowe w Warszawie. Jednakże zgodnie z decyzją ministra dra Franka, zatwierdzoną przez führera, Warszawa nie ma być odbudowana i führer nie zamierza odbudowywać lub uruchamiać jakiegokolwiek zakładu przemysłowego w Generalnej Guberni".

I to właśnie ten człowiek, człowiek numer dwa hitlerowskiej Rzeszy, wystartował 10 maja 1941 roku z lotniska w Augsburgu, aby wylądować w Szkocji. Po co? W jakim celu? Czy działo się to wszystko za wiedzą Adolfa Hitlera?

■

Sosny czy kominy?

Rozmowa z reżyserem LESZKIEM SKRZYDŁO.

— Po telewizyjnym cyklu „Religie świata" dał pan nura w najdziksze ostępy kraju i przywiózł film, który stanowi pewne zaskoczenie dla widzów.

— Chyba nie dla wszystkich. Od dawna interesował mnie problem ekologiczny i ochrona przyrody. Dlatego też ubiegłej jesieni przez miesiąc siedziałem na Suwalszczyźnie, żeby nakręcić film „Kopalnia nad Czarną Hańczą". Wokół chaty obwieszonej zebranym tytoniem, rodziny plantatorów niżały liście na druty, rolnicy spokojnie kopali ziemniaki, a nad ich głowami bodły niebo wieże wiertnicze.

— Jedni uważają, że ten film to odstępstwo od wiary, a tu okazuje się, że zawsze był pan „zielony".

— Tak naprawdę, to zawsze lubiłem ryby, a konkretnie — wędkowanie. A w szczególności — łowienie szczupaka. Ale najpierw zaczęły nam cuchnąć rzeki, toteż już w 1966 roku zrobiłem pierwszy film „Dopływy naszych rzek". Potem zadeptaliśmy Mazury. Teraz przyszła kolej na ostatni rybny rejon za Suwałkami, którego ja nawet dobrze nie znałem. Żwirownie i mleczarnie zatruwały wodę, więc przeniosiłem się z jeziora na jezioro. Proszę sobie wyobrazić, że jeszcze dziesięć lat temu na Wigrach czerpałem wiadrem wodę na herbatę...

— A dzisiaj?

— Szkoda gadać. Hańcza w Suwałkach wygląda tak, że płakać się chce.

— Tytuł „Kopalnia nad Czarną Hańczą" brzmi dość groźnie.

— Miałem pomysł na inne tytuły. Np. „Sosny czy kominy?". Bo tam jest najlepszy na świecie klimat dla sosen. Rosną ogromne, proste i strzeliste, kiedyś używało się je na maszty. Trzeba poświęcić kawałek filmu, żeby przejechać kamerą taką sosnę od ziemi do wierzchołka. Miałem jeszcze inny tytuł. Ale z nim film poszedłby do kartoteki i nikt by nie wiedział, o co chodzi.

— Co to za tytuł?

— Wie pan, geolodzy wiercą, odwiert zalewa się betonem i potem na teren może wkraczać przemysł. Geolog powiedział mi, że badania nad zasobami rudy są już zakończone, ale teraz można ruszyć z frontem prac na całą Suwalszczyznę, bo „są jeszcze możliwości". To mógłby być tytuł filmu.

— Straszne. Ale ten pierwszy tytuł też jest straszny.

— Ale jasny. Ja tą kopalnią nad Czarną Hańczą nie chciałem nikogo straszyć. Sam jechałem z duszą na ramieniu na spotkanie z geologami.

— Że przegonią?

— To też. Wie pan, co zwolennicy przemysłu, a także przedstawiciele administracji z różnych szczebli mówią o filmowcach i ochroniarzach przyrody?

— No?

— „Ci obrońcy mchu i paproci". Kiedy więc dotarłem z ekipą na miejsce, jeden z geologów uciekł. Drugi, ten sam, co powiedział później, że „są jeszcze możliwości", oznajmił mi prywatnie, iż jest przerażony tym, co oni tam odkryli. Gdy spytałem, czy czują się podobnie, jak niegdyś fizycy atomowi, przytaknął.

— Cóż więc takiego odkryli?

— Ogromne bogactwo, które może postawić kraj w czołówce światowej, a może jeszcze wyżej. Są to niezwykle cenne pokłady rud polimetalicznych, w tym tytan i wanad. Nasi geolodzy odkryli je w 1962 roku i wiercą nadal...

— A my dowiadujemy się o tym po dwudziestu latach.

— Że tam leży coś pod ziemią, wiedzieli już piloci latający nad tymi terenami podczas wojny. Kompasy im nawalały. Dziś wiemy, że przy wydobyciu 8 mln ton rudy rocznie można te złoża eksploatować przez 60-80 lat. Powiem panu szczerze, że mnie osobiście napawa to dumą i zgrozą zarazem. Bo teren turystycznie dziki, pozbawiony bazy. Drogi fatalne, jak wjechać w boczne, to resory się łamały. Ale cóż za cudowny, dziewiczy pejzaż! Każdy, kto ma możliwości, dzieliłby ten teren na kawałki i tworzył rezerwaty, skanseny, pomniki przyrody. Jeden z moich rozmówców stwierdził, że przy takich inwestycjach straty są zawsze większe niż planowane zyski. Szkoda byłoby zniszczyć tak piękny kraj. Nie mówię już o roślinności, ale są tam łosie, orły, żubry, jelenie, czarny żuraw, główny ośrodek hodowli bobrów.

— Nie za późno wybrał się pan tam z kamerą?

— Myślę, że w samą porę, ponieważ sprawa jest na etapie dyskusji. Budowa kopalni jest aktualnie wstrzymana, a stosowne i wiążące decyzje zapadną po 1985 roku.

— Film liczy ponad piętnaście minut, będzie wyświetlany na seansach przed filmami fabularnymi, toteż znajdzie sporo widzów. Być może, do dyskusji włączy się społeczeństwo i naukowcy.

— Na to właśnie liczę. Chodzi o to, jak to bogactwo wydobyć i przerobić bez dewastacji przyrody.

— „Kopalnia nad Czarną Hańczą" to także nagroda za scenariusz na festiwalu w Krakowie. A więc rozgłos już jest...

— Wie pan, gdy oglądałem ten film jako widz, to scenariusz nie wydaje mi się aż tak doskonały. Mam wrażenie że film został trochę przegadany. Ale ja chciałem uczciwie dać szanse wypowiedzenia się zainteresowanym stronom. Zastosowałem formułę dialogu, ale bez sadzania ludzi wokół jednego stołu.

— I co mówili?

— Przede wszystkim to mówili dużo. I różnie. Wicewojewoda suwalski twierdził, że rejon jest zacofany, bez dróg, bez budownictwa i przemysłu, i że co roku 5 tysięcy ludzi opuszcza teren w poszukiwaniu pracy, a tyle właśnie mogłaby zatrudnić kopalnia.

— Ale fachowców, których trzeba ściągnąć z Polski i zbudować dla nich małe miasto. O wiele lepsze byłoby rozwinięcie bazy turystycznej, to też daje dochody.

— Kiedy ludność, proszę pana, zwłaszcza młodsza część, popiera wicewojewodę. Większość jest jednak przerażona. Jeden z przechodniów powiedział mi, że, jeżeli nie zmieni się stylu pracy administracji, to przy wielkiej budowie powstanie tam okropny bałagan.

— A jakie argumenty mają zwolennicy kopalni?

— Mówią, że jest bardzo nowoczesny projekt, z pełnym zabezpieczeniem, z filtrami na licencji japońskiej. Ponadto wszelkie odpady poprodukcyjne byłyby transportowane rurociągiem długości 18 km i składane w kotlinie wsi Rowele, osłoniętej niskimi wzgórzami.

— Ochroniarze, rzecz jasna, mają wątpliwości.

— I to duże. Twierdzą, że kopalnia obniży poziom wód. Ale samo wydobycie nie stanowi takiego problemu, jak proces uzdatniania w zakładzie przerobczym. Rudę trzeba prażyć na powierzchni w wysokich temperaturach. Składowisko odpadów ma być w odległości 30 km od Suwałk. Nikt nie wie, jak będą działać wydzieliny, bo tego jeszcze w Polsce nie było.

— Może więc wydobyć i wywieźć gdzieś do przeróbki? Albo chociaż zasypywać odpadkami jakieś wielkie dziury?

— Odpady mogłyby iść do Tarnobrzega, ale tam jest już martwe pole. W ogóle w kraju mamy 25 rejonów zagrożonych ekologicznie. Był pomysł, aby rudę spod Suwałk przerabiać w Turoszowie. Podniósł się krzyk, że ogromne koszty transportu. A przecież wozimy rudę z innych krajów...

— Z filmu wynika, że racja jest po stronie przyrodników. Pan, aby unaocznić widzowi skutki industrializacji, nakłada na krajobraz suwalski pejzaż śląskich kominów.

— To się jakoś wiąże z moim zainteresowaniem zabytkami i ratowaniem historii. Tak, tak, proszę pana. Miałem zdjęcia lotnicze, jak „Elana" zatruwa Toruń. Ludzie powiedzieli mi, każdemu zabytkowemu miastu funduje się wielki zakład przemysłowy. Szczecinowi „Police", Krakowowi Hutę, itd. Zrobiłem więc film o dewastacjach zabytków Torunia. Teraz będę robił film o Chełmnie, które wprawdzie nie ma przemysłu, ale ma za Wisłą Świecie, skąd wali smrodem. Aż nie chce się wierzyć, że możemy być tak lekkomyślni i nieporadni. Ostatnio czytałem, że nie wiemy, co zrobić z odchodami z ferm kurzych, a Szwedzi chcą z tego u nas robić majątek, czyli granulowany nawóz.

— Na zakończenie: czego nie udało się panu sfilmować na Suwalszczyźnie?

— Na Górze Cisowej skończyła się taśma, asystent zbiegł po kasetę, a w powietrzu rozegrała się prawdziwa walka lotnicza, ale z jaką akustyką! Była to bitwa ptaków. Jastrzębie atakowały, broniące się ptaki odwracały się na plecy i wystawiały pazury. Jastrzębie przegrały...

A innym razem byliśmy na jeziorze. Wspaniały zachód słońca, ryba się pluszcze, cisza. I nagle przedziwny dźwięk... Nad nami ciągnął klucz żurawi. Powiedziałem do kolegi, żeby patrzył i słuchał, bo tego cudownego klangoru możemy tu już więcej nie usłyszeć...

Ci obrońcy mchu i paproci

Czy zdążymy się uratować?

Rozmowa z inż. HENRYKIEM KLIDZIĄ, kierownikiem Wojewódzkiego Inspektoratu Straży Ochrony Przyrody w Łodzi.

— Co zadecydowało, że mając siedemdziesiąt cztery lata i prawo do zasłużonej emerytury, walczy pan uparcie o ochronę środowiska?

— Kiedy widzę, jak dzieci zbierają mech, ponieważ nauczyciel polecił im zorganizować stoisko turystyczne, chce mi się płakać. Bo mchu nie wolno zrywać! Szkołą ma wyrabiać szacunek dla przyrody, a tymczasem...

— Pan się wychował w innych czasach.

— I w innym środowisku. Byłem członkiem kółka przyrodniczego gimnazjum w Mińsku Litewskim. Widziałem, że jak w Tbilisi turysta wdepnął jedną nogą na trawnik, to od razu podszedł do niego milicjant. Ale przyroda była wtedy jeszcze nie zagrożona, nie brakowało widlaków na stół wielkanocny.

— Nieoficjalnie istniała jednak „czerwona" księga zagrożonych zwierząt i roślin?

— Oczywiście! Mnie szczególnie chwycił podręcznik przyrody B. Diakowskiego, chociaż ilustracje nie były kolorowe. Lubiłem zwierzęta. Moje zamiłowania pogłębiły studia na wydziale rolnym Uniwerstytetu im. Stefana Batorego w Wilnie. Ale na zajęciach nie potrafiłem, nie mogłem spreparować psa... Miałem psy, stykałem się z pięknymi końmi.

— A co pan robił w czasie wojny?

— Byłem nadleśniczym lasów miejskich w Wilnie, które Niemcy masowo niszczyli. Nie mogłem się z tym pogodzić, zostałem skazany na wysyłkę do Rzeszy, ale uratował mnie pewien lekarz. Pracowałem w tartaku i patrzyłem z bólem serca, jak się tną najpiękniejsze drzewa. Po wojnie znalazłem się w zupełnie nowym środowisku. I dopiero wtedy rozpocząłem batalię o drzewa!

— Ale przecież zainteresowanych ochroną środowiska jest wiele ministerstw, instytutów naukowych, placówek specjalistycznych.

— Ba! Do tego szereg organizacji społecznych, administracja państwowa, gospodarcza i komunalna. Tylko, że np. w Ministerstwie Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego nie ma wspólnoty interesów, a wiele klubów ekologicznych tylko egzystuje. Uświadamiać można, ale ludzie na odpowiedzialnych stanowiskach mówią: „Co tu chronić, jak nie ma szarotek?" Machina jest wielka, lecz jej kółka obracają się wokół siebie samodzielnie, czasem samowolnie.

— A jak pan walczy o drzewa?

— Zgodnie z przepisami. W Prażkach koło Czarnocina jest Izba Pamięci poświęcona Reymontowi przed pomnikiem zawsze świeże kwiaty. I wspaniała lipa, siedem metrów w obwodzie. Od 1974 roku walczę o jej zabezpieczenie, a konserwator zabytków w Piotrkowie mówi, że zetnie.

— Gwałtowna przebudowa Łodzi w latach siedemdziesiątych i nowy podział administracyjny nie oszczędziły łódzkiej zieleni.

— Tym bardziej, że Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze nieoficjalnie wycina drzewa. Park na Polesiu Konstantynowskim, zamiast płotu ma pełno śmieci, butelek, nawet stare materace. Zabezpieczyliśmy natomiast pomniki przyrody w rezerwatach Ciosny za Zgierzem i Wiączyn na granicy woj. skierniewickiego. Jedyny naturalny las łagiewnicki był zagrożony na ul. Okólnej i Wycieczkowej. Udało się zamknąć tam wjazd samochodów.

— Auta stoją często na trawnikach.

— No, właśnie! Straż Ochrony Przyrody jest organem społecznym, który musi mieć większą swobodę w egzekwowaniu przepisów, zwłaszcza z artykułu 144 kodeksu wykroczeń o niszczeniu ogólnej zieleni.

— Mandat lub kolegium?

— Tak jest. Bo dziś załatwiamy to poprzez administrację państwową i milicję. Musi być też silniejszy nacisk na placówki komunalne, żeby broniły przyrody, a nie niszczyły. Bez środowiska naturalnego nikt nie może istnieć. A ile ja się nawojowałem o zabetonowane drzewa, na ul. Roosevelta! Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze nigdy nie miało mocy przerobowych.

— Sadzą rocznie 300 tys. kwiatów...

— Nie wierzę w tę liczbę. Wiem natomiast, że LPO miało hodować króliki. A o zieleń bił się inż. Wizner. Zmarł w lutym... Beton spod drzew na Roosevelta zdjęto jednak...

— Panie inżynierze, w mojej wsi rodzinnej, która nazywa się Gospodarz, kilkuhektarowe wyrobisko po glinie zasypano popiołami z elektrociepłowni, twierdząc, że popioły są nieszkodliwe. Gdy zawieje silniej, tumany pyłu spadają na wieś. A jak sypano popiół do glinianek, ryby popłynęły do góry brzuchem...

— Proszę pana! Nie tylko rybka ginie. Ile ptaków wyginęło w Łodzi, ile z niej uciekło. Zapylenie nie jest takie, jak w Katowicach, ale jest znaczne. Dlaczego władza daje darmo siano z parku, a chłopi nie biorą? Mamy pierścień mleczny, lecz trawy skażone. Matki karmiące piją krowie mleko, skażenia przedostają się w pokarmie do organizmu niemowląt. Co czwarte dziecko w szkole jest niezdrowe, wiele cierpi na zaburzenia psychiczne. Ja sam przeszedłem zawał, moich czterech przyjaciół zmarło. Kiedyś rak był sensacją, a dziś?

— Niedługo trzeba będzie uprawiać warzywa tylko pod osłonami.

— Dziś żaden artykuł żywnościowy nie jest zdrowy. Rośliny liściaste zawierają przeciętnie 30 proc. zanieczyszczeń. Warzywa powino się uprawiać w odległości ponad stu metrów od ruchliwych dróg. Ponadto herbicydy nie są wybiórcze, niszczą wiele gatunków. Produkcja nieskażonej żywności staje się coraz trudniejsza...

— Naloty stonki i walka z nią też skaża środowisko.

— Zbieranie stonki nie jest żadnym wyjściem. Mogłyby nam pomóc bażanty, które dobrze trawią łuskę chitynową, ale bażanty też wyginęły. Amerykanie nie mają problemu, ponieważ zastosowali doziemne zastrzyki preparatów na 50—60 cm, jeden stan likwiduje stonkę nie uprawia przez rok ziemniaków, potem następny stan, itd. Bez takiego zabiegu 30 proc. stonki zawsze zostaje na przyszły rok. Ja ten pomysł zgłosiłem już w latach pięćdziesiątych, ale był za drogi. Dzisiaj koszt wyniósłby 50 milionów, lecz to by się opłaciło.

— Przy tak rosnących kosztach i zanieczyszczeniach trudno będzie się wyżywić.

— Gdyby zamiast zbrojeń zagospodarować Saharę, można by wyżywić 20 mld ludzi.

— A my nie możemy sobie nawet poradzić ze śmieciami.

— Jeżeli poza miastem istnieją wyrobiska po glinie, to tam należy wyrzucić śmieci z Łodzi. Bo lasy i parki mamy zaśmiecone, a niedługo śmietniskiem stanie się Rąbień, gdzie ma być rezerwat przyrodniczy. A pyłów mamy dosyć! Ratujmy więc naturalny filtr, jakim jest zieleń. Na Łódź spada co roku 500 ton pyłów na kilometr kwadratowy, w śródmieściu nawet 700 ton, przy dopuszczalnej normie 250 ton.

— Wobec tego jaką wodę pijemy w aglomeracji?

— O czym tu mówić, kiedy w Olsztynie jeziora Długie i Krzywe oraz rzeka Łyna są już zatrute? W Zalewie Sulejowskim woda podbarwiona, zatruta bakteriologicznie. A proszę się napić wody ze źródełka w Ozorkowie! Przy Liściastej zakłady motoryzacyjne uczyniły z pięknego strumyka kanał z tłustą oliwą, na Helenówku woda jest zielona...

— A co zrobiły zakłady „Boruta"?

— Trują i płacą kary. Grzywna więc musi być taka, żeby nie opłacało się truć. Najprostszym wyjściem jest modernizacja oczyszczalni.

— Twierdzi się, że lokalne oczyszczalnie są za drogie.

— Oczyszczalnia aglomeracyjna jest tańsza. Ale jak nawalił? W naszych czasach zgubą stała się ekonomia, mieć coś jak najtaniej. To jest zabójstwo humanizmu.

— Może więc za mało jeszcze uświadomienia?

— Mamy bogatą literaturę popularnonaukową, szereg czasopism, niezliczoną ilość narad, sympozjów, raportów, uchwał i wspaniałe przepisy prawne. I bywa tak, że w rezerwacie w Białowieży bawi japoński naukowiec oraz wycieczka szkolna, której przewodnik przypomina, żeby nie łamać drzew i nie deptać trawy. A potem wycieczka i Japończyk patrzą ze zgorszeniem, jak z rezerwatu wynoszą młodego zdrowego żubra, którego ustrzelił facet z kierownictwa rezerwatu. Na zagrychę w reustaufacji „Iwa". Nie brakuje więc uświadomienia, lecz sumienia ekologicznego. Ochrona przyrody wymaga przebudowy mentalności administracji.

— W RFN „zieloni" weszli do parlamentu.

— I bardzo źle! „Zielonych" nie należy upolitycznić, to ma być ruch ponadresortowy, bo inaczej znajdą się przeciwnicy.

— Widzę wiele nowych legitymacji, na zdjęciach prawie same młode twarze.

— To cieszy, proszę pana. Przychodzą sami, bez reklamy, głównie młodzież szkolna i studenci Uniwersytetu, Akademii Medycznej i Politechniki Łódzkiej. Zimą Straż Ochrony Przyrody liczyła 1.868 członków, dziś zbliżamy się do 2.000 członków.

— Czym pan tłumaczy napływ nowych zwolenników?

— Prof. Włodzimierz Michajłow powiedział, że po zagadnieniu pokoju w świecie drugim jest ochrona środowiska naturalnego, na ratowaniu którego nie wolno czynić oszczędności.

— Żyjemy w kryzysie, panie inżynierze.

— Żyjemy w środowisku skażonym i nikt nie jest wolny od jego zgubnego działania. Człowiek może zahamować swoją niszczycielską działalność, a nawet naprawić pewne zniszczenia. Tylko czy zechce to zrobić i czy zdąży na czas?

— Wszyscy chyba tego pragniemy.

— Owszem, chcemy tego. Ale pamiętajmy, że jesteśmy mocno spóźnieni, a czasu jest bardzo mało.

Obydwie rozmowy przeprowadził:
RYSZARD BINKOWSKI

Polemika w sprawie spojrzenia na Sieradz

Młodzież nie od dziś dostarcza tematów pracownikom pióra. Zależnie od czasów, w których o niej się pisze, jest oceniana jako bezideowa, gorsza od pokolenia swych rodziców, chociaż ma wszystko, czego jej potrzeba, albo też — to spojrzenie odwrotne — jako zagubiona, bo o nią nie zadbano, nie stworzono warunków.

Pierwsze spojrzenie ma miejsce na ogół wtedy, kiedy o młodych wydaje sąd przedstawiciel starszego pokolenia, który ma w pamięci swój zwykle siermiężny start w dorosłe życie, entuzjazm własny i rówieśników dla spraw kraju i socjalizmu. I jak to bywa, zapomina o tym, z czym w tamtych latach nie było najlepiej.

Jolanta Wrońska, sama nieomal rówieśniczka bohaterów swojego reportażu hołduje drugiemu spojrzeniu: *„Stąd też skłonność wielu rodziców do przerzucania na szkołę ciężaru opieki i wychowania „na przyzwoitych ludzi" młodego pokolenia. Rodzice na szkoły, szkoły na rodziców, i tak trwa ten ping-pong od lat, a młodzi — w końcu zostawieni sami sobie — po omacku i na własną rękę uczą się życia".*

I to co dalej następuje ma być potwierdzeniem tezy, że w Sieradzu niewiele uczyniono w ciągu minionych wojewódzkich lat. Generalnie można się z tym zgodzić. Można było zrobić więcej. Patrząc z perspektywy czasu, widać ewidentne błędy i te kierunki, których kurczowe trzymanie się dało mierne efekty. Gdyby jednak autorka zadała sobie trud wysłuchania manowców młodego województwa!

Niestety. Już dywagacje o gwałtownym rozwoju Sieradza poparte są nieprawdziwymi danymi.

W 1975 roku miasto liczyło sobie około 23 tys. mieszkańców, obecnie zaś 34 tys. Niecały przyrost, który nastąpił w minionych latach miał związek z autentyczną urbanizacją. W 1979 roku przyłączono do miasta ponad 100 sołectw z 9 tysiącami mieszkańców. W tej sytuacji od biedy można mówić, że za przyczyną umieszczenia w Sieradzu władz wojewódzkich i różnych instytucji towarzyszących, jego ludność zwiększyła się o 7 tysięcy. Gdyby jednak odjąć od owych 7 tysięcy liczbę przyrostu naturalnego, którego źródłem byli rodowici sieradzanie, to okazałoby się, że trudno mówić o gwałtownym rozwoju miasta, gdzież dopiero o dwukrotnym wzroście liczby ludności: z 15 do 30 tysięcy, tak jak to przedstawia Jolanta Wrońska. Zresztą już w następnym akapicie autorka przeczy sama sobie, stwierdzając, że *„nie ciągnie tu tłum przybyszów"*.

Dyskusyjną sprawą, co za tym idzie, jest *„ostrzejsze zachwianie modelu dotychczasowego życia"*. Sama bowiem lokalizacja władz wojewódzkich w mieście niewielki wpływ wywarła na warunki życia jego mieszkańców. Zmiana charakteru funkcji administracyjnej nie przynosi tak rozległych i głębokich przemian socjologicznych, jak to bywa chociażby w przypadku realizacji jednej wielkiej inwestycji przemysłowej.

Inną sprawą jest atmosfera lat siedemdziesiątych. W państwie kierującym się przesłankami racjonalistycznymi, rzucono hasło budowy drugiej Polski, Polski naszych ambicji. Wezwanie mające źródło w romantycznym „mierzeniu sił na zamiary" poparte odpowiednią propagandą chwyciło dość powszechnie i trzeba było kilku lat, a przede wszystkim kryzysu nie tylko gospodarczego, by ukazać aż nadto jego podobieństwo — poprzez woluntaryzm — do krytykowanego wcześniej i u nas chińskiego „wielkiego skoku". Ale zanim do tego doszło, istotnie i województwo sieradzkie miało swoje wielkie plany także w dziedzinie kultury. I na pewno twierdzenie, którego gotów jestem bronić, przysporzy mi wielu wrogów spośród sieradzan: całe szczęście, że tych wielkich planów nie zrealizowano. Sieradz jest małym ośrodkiem miejskim i takim pozostanie, nawet jeśli województwa nie rozparcelują. Zamierzone u zarania kariery administracyjnej miasta inwestycje kulturalne przerastałyby wszelką możliwą konsumpcję. Powstałaby sytuacja, którą w odniesieniu do baroku zwykle określać się przerostem formy nad treścią. A w ogóle, że potrzebne są miastu inwestycje kulturalne — nie ulega wątpliwości.

Prowincja w powszechnym mniemaniu jest kulturalną Polską B. Czy tak jest w istocie? Nie sądzę. Po prostu musi tutaj funkcjonować inny model kultury i w rzeczywistości funkcjonuje, a że nie przystaje on do wyobrażeń Parnasu? Trudno. Zresztą cóż ma przeciętny łodzianin z kilku zlokalizowanych w jego mieście teatrów? Nic. Bo po prostu do nich nie chodzi. Wiadomo bowiem nie od dziś, że publiczność teatralna to wąski krąg stałych bywalców, wśród których znajdują się także poniektórzy sieradzanie.

Zatem czy widz, który obejrzał „Operetkę" wystawioną u Kazimierza Dejmka lub „Szwejka" u Romana Kłosowskiego, wysiedzi na kiepskim spektaklu teatru objazdowego, nawet, jeśli przyjechał z Łodzi? Nie czarujmy się. Samo w sobie słowo „teatr" nie ma wszechprzyciągającej mocy. Oglądałem na początku lat siedemdziesiątych „Kordiana" wystawionego przez ówczesny Teatr Ziemi Łódzkiej... Tenże teatr o mało nie zbankrutował przed dwoma laty. Czy autorka wie dlaczego? Nie sądzę, bo wtedy nie ryzykowałaby zdania: *„A sprowadzane spektakle łódzkich teatrów kompromitują miasto pustą salą"*.

Jeśli nawet z lekceważeniem określa się pewną sferę kultury mianem telewizyjnej, to trzeba sobie jedno uprzytomnić. Teatr Telewizji, zwykle na wysokim lub najwyższym poziomie spowodował, że na prowincji też nie można puszczać czadu tak jak to robi w dyskotece Franek Kimono.

Sieradz ani województwo, nie miały nigdy poważniejszych ambicji, aby mieć własny zespół teatralny. I słusznie. Niewiele jest miast wielkości Sieradza, które zapewniłyby stałą widownię swojemu teatrowi. A do tego trzeba wziąć pod uwagę, że asy by na sieradzkich deskach nie grały. Skąd więc wzięła autorka twierdzenie, że *„Własnego zespołu nie ma, bo nie ma mieszkań"*?

To, co zwie się w Sieradzu „Teatrem Miejskim" powstało bowiem z dawnej stajni kilkadziesiąt lat temu i jest po prostu salą teatralną, jakich wiele w dawnych powiatowych miastach. Sądzę, że lokalizacja jest tylko przez przypadek zgodna z zasadami sztuki urbanistycznej. W zacisznej części centrum. Mimo to bywają w tym budynku spektakle i imprezy z kompletem widzów, także młodych.

Przy okazji inwestycji kulturalnych trzeba by jeszcze jedno zauważyć. Sieradz *„szarpnął się na kino"*, ale było to jeszcze za czasów powiatowych, a nie jak to sugeruje autorka w ostatnich latach.

W spojrzeniu Jolanty Wrońskiej na Sieradz ogromną rolę odgrywa wieś. Przed reformą administracji w mieście *„tempo życia wyznaczał bieg robót w polu"*, tak jakby co najmniej połowa jego mieszkańców posiadała za rogatkami swoje hektary. Teraz *„dla wielu nowych mieszkańców meldunek w bloku, w mieszkaniu z łazienką, jest po prostu formą lokaty kapitału. Posiadane w okolicy gospodarstwo rolne jest podstawowym źródłem utrzymania, tam też, w pobliskiej wsi żyje się i mieszka na co dzień. Jak wiadomo, lokata w mieszkanie w mieście jeść nie woła, a przydać się może"*.

Oczywiście bliżej z Sieradza na wieś niż z Łodzi, sporą liczbę jego mieszkańców stanowią mieszczuchy w pierwszym pokoleniu, ale nie ma to miasto charakteru włościańskiego, a terminarz robót polowych, nigdy nie miał większego wpływu na tutejsze życie. Śmiech już natomiast wywołuje twierdzenie o lokacie kapitału przez przedsiębiorczych chłopów w mieszkaniach na sieradzkich osiedlach. Znam dość dobrze tutejszą wieś i wiem w co inwestuje rolnik. Ciekawe, ilu mieszkań zajętych przez rolników doliczyła się autorka?

Kolejny błąd autorki to przemieszanie ludzi i instytucji. Jeśli w sieradzkim Komitecie Wojewódzkim PZPR nie zaszły jakieś tajne zmiany personalne, a statut na to nie pozwala, to jest jasne, że sekretarz Komitetu Wojewódzkiego o nazwisku Sośnicki jest wytworem licentia poetica. Inne również nazwisko nosi prezes Sądu Rejonowego. Jasne jest również, że autorka pisząc o Młodzieżowym Domu Kultury przemianowała go na Wojewódzki Dom Kultury. Czyż można się dziwić, że taka instytucja *„bardziej pasuje do dzieciarni"*? Właśnie dla niej pracuje.

Model wychowania młodzieży ukształtowany w latach siedemdziesiątych, nierealny jak wiele modeli tworzonych w tamtym okresie, runął nieodwołalnie po sierpniu 1980 r. I nie ma czego żałować. Szkoda tylko, że teraz niewiele można młodym zaoferować. Spora część młodzieży jest nihilistyczna, ale większość ma swoje ideały i do nich dąży. Może samotnie, nie w grupie i nie tak głośno, jak dawniej. Bez deklaracji które po minionym wstrząsie wydają się pustym i wstydliwym gestem. Nie jest to pokolenie stracone ani dla Polski, ani dla socjalizmu. A że część jest nastawiona konsumpcyjnie? Zbieramy pokłosie epoki Edwarda Gierka, czasów pogardy dla roboli. Zbieramy pokłosie epoki kryzysu, czasów, gdy jedno nielegalne pociągnięcie czyni człowieka milionerem.

Jeśli teraz pisać o młodzieży, to przecież trzeba pamiętać o wstrząsie posierpniowym. Wywarły tamte miesiące niezatarty wpływ na psychikę naszego społeczeństwa, zmieniły się postawy młodych. Nie można o tym zapominać i jak gdyby nic się nie stało, szukać przyczyn tylko w atmosferze prowincjonalnego miasta i jak to powiada reporterka w *„wyprzedaży ambicji"*.

Trzeba szukać dróg do umysłów i serc młodzieży. Potrzebne są nowe recepty, a tych, jak dotychczas nie ma. Ani w Sieradzu, ani w Łodzi, ani w Warszawie. Miejmy nadzieję, że w najbliższej przyszłości kryzys świadomości młodego pokolenia będziemy mieli za sobą. Ale i wtedy część nastolatków będzie wolała wypić, połazić, a poniektórym *„szczęki będą się drzeć od ziewania z nudów"*. Problem odwieczny, charakterystyczny dla każdej epoki i miejsca.

Nawet jeśli autorka nie miała ochoty wychodzić w swych rozważaniach poza Sieradz, to i tak trzeba było zebrać rzetelnie istotne fakty, a następnie spojrzeć na wszystko nie przez pryzmat milionowej aglomeracji, bo zawsze będzie to spojrzenie błędne, niezależnie czy rzecz dotyczy Sieradza, Piotrkowa lub Skierniewic. Wtedy bowiem wszystko jest w tym samym stopniu słuszne co twierdzenie pewnego emerytowanego nauczyciela: „Młodzi gwałcą, bo czują nieodpartą wolę bożą".

JERZY WITASZCZYK

Nie ma mocnych

EUGENIUSZ IWANICKI

Informacja, podana przez PAP a przedrukowana niemal przez całą krajową prasę, była tak szokująca, że wywołała istną lawinę listów, telefonów i wizyt w ZAKŁADZIE PRODUKCJI ELEMENTÓW BUDOWLANYCH w Zduńskiej Woli czyli w firmie znanej pod nieoficjalną nazwą „FADOM".

Przypomnijmy początek tej sensacyjnej sprawy.

W numerze 26 tygodnika ŻYCIE ZDUŃSKIEJ WOLI z dnia 1 lipca 1983 r. ukazał się artykuł pt. „Domek w ciągu miesiąca", w którym zamieszczono wypowiedź dyrektora naczelnego wspomnianego „Fadomu". M. in. dyrektor powiedział: *„Ale powtarzam: razem z fundamentem taki domek w stanie surowym może stanąć już po miesiącu od momentu rozpoczęcia pracy. W takim tempie żadnego innego się nie postawi. No i nie potrzeba się martwić o cegłę, cement, czy inne potrzebne materiały. A wydaje mi się, że już indywidualny charakter i odrębność każdy użytkownik nada mu sam. Wszystko bowiem zależy od wykończenia. Jeżeli chodzi o cenę, to trudno konkretnie ją określić dopóki nie mam żadnego projektu. Z naszych wyrywkowych obliczeń wynika, że mały czteroizbowy domek kosztowałby zgodnie z cenami obecnie obowiązującymi około 700 tys. zł. Natomiast większy jednopiętrowy razem z montażem, pracą dźwigu, transportem kosztowałby około półtora miliona. Mówię o domkach wolnostojących, a nie szeregowych. Te drugie byłyby oczywiście tańsze"*.

Ten akapit wypowiedzi naczelnego dyrektora „Fadomu" wywołał burzę w ludzkich umysłach, tym bardziej, że informacja podana przez PAP dotarła do najdalszych zakątków kraju. Bo jakże to tak? Fachowcy obliczają, że jeden metr kw., w budownictwie kosztuje dziś około 40 tys. zł, a domek jednorodzinny o powierzchni zbliżonej do 100 m kwadratowych może osiągnąć zaczarowaną i niebotyczną sumę 4 mln zł. A tu się okazuje, że można taniej, nawet nie za pół ceny wystawić przyzwoity budynek i to zaledwie w ciągu jednego miesiąca. Bez nerwów, szarpaniny, zdobywania materiałów budowlanych, bez urzędniczych korowodów. Zleca się „Fadomowi", ci przyjeżdżają i szybko, składnie, nie psując naturalnego środowiska, ani nie niszcząc wartości krajobrazowych stawiają domek na miarę wyobraźni i marzeń każdego, kto dysponuje zaledwie 700 tysiącami lub 1,5 mln sumą.

Lawina ruszyła: najpierw odezwały się telefony — po kilkanaście dziennie — potem zaczęły nadchodzić listy (także po kilka dziennie), w końcu zaczęli do „Fadomu" przyjeżdżać potencjalni nabywcy taniego, a przecież wygodnego, domku jednorodzinnego. W zakładzie nie wiedziano co z tym wszystkim robić, gdyż byli i tacy petenci, którzy byli gotowi natychmiast dokonać odpowiedniej wpłaty na konto, co pozwoliłoby na zajęcie pewnego miejsca w kolejce czekających.

Dziś nie da się ustalić, kto zawinił: czy dyrektor, który udzielając wywiadu niezbyt precyzyjnie wyjaśnił istotę sprawy, czy też dziennikarka niedokładnie zacytowała jego słowa czy wreszcie dziennikarz z PAP niefortunnie sporządził informację. Fakt pozostaje faktem: sprawa tanich domków jednorodzinnych stała się sensacją!

Pojechałem do „Fadomu", bowiem możliwość wystawienia własnego M-ileś tam, nie jest mi obojętna. Rozumowałem dość logicznie: jeśli będę żył oszczędnie (a istniejące warunki kryzysowe umożliwiają mi to dosyć skutecznie) i jeśli otrzymam z NBP stosowną pożyczkę, to odchodząc na emeryturę będę mógł resztę życia spędzić na własnych śmieciach, a nie w spółdzielczym bloku z widokiem na betonowy horyzont, ciągnący się w nieskończoność Teofilowa.

Moimi informatorami w Zakładzie Produkcji Elementów Budowlanych w Zduńskiej Woli byli: zastępca dyrektora, mgr inż. MIROSŁAW KAWECKI i główny technolog mgr inż. JERZY GAWLIK.

„Fadom" 75 proc. swojej produkcji wykonuje dla Sieradzkiego Kombinatu Budowlanego, w którego skład zresztą wchodzi oraz dla całego Bełchatowskiego Okręgu Węglowego (tzn. dla pracujących tam: Wieluńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego i Bełchatowskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Ogólnego). Jest to budownictwo wielorodzinne wzniesione z wielkiej płyty. Materiałów budowlanych „Fadom" ma sporo, niestety stal i styropian są limitowane i starcza ich zaledwie na potrzeby wspomnianego budownictwa. Zawsze jest ich tyle, ile buduje się aktualnie domów. Jednakże w ramach najrozmaitszych oszczędności, zakład może w ciągu roku wygospodarować z przydziałów stali i styropianu pewne ilości, które można byłoby zużyć do wzniesienia kilku domków jednorodzinnych. Ale, jak zaznaczyłem, jedynie w ramach oszczędności będącej wynikiem szeroko stosowanej w „Fadomie" racjonalizacji. Niestety, nie są to predyspozycje do rozpoczęcia seryjnej produkcji domków jednorodzinnych. Na to zakładu zwyczajnie dziś nie stać.

Jak wspomniałem, tradycyjny domek kosztuje obecnie około 4 mln złotych. Natomiast same elementy budowlane w „Fadomie" na wykonanie jednego segmentu w budynku szeregowym sięgają 700 tys. złotych, nie wliczając do tego transportu tych materiałów na miejsce budowy, ani ich montażu na miejscu.

Gdyby te same elementy odnieść do budowy domku wolnostojącego, wówczas ich koszt (na miejscu w zakładzie) natychmiast by wzrósł o dalsze 200 tys. złotych. Posługuję się ciągle terminem domek wolnostojący lub domek jednorodzinny, co jest pojęciem dość mglistym i bliżej nieokreślonym. Natomiast precyzując nasze wymagania, i powiedzmy, zakładając, że chodzi nam o domek wolnostojący o powierzchni 100 m kw. — jego cena skoczy od razu (ciągle mówimy o elementach budowlanych znajdujących się na terenie zakładu) do 1.200 tys. złotych! Dodajmy teraz do tego uzbrojenie terenu, transport, montaż, wykonanie wnętrz, założenie elektryczności, wody itp. a dojdziemy do owych 4 milionów.

Tak więc tani własny domek dla przeciętnej polskiej rodziny za cenę 2,5 giełdowych małych fiatów — okazał się zwyczajnym nieporozumieniem, w które uwierzono bez zastrzeżeń. Teraz żadne sprostowania niewiele pomogą: ludzie zawsze wierzą w to, w co chcą wierzyć. Potencjalni nabywcy tanich domków, którzy przyjeżdżają do Zduńskiej Woli nieraz z najdalszych krańców Polski, wracają do domów z przekonaniem, że ich misja się nie powiodła. Zapewne są i tacy, którzy czują w tym wszystkim sitwę, kumoterstwo, plecy i wysokie łapówki. Bowiem skoro napisano w gazecie, że takie domki się buduje, to znaczy że tak jest naprawdę. Potrzebne jest zatem jedynie dojście...

„Fadom" ma dość owej niezdrowej sensacji i sławy, jaką zyskał w ciągu tych paru tygodni. Moi rozmówcy chcieliby podkreślić jedno: fabryka pracuje na pełnych obrotach i na razie nie myśli o żadnych domkach jednorodzinnych wolnostojących, a tym bardziej za takie pieniądze. Natomiast w każdej chwili mogą odstąpić zainteresowanym elementy budowlane niepełnowartościowe, które mogą być z powodzeniem użyte do budowy domków jednorodzinnych, a nie nadają się do budownictwa wielorodzinnego. Elementy niepełnowartościowe są stosunkowo tanie z nieznacznymi ubytkami lub uszkodzeniami. Są to całe ściany, ścianki działowe, elementy stropowe itp.

Moi rozmówcy z „Fadomu" są już zmęczeni nieprzerwaną lawiną listów, telefonów i zgłoszeń osobistych, bowiem potencjalni nabywcy żądają wyczerpujących odpowiedzi i wyjaśnień. A wszystko dlatego, że ukazała się notatka podważająca realia cenowe przy budowie domków jednorodzinnych. Szkoda, iż nikt z czytających owy inserat nie odniósł go zwyczajnie do literatury science fiction.

Dokończenie ze str. 1

miast koniuszy wielki koronny jest narzędziem w ręku szatana i odwodzi króla od przymierza z Austrią, od świętej ligi chrześcijańskiej.

Ksiądz wysiadł z karety.

— Przyjechał nudziarz — sarknął Sobieski i przerwał zabawę, przepłoszony niewczesnymi odwiedzinami.

Na spotkanie księdza wyszedł koniuszy wielki koronny, a psy podbiegły do przybysza i zaczęły obwąchiwać jego sutannę. Niedźwiedź mruczał, szarpał się na uwięzi dzwoniąc łańcuchem. Ksiądz kroczył nieustraszenie między bestiami. Bardziej lękał się Maczyńskiego.

Koniuszy z nieco przesadną atencją zaprowadził gościa do komnaty i zatrzymał się u drzwi pokoju recepcyjnego, zwanego gabinetem holenderskim. Uchyliwszy drzwi zerknął w głąb komnaty i szybko się wycofał. — *Reverendissime*, proszę o cierpliwość. Pora śniadaniowa przeznaczona jest na rozmowy króla Jegomości z małżonką.

Jezuita zajął wskazane mu miejsce i zasiadłszy w fotelu począł mruczeć pacierze.

Tymczasem za drzwiami król czynił swej żonie wyrzuty.

— Serce moje, opuściłaś mnie w najcięższej dla mnie chwili.

— Chciałam waszmość panu dać syna. W Polszcze nie ma takich dobrych lekarzy, jak w Paryżu. A zresztą to było tak dawno.

— Dawno. Czartoryski męczył mnie wtedy przez cały poranek, a jam potrzebował, aby rewokował mnie sam Dymitr, co źle o mnie pisał. — I dalej mówił król, że rozmawiał wtedy z siostrą Radziwiłłową o konkurach księcia Dymitra do księżniczki Teresy Zasławskiej-Ostrogskiej, swojej siostrzenicy. — Udzieliłem wtedy rady wielce umiarkowanej, bo, co do mnie, byłem zdania, że jeśli Jej książęca Mość rozumiała, żeby to miało być dobrem dla księżniczki, to nie miała co baczyć na moją nieprzyjaźń z księciem Dymitrem Wiśniowieckim. — Małżeństwa są wieczne, a nieprzyjaźnie doczesne.

(I niebawem Wiśniowiecki i Sobieski pojednali się. Stało się to powodem do rekryminacji w Wielkopolsce przeciwko hetmanowi koronnemu wielkiemu Sobieskiemu).

Maria Kazimiera, pani modnochodna, z obnażonym gorsem i ulepionymi na upudrowanych policzkach muszkami, poruszyła się niecierpliwie: — Nie rozumiem, po co mi waszmość o tym mówisz?

— Po to, sercę moje, żebyś wiedziała, w jakich byłem opałach. Od samego wstąpienia na tron Michała Wiśniowieckiego zaczął się spisek mający na celu detronizację, spisek rozdzierający kraj na dwie frakcje. Mnie posądzali o udział we frakcji francuskiej i żądali, żebym złożył buławę. Wojsko stanęło w mojej obronie i domagało się uznania za winnych Morsztyna i Grzymułtowskiego.

Królowa uderzyła ręką w stół.

— Mylisz się waszmość. To nie było wtedy, kiedy wyjechałam do Paryża na rozwiązanie, ale wtedy, gdym wracając z wesela mojej panny dworskiej upadła przy wsiadaniu do karety.

— Wszystko to być może. Nie pamiętam teraz, czy waszmość pani byłaś wtedy przy mnie. Tak, tak... Po zwycięstwie podhajeckim na rękach mnie nosili, a po intrydze Morsztyna chcieli mi odebrać buławę. Po takiej huśtawce można dostać pomieszania zmysłów. Sejm domagał się ode mnie odprawy posła austriackiego, a król Michał widział w tym zamach stronnictwa francuskiego i obwiniał prymasa Prażmowskiego, wojewodę krakowskiego Lubomirskiego i pisarza koronnego, a na końcu — mnie. Dodaj waszmość pani do tego kłopoty pieniężne, a będziesz miała obraz człowieka, jakim nigdym nie był w takich terminach. A jeszcze musiałem użerać się z obrońcami Morsztyna, gdy służba królewska przechwyciła tajny list do Ludwika. Stało tam zapewnienie o „wiekuistej wierności" dla króla Francji i podziękowanie za nadesłany patent na pensję.

Matczyński zajrzał jeszcze raz do gabinetu, wszedł i szepnął coś królowi. — Dawaj, Matkosiu, tego nudziarza.

Koniuszy wpuścił jezuitę do komnaty.

Unikając widoku królowej ojciec Vota przeniósł wzrok na obrazy, ale i tutaj trafił na różowe piersi, wynurzające się lubieżnie zza odwiniętych muślinów kurtyzan.

Wśród malowideł o nieprzyzwoitej treści mitologicznej z półnagimi boginiami i bóstwami pogan znajdowały się dwa płótna Rembrandta o tematach biblijnych: *Trzej królowie i Abraham z Agar*.

Wizmha

— Niech będzie pochwalony — powiedział jezuita.

— Witaj ojcze wielebny — głos króla dochodził do księdza jakby z bardzo daleka, przez szum krwi pulsującej w żyłach.

Ksiądz zwykłym ruchem wsunął ręce w rękawy sutanny i usiadł skromnie na brzeżku krzesła.

— Cóż to wszyscy w Polszcze tacy na mnie zagniewani — niewesoło roześmiał się król. — Ojcowie Kameduli wstręty mi czynią — ciągnął rubasznie. — Wapna i marmuru na budowę pałacu mi odmawiają. *Reverendissime*, widzę też na mnie wilkiem spoziera.

Na płycie stołu z czerwonego marmuru leżał czekanik inkrustowany szafirami, rubinami i szmaragdami. Ojciec Vota posłyszał szczęk poruszonego oręża i ujrzał nabiegłe krwią oblicze monarchy.

— Jako dobry chrześcijanin — upominał półgłosem z duszpasterską czułością — poddaj się, miłościwy królu, przewodnictwu Ojca Świętego, którego Opatrzność objawia swą wolę. Bowiem powiada Ewangelista: Wzniosłe oczy człowieka będą poniżone i nachylona będzie wysokość mężów, a sam Pan wywyższy się w on dzień.

Monarcha rozprostował się, poruszył gniewnie głową.

— To już nie wiem — zasapał astmatycznie — kto mi będzie rozkazywał, Ojciec Swięty czy generał zakonu?

— Poddaj się, miłościwy królu — z łagodnym naciskiem wzywał ksiądz — przewodnictwu papieża i Towarzystwa Jezusowego, o którym nasz święty Ignacy Loyola pisze: „Królowie będą Twymi żywicielami, a księżne będą karmicielkami twoimi i na twarz przed tobą upadną, i proch twoich nóg zliżą".

Sobieski uniósł się nieco z fotela. Ogromny, zwalisty zawisnął nad księdzem. — Pomiędzy Boga a swobodne sumienie ludzi stawiacie moc trzecią. Kimże jesteśmy? Niewolnikami, którym ino rozkazów słuchać przychodzi?

Ojciec Vota schował głowę w ramiona.

— Grzeszysz, miłościwy panie! — szept zgrozy wypełnił gabinet holenderski jego królewskiej mości. — Nie trzecia to moc, a sam namiestnik Chrystusowy.

Sobieski ociężały i nieruchawy dźwignął się z wysiłkiem. — Trudno uwierzyć! Namiestnik Chrystusowy to, czy ręce ojców jezuitów brały udział w spisku na króla Jakuba I i parlament angielski?

Maria Kazimiera głasnęła króla po ramieniu. — *Monsieur, mon cher enfant*, nie trzeba się turbować.

— Namiestnik Chrystusowy to, czy ojcowie jezuici ukryli testament królewicza Kazimierza Ferdynanda, przez co Śląsk Opolski i Raciborski odpadł od Polski do Habsburgów?

Królowa Maria Kazimiera ujęła małżonka za rękę i ścisnęła mocno.

— Na Boga, przestań waszmość.

Ojciec Vota cofnął się o krok. — Bluźnisz, miłościwy królu! — wyrzekł ze zgrozą. — Bluźnisz! — głos jego zagrzmiał oskarżycielsko, jak w Trybunale Świętej Inkwizycji.

— Przestań waszmość, bo wyjdę! — z irytacją szepnęła królowi do ucha królowa.

Kara Mustafa

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Lew Lechistanu 1

— Quod Deus avertat! *) — wymamrotał pobożnie zgorszony ksiądz kładąc na sobie znak krzyża.

— Właśnie! — wybuchnął król z nową siłą. — Jeżeli rozgłosić skryty występek jezuity, to wy, ojcowie święci, zaraz to za grzech rozgłaszającemu poczytujecie.

Złość zeszpeciła lalkowate rysy Marii Kazimiery. Królowa ujęła tren sukni, obróciła się plecami do małżonka i szeleszcząc falendyszem wyszła z gabinetu.

Sobieski umilkł. Wytrzeszczonymi oczami popatrzył na modlącego się księdza. Gniew wygasł w nim z taką samą łatwością, z jaką się zapalał. — Otóż to skutek, wdawać się z niewiastą w rozmowy o polityce — powiedział nie znajdując zrozumienia u jezuity.

Król skonsternowany przeniósł wzrok z księdza na pusty fotel i na drzwi, za którymi zniknęła królowa. Nie zważając na gościa pośpieszył za żoną.

Maria Kazimiera leżała twarzą do poduszki na łożu pod chińskim baldachimem z białego jedwabiu. Sobieski pochylił się nad żoną. — Uczyńże i tę łaskę, waszmość pani — dyszał — i daj zobaczyć śliczną twarz twoją, na czym więcej mi zależy niż na wojnie z Półksiężycem. Zlitujże się, moja dobrodziko.

Maria Kazimiera uniosła się na łóżku. Twarz miała zmiętą, włosy potargane, oczy we łzach.

— Nie było przyjaźni, którą bym dla waszmości nie wzgardziła. Nie było opinii świata, przeciw której nie wzięłabym go w obronę. A waszmość jak mi się odpłacasz? Waszmość mnie i sobie szkodzisz. Cała Europa śmieje się z króla Polski, że jego teść jest prostym szlachcicem. Król Francji odmawia waszmości tytułu Majeste, odmawia memu ojcu tytułu diuka, a waszmość by za królem Francji w ogień poszedł i na cesarza się porywał!

— Prawda to, że na tym świecie nie masz nic tak słodkiego, do czego by się siła nie miało przymieszać gorzkości — poskarżył się Sobieski sarkastycznie. — Czy waszmość pani tego nie widzisz, ile tracimy zrywając z królem Francji?

— Ja nie widzę? Ja to widzę najlepiej! — wykrzyknęła Maria Kazimiera. — Tracimy taburet dla mnie, tracimy buławę i tytuł diuka dla papy.

Sobieski wzniósł ręce, machnął desperacko obiema rękami.

— Ach, ja nie o tym mówię, serce moje.

— Tedy co jeszcze tracimy? — odburknęła Maria Kazimiera.

— Multum, duszo moja! Tracimy Śląsk i tracimy ostatnią nadzieję na odzyskanie Prus.

Królowa wstała, wzruszyła ramionami i obróciła się plecami do męża. Sobieski zaszedł kapryśnej pani drogę, wyprężył pierś, położył rękę na sercu.

— Los na takie skazał nas położenie, że ani pokoju zawrzeć, ani wojny prowadzić nie możemy, bo pokój nie do zniesienia, a nagła wojna niemożliwa.

— Jeżeli waszmość nie pójdziesz na pohańców, cesarz nie odda naszemu Jakubkowi arcyksiężniczki — królowa, nieprzejednana, połykała łzy — Ale waszmość zgoła nie jest czuły na chwałę i wywyższenie rodziny swojej i mojej.

Z twarzy króla zniknął uśmiech.

O, już to przed Panem Bogiem nieodpuszczona krzywda, tak mnie winić! — szedł za żoną. — Pies by się o to obraził, będąc tak traktowany jako ja. Już mi życie obrzydło. Same wymówki i niezadowolenie, a stąd zgryzoty dla mnie i zmartwienia. U nogi prawej palec mały znów mi srodze cierpnął przez noc całą, a waszmość pani, duszo moja, zlitowania nade mną nie masz. Jeżeli już cała ta miłość — dyszał — która ustała, a może snadź nigdy nie była doskonała, to mi powiedz! Bo ja cierpię męki Tantala.

Królowa tupnęła ze złością raz i drugi.

— Ja dla słabego zdrowia o nikim innym oprócz waszmość pana nie myślę. Jeślim ja tym Pana Boga obraziła i nie dotrzymała wiary waszmości, to niech tej nocy nagle skonam i niech twarzy Boga mego nie oglądam na wieki!

— Tak powiadasz, serce moje! — król ze szczęścia omal nie kiknął. — Niechże cię uściskam, duszo! Niechże cię przebłagam! Czemu nie rzuciłem wszystkiego i nie pojechałem za waszmość panią do Paryża? O, jakże żałuję teraz, żem tego nie zrobił.

Odszedłszy od stołu królowa zaczęła zabawiać się florencką szkatułką z jaspisu. — Mówią, że pan podskarbi kupił wielkie włości w Szampanii. I że ze wszystkim do Francji wyjeżdża.

— Pan podskarbi to wyrachowany człowiek. Ba, któż by sobie nie życzył wynijść przez złotą bramę z tego wszystkiego? Wszelako przez Boga żywego, czyż bić się o to z Panem Bogiem, kiedy w tym Jego snadź nie ma woli?

Sobieski podszedł do żony. — Ale ja, da Bóg, myślę temu wszystkiemu taki uczynić koniec, jaki jeszcze w imaginacji nie był ludzkiej.

Maria Kazimiera zajrzała mężowi uważnie w oczy. — Waszmość masz na myśli, że Jakubek zostanie mężem arcyksiężniczki?

Sobieski uśmiechał się zagadkowo.

Królowa przypadła do szerokiej piersi męża, objema rękami chwyciła za wyłogi kontusza. — I papa d'Arquien otrzyma tytuł od króla Francji? — westchnęła w uścisku atletycznych ramion.

— Zmiłuje się, moja dobrodziko — król zanurzył usta w pachnących larendogrą włosach żony. — Niech dni nasze tak marnie nie upływają na waśniach i sprzeczkach, ile mnie, który bym się przez milion lat nie mógł nasycić wszystkimi ślicznościami mojej pani.

— To czemu waszmość obrażał ojca Votę i za królem Francji się opowiadał?

— *Mais assez de ces bagatelles* **). Nie chcę słyszeć ani o Francuzach, ani o Turkach, kiedy pani jesteś przy mnie.

Zastukano do drzwi. Do komnaty wszedł sekretarz królowej, ubrany po francusku, kawaler zręczny, acz umysłu niezbyt bystrego. Galant nie spostrzegł, że przeszkadza królewskiemu małżeństwu. Sobieski obruszył się na intruza. — Szukasz, czegoś nie zgubił? — fuknął.

— Ojciec Vota prosi pokornie jejmość królową o posłuchanie... — Oznajmiwszy to kawaler zląkł się srogiego majestatu króla i czmychnął.

Maria Kazimiera ze śmiechem odepchnęła małżonka od siebie. — Nie teraz, *monsieur*. Nie teraz!

Szeleszcząc falendyszową szatą pomknęła posuwiście z powrotem do gabinetu holenderskiego. Ojciec Vota pokłonił się kornie, przypadł niemal do aksamitnych trzewików królowej. — Miłościwa pani...

Maria Kazimiera pochyliła się również pragnąc unieść za ramiona świątobliwego sługę bożego.

— *Reverendissime!* — zastygła na chwilę w tej pozycji, prażona nieoczekiwanymi słowami, które wypowiadał pobożny ojciec.

— Rzym i świat cały jest oburzony krzywdą i niesprawiedliwością, jaką wyrządzono ojcu królowej polskiej, margrabiemu de la Grange d'Arquien, odmawiając mu rangi księcia i buławy.

Ojciec Vota odwrócił oczy od upudrowanego, falującego łona kobiety. Wolał patrzeć na obraz Rembrandta.

— Nie mogąc ścierpieć tej niesprawiedliwości Stolica Apostolska — odurzony zapachem perfum i kobiecego ciała mówił zrywającym się głosem — postanowiła przyznać harabiemu godność kardynała, która to godność nie ustępuje, a nawet przewyższa wszelkie inne świeckie dostojeństwa.

Maria Kazimiera rozprostowała się i objęła końcami palców skronie. Doznała lekkiego zawrotu głowy od zaszczytu, który spotkał ojca, i zastanawiała się nad trudnościami wyboru pomiędzy tytułem księcia wielkiego cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego a purpurą kardynalską. A może da się pogodzić dwie godności w jednej osobie?

— Nic też nie stoi na przeszkodzie, aby margrabia przyjął święcenia duchowne i został kardynałem — kusił jezuita. — Wszak i królewicz Jan Kazimierz, gdy sobie znudził pobyt u ojców jezuitów, otrzymał kapelusz kardynalski, który później za zgodą Ojca Świętego zwrócił, aby zasiąść na tronie polskim.

A zatem nie można łączyć dostojeństw świeckich z kościelnymi — zmartwiła się królowa ostygając z zapału i gotowości służenia Kościołowi. Nagle pomyślała, że nie powinna zrażać do siebie czarnego klechy. Tytuł książęcy papy też był jeszcze na wodzie pisany. Kto wie, czy margrabia nie będzie musiał kontentować się kapeluszem kardynalskim?

Udając płochą białogłowę piasnęła w dłonie i podgarnąwszy suknię przybliżyła się ku sponemu jezuicie.

Nieszczęsny wycierał chustką czoło.

Z ukarminowanymi usteczkami przy kościstym uchu księdza królowa szeptała: — *Reverendissime, mille remerciements* ***) za godność kardynalską *pour mon papa*. I nie trzeba się gniewać. *Tout va bien* ****). Wojna z Turcją niezawodna. Tylko król jegomość dziś trochę nie w humorze. Mały palec u prawej nogi srodze mu cierpnął przez całą noc.

Uśmiech rozjaśnił surowe oblicze ojca Voty. — W tym jest palec boży.

Wniósł oczy ku niebu i zaczął mruczeć łacińskie modlitwy.

Maria Kazimiera musiała udawać zbożną uwagę, chociaż ją to nudziło.

Reverendissime nakreślił dwoma palcami znak krzyża nad koafiurą modnochodnej pani i wsunąwszy chude dłonie w szerokie rękawy sutanny odpłynął ze skromną godnością sługi bożego, który sumiennie wykonał powierzone mu zadanie.

Król przeszedł z komnaty sypialnej żony do swojego gabinetu. Szedł powoli, pod ciężarem rozterki: sojusz z Austrią to wieczysta wrogość z Turcją, zaś przymierze z Francją i Turcją to inwidia i nienawiść do Polski wszystkich narodów chrześcijańskich i Watykanu. Po śmierci Zamoyskiego, pierwszego męża Marysieńki, myślałem, że niebo się przede mną otworzyło. Aleć po ślubie musiałem przyjąć ofiarowaną mi laskę marszałkowską, od której się jeszcze w lutym broniłem pisząc do Ich Królewskich Mości Jana Kazimierza i Ludwiki Marii: „Mnie, że tak Ich Moście swymi szacują mowami, niesłusznie czynią, bo moja, chwała Bogu, doświadczona już rezolucja. Niech mnie, dla Boga, Ich Moście zaniechają; wszak w niczym Mościom nie przeszkadzam, a i z Polski gotówem ustąpić...".

Teraz tylko mogę żałować, żem wcześniej do Francji nie wyjechał; uwolniłbym się wtedy od ślubu i od laski marszałkowskiej, i od tej nieszczęsnej miłości, która mi tylko zgryzoty przysparza, a od której nie masz ucieczki. A żem jeszcze pokpił sprawę i buławę polną przyjąłem, to mnie pokarał Bóg wojną domową i krwawą kąpielą pod Mątwami; bo chociaż nie ja, tylko Jan Kazimierz sprawował dowództwo, to przecież byłem tam i na rzeź bratobójczą patrzałem. Pisałem wówczas do Marysieńki: Mam teraz za swoje. Głowa pęka od kłopotów i zmartwień o los tej skołatanej Rzeczypospolitej. Taka to w Polsce pociecha z komendy! Ostatnią chyba na pocieszenie tych ludzi przyjdzie zastawić koszulę, bo wszyscy się rozjechali, król daleko, mnie tylko jednemu głowę gryźć będą.

Miałem ja wtedy pięć tysięcy jazdy i trzy tysiące piechoty. Siły ordy moi żołnierze obliczali na sto dwadzieścia tysięcy. Była to liczba wyraźnie przesadzona, chociaż nieprzyjaciel szedł ze znaczną przewagą liczebną.

Tym razem nie skoncentrowałem sił mego wojska. Nie patrząc na niezadowolenie i krytykę podzieliłem wojsko na kilka oddziałów i każdemu wyznaczyłem osobny teren walki. Zwróciłem się też o pomoc do włościan, którzy, jak zwykle przyszli wojsku z pomocą. To oni kopali pod osłoną nocy głębokie doły, przykrywali je słomą i dla zamaskowania posypywali ziemią, jak zasadzki na wilki — wspominał król.

Wódz tatarski widząc, że szala zwycięstwa przechyla się na stronę polską, wystąpił z propozycją zawarcia rozejmu. Wysłałem czterech doświadczonych pułkowników i w trzy dni później Doroszenko podpisał 19 października 1667 roku traktat, po którym zarządził odwrót.

Bądź miłościw, Wielki Boże, mnie grzesznemu i przebacz, żem nie potrafił zapomnieć o familijnych więzach, które mnie spętały! Nie mogę odżałować, czemu ja, gdy mi królowa odebrała laskę marszałkowską i buławę, nie wyjechałem na zaproszenie króla Ludwika, który mi obiecywał godność marszałka Francji, dziedziczny tytuł księcia-para i wstęgę Orderu Świętego Ducha.

Ludzie zaczęli litować się nade mną i przypominać, żem prawnuk po kądzieli wielkiego hetmana Żółkiewskiego. Żołnierze garnęli się do mnie po tym zwycięstwie. Tylko szlachta i możnowładcy miast udzielić pomocy wyśmiewali się ze mnie. Gadali głośno, że pogłoski o niebezpieczeństwie rozpuszcza Sobieski, żeby ogłupić szlachtę, że chce uśpić czujność Polaków, wszystkie siły kierować na południe i ułatwić w ten sposób Kondeuszowi, jako kandydatowi do korony polskiej, lądowanie z wojskiem w Gdańsku i marsz do Warszawy. O, miłości ludzka, jakżeś zajadła i zaślepiona! Nawet to, że wysłałem do stolicy jeńców tatarskich, by ujrzeli zaślepieńcy, że walczymy z nawałą tatarską, a nie z urojeniem, nie przekonało braci-szlachty, która o prywatę tylko dbała, a nie o obronę granic.

Z książek rozłożonych na kominku wyjął król dla odmiany przygnębiających myśli *Dworzanina* Górnickiego i począł wertować fragmenty podkreślone spełzłymi kreskami: „Mylą się ci, którzy mówią, że nauka przeszkadza rycerskiemu rzemiosłu. Trzeba, aby rycerz tak wiele rozumem robił, jak ciałem. Nikomu bardziej uczonym być nie przystoi, jak żołnierzowi. Kogo nigdy nie ucieszyło pismo i nie zna tej przyjemności, jakie historia w księgach daje, ten nigdy sławy nie zazna". Jednak liczne głosy szlachty odzywały się również przeciwko kształceniu młodych w rzemiośle rycerskim. „Niezdrowo się wiele uczyć, człowiek od nauki mgleje, członki schną, siły i mózg się psuje. Widzi mi się — dowodził konserwatysta Lupa Podlodowski w *Dworzaninie*, iż póki Polacy czytać nie umieli, póty w Polsce było więcej cnoty".

— Małpa! — mruknął król.

Drzwi skrzypnęły, ale nim król zdążył się odwrócić, zamknęły się bezszelestnie.

---

*) Niech Bóg to oddali! (łac.)

**) Skończmy z tymi głupstwami! (franc.)

***) Przewielebny, tysiąc podziękowań.

****) Wszystko układa się dobrze. (franc.)

Na przykład „NADODRZE"

Wśród pism regionalnych jednym z najstarszych jest ukazujące się w Zielonej Górze „Nadodrze". Niedługo minie dokładnie 26 lat od dnia, w którym tytuł ten po raz pierwszy pojawił się w sprzedaży. Tak jak inne, przechodził różne koleje losu — zmieniali się redaktorzy naczelni i wchodzący w skład zespołu dziennikarze, zmieniał się charakter publikacji, ich ton i zasięg tematyczny, zmieniał się również nakład i — zapewne — krąg czytelników. Ukazujące się początkowo nieregularnie „Nadodrze" stało się wkrótce miesięcznikiem, a potem — dwutygodnikiem. Po okresie zawieszenia w stanie wojennym „Nadodrze" ukazuje się nadal, nadal pełni niezwykle ważną rolę w życiu kulturalnym i społecznym Ziemi Lubuskiej. Było i jest tam po prostu potrzebne tak, jak Lublinowi potrzebna jest „Kamena", a Łodzi — „Odgłosy".

Początki pisma wiążą się nierozerwalnie z powstaniem w lipcu 1957 roku Lubuskiego Towarzystwa Kultury, w którego statucie zapisano wówczas m.in., że za jedno z ważniejszych zadań uznaje się „wydawanie czasopism, w szczególności stałego organu prasowego Towarzystwa, pisma „Nadodrze" oraz książek i innych publikacji". Aby w pełni zrozumieć znaczenie tych słów warto, choćby pobieżnie, przypomnieć sytuację na Ziemi Lubuskiej w latach powojennych.

Wycofujący się w 1945 roku Niemcy dokonali na tych terenach wielkich zniszczeń, działania wojenne — co jest nieuniknione — dopełniły „dzieła". Ludność — w przeważającej części niemiecka — opuściła wsie i miasteczka, albo też została po wyzwoleniu przesiedlona i mimo że na jej miejsce napływali Polacy z innych regionów kraju, przedwojenny poziom zaludnienia został osiągnięty dopiero na początku lat 70-tych. Pozostała — głównie w okolicach Babimostu — ludność rodzima była nieliczna, a jej wpływ na kształtowanie się życia kulturalnego regionu — niewielki. Krótko mówiąc, brakowało w Zielonogórskiem tradycji, brakowało ośrodka skupiającego inteligencję twórczą. Ten ośrodek trzeba było dopiero stworzyć i właśnie „Nadodrze" odegrało w tym znaczącą rolę.

Trzon pierwszego zespołu redakcyjnego tworzyli dziennikarze związani z „Gazetą Zielonogórską" i lokalną rozgłośnią Polskiego Radia, ale obok nich — plastycy, aktorzy, działacze społeczni, nauczyciele. Ambicją ich wszystkich było mówić o sprawach regionu nie na obcych, ale własnych łamach. Widzieli jasno potrzebę złączenia swych wysiłków i dania miejscowej społeczności pisma, które o jej problemach mówiłoby własnym głosem.

Napływowa w większości ludność nie znała na ogół dziejów tej ziemi i dlatego w pierwszym okresie istnienia pisma bardzo duży nacisk położono na historię regionu, a także na obronę prawa Polski do środkowego Nadodrza — wbrew głosom rewizjonistów niemieckich. To było bardzo ważne zadanie. Nie zapomniano jednakże i o bieżących sprawach, poświęcając im na łamach pisma coraz więcej miejsca i uwagi. Pojawiły się również utwory literackie miejscowych twórców, ilustrowane przez miejscowych plastyków. Podniosło to niewątpliwie rangę zielonogórskiego środowiska kulturalnego, które zaczynało się przecież dopiero tworzyć. Jak ważną rolę odegrało w tym procesie „Nadodrze" niech świadczy fakt, że założycielami zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich w 1961 roku byli ludzie ściśle związani z pismem.

Tak więc przez lata „Nadodrze" nie tylko przypominało bogate dzieje Ziemi Lubuskiej, ale i współkształtowało jej najnowszą historię, będąc inicjatorem i kronikarzem wielu ciekawych i znaczących imprez, czy przedsięwzięć. Dzięki działalności pisma — choć przecież nie tylko jego — Zielona Góra stała się powoli miastem posiadającym własne, coraz liczniejsze środowisko twórcze, a wkrótce i naukowe. Nie jest to oczywiście tylko zasługą zespołu redakcyjnego i kręgu współpracowników — przyczynili się jednak przecież do tego wydatnie, artykułując aspiracje całego społeczeństwa regionu. I to chyba szczególnie zasługuje na podkreślenie.

W minionych latach nieraz dyskutowano o sensie istnienia pism regionalnych, ich roli i zadaniach. Ostatnie zmiany w krajobrazie polskiej prasy znów jakby przybliżyły ten temat. Przykład „Nadodrza", a także wielu innych pism regionalnych zdaje się świadczyć, że — powtórzmy — są one po prostu potrzebne. Powinny istnieć wszędzie tam, gdzie są możliwości ich wydawania, a przede wszystkim — gdzie istnieje na nie autentyczne zapotrzebowanie społeczne. A że jedne są lepsze, drugie — gorsze, że raz lepiej, a raz gorzej im się dzieje, to już zupełnie inna sprawa, mówiąc o tym, nie wolno jednak zapominać o historycznej perspektywie, która pozwala zobaczyć to, czego często z dnia na dzień nie widać.

P.

Myśleć jasno, bez zachwytu

Książki Jerzego Mikkego i Roberta Jarockiego — składające się z wywiadów z uczonymi — kupuje się nie dla nazwisk autorów ale dla nazwisk ich rozmówców. Nic dziwnego, jeśli są wśród nich: Aleksander Gieysztor, Janusz Groszkowski, Tadeusz Kotarbiński, Edward Lipiński, Bogusław Leśnodorski, Władysław Markiewicz, Marian Mazur czy Kazimierz Wyka. Obie książki napisali dziennikarze, parający się od lat popularyzacja nauki i naukowców: Mikke zajmuje się tym w radiu, Jarocki w tygodnikach i miesięcznikach.

Książka Mikkego ma dodatkowy jeszcze walor wynikający z tego iż autor zachęcony powodzeniem pierwszego wydania swej pracy przed dziesięcioma laty, wrócił teraz do swoich dawnych rozmówców. Niestety, nie do wszystkich, niektórych z nich nie ma już wśród nas, co zwiększa jeszcze wartość dokumentalna książki. Owe powroty wypadły bardzo ciekawie, bo zdolność analizy i krytyki nie tylko myśli cudzych, ale i własnych, jest u ludzi tego typu i tej miary bardzo rozwinięta.

Wydawać by się mogło, że rozmowy z luminarzami polskiej nauki ludźmi zajmującymi się cybernetyką, medycyną, energetyką, historią średniowiecza, fizyką teoretyczną czy astronomią pozwolą odetchnąć od zmory ostatnich kilkunastu miesięcy, od bezustannego odnoszenia wszelkich treści do naszej aktualnej rzeczywistości.

Niestety, nic z tego. Przy tej lekturze nie da się odpocząć od współczesności, od tego co jest tu i teraz. Obie książki, mimo iż autorzy nie starali się w ten sposób ukierunkowywać swoich pytań, odsyłają ciągle do tego, co się wokół nas dzieje, komentują teraźniejszość w sposób ostry i celny. I to zarówno, gdy czytamy, że: „Prakseologia jest nauka o technice działania, a to nie wystarcza. Prócz techniki potrzebna jest mądrość trafna hierarchia wartości", jak i wtedy gdy profesor Edward Lipiński snuje rozważania o roli mieszkania w kształtowaniu celów i wartości życiowych współczesnego człowieka.

Niektóre bardzo aktualne dziś problemy znajdują w tych książkach, jeśli nie swoje rozstrzygnięcia to przynajmniej bardzo poważne racje na rzecz pewnych rozwiązań. Zmarły niedawno cybernetyk Marian Mazur tak pisał w połowie lat 70-tych o pasjonującym i dziś pytaniu — czy władza powinna nakazywać, czy przekonywać:

„Dziś jeszcze ogromna większość decydentów pojmuje decydowanie arbitralnie, jako przywilej i nagrodę za zasługi, a nie jako jeden z rodzajów pracy polegający na rozwiązywaniu problemów decyzyjnych (z podaniem dowodu trafności), nie gorszy, ale i nie lepszy od innych rodzajów pracy, a na pewno wymagający odpowiednich kwalifikacji."

Tym, którzy dziś spierają się namiętnie o to, co ekspert może, a czego mu nie wolno, warto polecić spostrzeżenie Jarockiego o profesorze Kazimierzu Kopeckim: „Z trzech dróg postępowania, jakie ma przed sobą doradca-ekspert (zgadywanie, jaka rada jest najmilsza rządowi, unikanie wyraźnego stanowiska, jak długo się da; wreszcie naświetlanie trudnych problemów bez owijania w bawełnę), profesor Kopecki wybrał drogę najprostszą i najbardziej wszystkich denerwującą (...) mówi to, co rzeczywiście myśli." Rady eksperta mogą być przyjęte, odrzucone lub wykoślawione. Ale postawa tego typu gwarantuje mu rzeczy równie ważne, jak skuteczność doradzania — a tym jest szacunek społeczny i spokojne sumienie.

Obie książki warte są czytania jeszcze z jednego powodu. Mogą pomóc w zaspokojeniu potrzeby autorytetu. Dają poczucie uspokojenia, że w świecie rozchwianych wartości i rozmytych ocen są autorytety moralne i intelektualne, na których można się oprzeć i wzorować, są ludzie, którzy potrafią zrobić to, co kiedyś uczynił Janusz Groszkowski: „postanowiłem nie brać udziału w dostarczaniu narzędzi zbrodni i już od 25 lat zacząłem się wycofywać z tej — kiedyś tak umiłowanej — dziedziny (radiotechniki — przyp. mój) poświęcając się innej, której bezpośrednie skutki uważałem za mniej groźne dla ludzkości — technice wysokiej próżni".

Obie książki, choć bardzo aktualne, są trochę staroświeckie. Wyrażane w nich poglądy brzmią czasami, jakoś tak dziwnie. Julian Aleksandrowicz mówi tak: „tyle człowiek jest wart, ile dobrego świadczyć potrafi innym (...) taką postawę etyczną określam mianem altercentrycznego egoizmu" profesorowi Gieysztorowi bliska jest maksyma Monteskiusza, mówiąca, że każdy obywatel jest obowiązany umrzeć za swoją ojczyznę — nikt nie jest obowiązany by dla niej kłamać. Czyż nie brzmi to staroświecko, czyż nie są to dziś wartości niemodne, sprzeczne z powszechnym dążeniem do życia skutecznego, bez względu na koszty? Takie słowa, jak prawość, szlachetność, altruizm, wielkoduszność, wierność samemu sobie brzmią jeśli nie śmiesznie to przynajmniej obco.

Czy więc należy sądzić, że znajdziemy gdzieś w tych wywiadach sposób na życie, recepte na szczęście i powodzenie, czy z kart tych dwu książek przemawiają do nas posągowe postacie ludzi, którzy wszystko wiedzą? Jako odpowiedź może posłużyć zdanie fizyka-teoretyka, człowieka zajmującego się dziedziną nauki przeżywającą okres burzliwego rozwoju. Profesor Grzegorz Białkowski pyta: „Czy rzeczywiście — mówiąc krótko — jesteśmy potrzebni jako dostarczyciele poznania. Czy nie głaszcze nas się za co innego niż to, co nas naprawdę zajmuje?", a w wierszu pod tytułem „Co się dzieje z zębami" ten sam naukowiec napisał:

(...) są na ziemi rzeczy z których
nie śmieją się filozofowie
powieki
marzną im ze strachu
gdy patrzą na świat (...)

Książki Mikkego i Jarockiego mają jeszcze dwie zalety: bohaterowie wywiadów mówią ciekawie mądre rzeczy piękna polszczyzna i... książki te, jak dotąd, można kupić w niektórych księgarniach.

KRZYSZTOF KRUBSKI

Jerzy Mikke: Wizerunki ludzi myślących; Wydawnictwa Radia i Telewizji; Warszawa 1982; wydanie drugie poszerzone; ss. 336; cena 75 zł.
Robert Jarocki: Widzieć jasno bez zachwytu; Czytelnik; Warszawa 1982; ss. 336; cena 100 zł.

Wirydarz poetycki

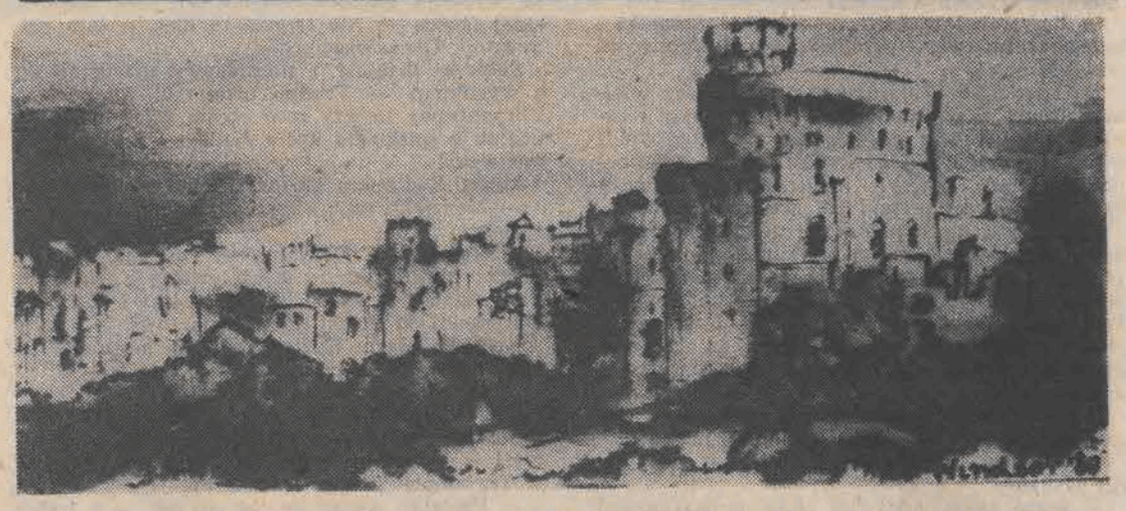

Rys. Iva Petrowa-Szram

MAGDALENA SIEROSZEWSKA
(Łódź)

Buty

Miniesz
buty zostaną
bezpańskie
bez
pańskie
bez

Po co
tyle butów
na nogach
pod stołem pod krzesłem
skrzynia
pełna butów
Rozdaj
ludziom
niech noszą
razem
buty
samotność
i wiersz
Łódź 11.I. 1983

Lament

Jakżeż pustą głowę miałam
kiedy byłam młoda
Jakże głupio żyłam byłam
kiedy byłam młoda
Całe lata zmarnowałam
roztrwoniłam przepuściłam
kiedy byłam młoda

Jakże tego żałowałam
gdy nie byłam młoda
dobre dobre życie miałam
gdy nie byłam młoda
ale w sercu żałowałam
rozpaczałam i płakałam
że nie jestem młoda
Łódź 1969

Rozterka

Powiedz
czy trudno żyć
życiem napiętym wątłą nitką chemii
powiedz
czy trudno być
bytem grodzonym kruchą siatką chemii
czy chciałbyś
złożony zmęczeniem
jednym rzutem
przeskoczyć
Nie wolno
Łódź 29.VI. 1982

IRENA GALICKA
(Łódź)

To ja, Julia

To ja, Julia, umarła i żywa,
mówię do was,
gdy chcecie znów skrzyżować szpady
i znów rody zwaśnione na siebie nastają
nie wiedząc
co jest silniejsze — strach czy nienawiść.

Kto może obojętnie dziś odwrócić oczy
od tego, co stworzono, by gwałt zadać ziemi —
co nie spłynie z jej ciała nagiego bez śladu,
jak ściekają z napiętej fali oceanu
brudne plamy ropy
z rozbitych okrętów.

Nie kierujcie ostrzy w żywe piękno świata,
uzbrojeni, straszliwie, a jednak bezbronni,
nieświadomi w pełni siły n. słabości
zbudowanych na własne podobieństwo m
i okrutnej precyzji linii lotu Cruise.

Czy chcecie zabić miłość?
Zabijcie mnie, Julię.

Rozliczenie

Policzmy wszystko,
jeśli już liczyć mamy —
wszystkie dni, noce, godziny,
oczy, usta, ręce,
śmiech, płacz i słowa.

Bicie serca.
Zsumujmy i podzielmy.
Może z tych działań
dowiemy się wreszcie ostatecznie
ile ten człowiek
musiał przejść stopni
wyrąbanych w drzewie, w węglu
w ogniu i żelazie —
bez chleba i wody,
bez ludzi i bogów —
zanim
zawiadomiono matkę
przez kraty więzienia,
że został on spalony
w obozie
o nazwie
Oświęcim.

BARBARA BIANEK
(Pabianice)

Kwiaty wiosną na drzewach

Ręka dotyka kwiatów
ruchliwych
jak skóra pantery
rozkwitła
w brudnej klatce.

Wiosna
Pytia
delficka
siedzi
wśród pałających
kwiatów
i milczy

Pragnienie

Szukam wody.
Usta mi wyschły.
Mogę odpocząć w lasku
na mchu.
leżę, nadpływają
chmury nabrzmiałe
wilgocią
Ani jedna kropla
nie spadnie mi do ust.

Cisza

Drzewa rosną rytmicznie
jak szeptany pacierz,
cicho i niewymownie.
Jest cisza wzrostu.
Otwierają się bezgłośnie
Kwiaty na słońce.
Cicho zmieniają się
w owoc wśród szelestu liści

16 września rozpoczyna sezon Filharmonia Narodowa. Inauguracja sezonu zbiegnie się z początkiem „Warszawskiej Jesieni". Na koncercie inauguracyjnym wystąpi Chór i Orkiestra Symfoniczna pod dyrekcją Kazimierza Korda. W programie: Pierre Boulez „Rituel" oraz Edison Denisow „Requiem".

Serial telewizyjny „07 zgłoś się" i jego bohater, porucznik Borewicz znów pojawią się na ekranach. Scenarzysta i reżyser serialu — Krzysztof Szmagier napisał już pięć dalszych odcinków (planuje aż dwanaście!). Wejdą do realizacji niebawem.

Dotychczas serial miał 14 odcinków, a postać głównego bohatera kreował krakowski dziennikarz Bronisław Cieślak, który zdobył ogromną popularność i sympatię widzów. Jak zapewnia autor filmu por. Borewicz nadal nie awansuje i nie wstąpi w związki małżeńskie. Co ważniejsze — jego postać nadal kreować będzie Bronisław Cieślak!

Kronika kulturalna

W Katowicach, w galerii „Za Kowadłem" otwarto ekspozycję aktu i portretu kobiecego „Venus", prezentującą najciekawsze spośród fotogramów krakowskiego Międzynarodowego Salonu Fotografii Artystycznej. Autorami ponad 180 barwnych i czarno-białych fotografii są artyści z 23 krajów.

W trakcie prac, zwanych zwykle „wykopkami", na placu Wolności w Łodzi jeden z robotników znalazł w piasku monetę. Ponieważ działo się to akurat pod gmachem Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego, znalazca odniósł monetę do gabinetu numizmatycznego. Okazało się, że znalezisko ma wartość — jest to pięciokopiejkówka z czasów Piotra II. Będzie stanowiła eksponat muzealny. Jak się okazuje, nie tylko pieniądze leżą na ulicy, ale nawet numizmaty leżą obok muzeum...

Okres kanikuły nie oznacza zastoju w stołecznych galeriach sztuki:

W Galerii MDM można obejrzeć najnowsze nabytki stołecznej BWA. Jak zapewniają recenzenci pism warszawskich jest to wystawa dzieł tej klasy których już od miesięcy nie widziano w stolicy.

W Galerii „pokaz" — gościnna wystawa BWA z Poznania. W Galerii Rzeźby można zobaczyć prace artystki z Peru, Nelly Loli.

Akademicki Ośrodek Kultury „Siódemki" ogłasza konkurs literacki o tematyce dowolnej dla młodych twórców, reprezentujących łódzkie środowisko akademickie. Nie publikowane dotąd prace w kategoriach:

— poezji (wiersze, teksty piosenek i inne) — do 5 tekstów w 5 egzemplarzach,

— prozy (w tym m. in. opowiadania, reportaże, eseje) do 10 str. maszynopisu w 3 egzemplarzach.

opatrzone godłem należy nadsyłać do 15 października 1983 r. pod adresem:

Akademicki Ośrodek Kultury „Siódemki" Łódź, Piotrkowska 77 (tel. 212-99, 337-90) z dopiskiem „Konkurs literacki".

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do 15 listopada br. Przewidziano do podziału nagrody na łączną sumę 30 tys. złotych. Organizatorzy przewidują publikację nagrodzonych prac.

O Leonie Pietrzykowskim i jego zbiorach

(Rozmowa z doc. dr ZBIGNIEWEM JERZYM NOWAKIEM)

Docent dr Zbigniew Jerzy Nowak, rodem z Łodzi, jest pracownikiem Uniwersytetu Śląskiego. W roku 1980 wydał w Katowicach tom szkiców historyczno-literackich pt. „Wśród pisarzy i uczonych". Pomieścił w nim m. in. szkice o Jerzym Szaniawskim i o roli, jaka odegrał w życiu pisarza zduńskowolanin Leon Pietrzykowski. Do docenta Nowaka, który znał Pietrzykowskiego z lat studiów krakowskich, zwróciliśmy się z prośbą o rozmowę podczas jego niedawnego pobytu z cyklem odczytów w rodzinnym mieście swego przyjaciela.

Jakie było pierwsze Pańskie spotkanie z Leonem Pietrzykowskim i jego rodzinnym miastem?

Otóż z Pietrzykowskim spotkałem się po raz pierwszy w Miechowskiem. Był to rok 1943. Pamiętam kilka dalszych spotkań w roku 1944, również w tamtych stronach. Leon zrobił na mnie wrażenie człowieka dobrego i życzliwego ludziom. Zwróciła też moją uwagę jego mądrość, która była wynikiem licznych życiowych doświadczeń. Był zresztą starszy ode mnie o siedem lat, toteż sądy Leona o ludziach i literaturze były bardzo dojrzałe.

Pamiętam, że w tych właśnie wojennych latach bywał często w Pławowicach w dworze znanego poety i dramaturga Ludwika Hieronima Morstina. Leon wiele mi opowiadał o atmosferze intelektualnej tego domu, w którym przyjmowany był gościnnie przez gospodarza. W dziejach naszego życia literackiego podczas okupacji niemieckiej Pławowice zasługują na osobny rozdział, który powinien być opracowany przez jakiegoś badacza.

Urodziłem się w Łodzi. Przypominam sobie, że jako mały chłopiec bywałem w Zduńskiej Woli około roku 1930. Ale oczywiście niewiele dziś mogę o tym panu powiedzieć.

Z kolei byłem w mieście rodzinnym Pietrzykowskiego w roku 1945, wczesną wiosną, gdy trwały jeszcze działania wojenne. Był to okres, jak się wtedy mówiło, „wędrówki ludów". Poszukiwałem swych dokumentów w Kaliszu, gdzie ukończyłem przed wojną gimnazjum. A chciałem studiować w Krakowie. W drodze powrotnej z Kalisza złożyłem wizytę Rodzicom Leona w ich domu przy ul. Złotej. Leon mówił mi zawsze o swym domu rodzinnym z radością. Traktował go jako azyl dla swej pracy twórczej. Ale były to plany obliczone na przyszłość. Bo na razie podjął studia w Krakowie, gdzie spotkaliśmy się w Bursie Studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Leonowi zawdzięczam, że zamieszkałem od kwietnia 1945 roku w tej słynnej historycznej Bursie, zwanej ongiś Bursą Jerozolimską.

Dziś dużo się mówi w Polsce o zbiorach Leona Pietrzykowskiego, znajdujących się obecnie w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Jerzego Szaniawskiego w Zduńskiej Woli. Jak pan docent ocenia stan tych zbiorów?

Po śmierci Pietrzykowskiego w roku 1952 rodzina przewiozła jego papiery i książki z Krakowa do Zduńskiej Woli. W grudniu owego roku podczas parodniowego pobytu w domu państwa Pietrzykowskich porządkowałem archiwum Leona, wydzielając materiały dotyczące Jerzego Szaniawskiego i jego twórczości. Sporządziłem spis owych materiałów i kopię spisu przekazałem Szaniawskiemu. Był tym rejestrem zaciekawiony, nawet — jak pamiętam — zdumiony, że Leon zdołał zgromadzić aż tyle materiałów. Szaniawski wyraził wówczas życzenie, by archiwum Leona, dotyczące jego osoby i twórczości, pozostało w Zduńskiej Woli w rękach rodziny Leona. Tak się też stało.

Zbiór zduńskowolski ma duże znaczenie, jeśli idzie o badania nad życiem i twórczością Szaniawskiego. Np. autografy pisarza mogą być przydatne do krytycznego wydania jego dzieł. Warto wspomnieć, że w zbiorze tym znajduje się autograf „Dwóch teatrów". Są też listy pisarza, bardzo interesujące, np. list z 13 sierpnia 1952 roku, skierowany do Rodziców Leona, bezpośrednio po jego śmierci. Doszedł w tym liście do głosu zarówno ból po stracie bliskiego człowieka, jak i pogląd pisarza na świat. To wyjątkowa wypowiedź Szaniawskiego, który — jak to powszechnie wiadomo — słynął ze swej małomówności. Cenny jest również materiał ikonograficzny, zgromadzony przez Leona.

Przed paroma laty, gdy pisałem szkic biograficzny o Pietrzykowskim, korzystałem z tego zbioru w bibliotece w Zduńskiej Woli. Z przyjemnością wówczas stwierdziłem, że archiwum Leona było otoczone szczególną troską. Cieszę się także, że zduńskowolska biblioteka nosi miano Biblioteki Jerzego Szaniawskiego.

Rozmawiał: FELIKS RAJCZAK

List Leona Pietrzykowskiego do Jerzego Szaniawskiego

Kochany Panie Jerzy! **Kraków. 5.XI.1951 r.**

Czekam już parę dni, ale Tutka nie przychodzi. Ja w tej materii jestem innego zdania. Ile mnie nie wzrusza tu tak specjalnie, bo to może i racja, że taki wybór drukowanych u niego opowiadań kastruje trochę z co najlepszych własności i nie daje właściwego obrazu, chociaż ilościowo jest to nawet sporo. Chętnie bym natomiast widział już całość, na którą nigdy nie zabraknie mi czasu do przepisania. Powtarzam, zrobi się kilka egzemplarzy, z których jeden, gdy będzie trzeba, powędruje z wszystkimi innymi do Jagiellonki. Powinno przecież coś zostać. Musi nawet coś zostać. Tak samo chciałbym zakończyć z „Lekkoduchem". Proszę mi przysłać egzemplarz poprawiony, a zaraz uzupełnię te, które mam i łącznie z „Ewą", która już jest dawno gotowa i ze słuchowiskami, które też czekają na odesłanie do Zegrzynka. Chciałbym z tego zrobić całą paczkę, a może po prostu na Boże Narodzenie odwieźć to wszystko razem z gotowym „Tutką". Zabrałbym cały ten bagaż papierowy i powiózłbym jak Gwiazdkę świąteczną. Proszę więc bardzo opracowywać Tutkę tak, jakby miał wyjść ściśle według Pańskich życzeń i nakazów.

Mówiłem Eilemu o słuchowiskach. Kiedy mu opowiedziałem „Zegarek", prosił, żeby mu przynieść a gdzieś po Przyjaźni radzieckiej wydrukuje. Tymczasem dał już drugiego Tutkę z dwóch przez Pana przekazanych mi dla niego. Drukował pojedynczo, aby było na dłużej. Nawiasem dodam, że na tle roboty, jaką ja teraz uprawiam, każde przepisywanie utworów typu Tutki jest jak najprzyjemniejszą odskocznią, wypoczynkiem, a rozłożone na tydzień czasu nie sprawia żadnej, ale to najmniejszej nawet trudności. Niech to przynajmniej posłuży za argument wśród wszystkich ważniejszych jeszcze.

W Krakowie wszystko po staremu. W teatrach mają grać Shawa „Szczygli zaułek", jakaś sztukę Ostrowskiego i po raz już któryś Zemstę". Byłem na Iwaszkiewicza „Błędomierzu". Mimo że druga nagroda, mojej publiczności studenckiej nie podobało się całkiem. Waśkowski portret mój skończył, teraz muszę sobie ramę kupić i oprawić. Fotografii nie robiłem, bo teraz pogoda i nie najlepsza i sprawa nie tak pilna. Udało mi się parę z domu mojego. Pokażę, jak przyjadę. Dziś załączam jedną na naszych piaseczkach i te, które poprzednio zapomniałem dosłać.

Z życiem u nas coraz gorzej. Ostatnio w sklepach brakowało maki. Cukier też w kolejkach i trudny. Masło ma być na kartki. Ludzie bardzo narzekają. Płaszcz, który ubiegłego roku nie kupiłem za 30 tysięcy, bo była wymiana, teraz kosztuje nie jak powinien 900 zł, ale 1 800 ! Jak tu godzić wiele spraw z sobą.

P S O jeszcze jedno poproszę. Obiecał pan w Zegrzynku, że przy okazji prześle mi Pan paczkę „Dwóch teatrów". Przydałaby się może, bo mógłbym rozprowadzić między chętnych, a za to kupiłbym te językoznawcze, które teraz na zimę mogą być bardzo przyjemną lektura.

Na tym już jednak kończę, bo muszę już wyjść do pracy. Serdecznie wszystkich w Zegrzynku pozdrawiam, a Panu jeszcze życzę dużo spokoju — aby Tutka miał się z tego dobrze.

LEON

RYSZARD PORADOWSKI

Przyjaciel Jerzego Szaniawskiego

„Czcigodni, Drodzy Państwo! Drodzy mi są Państwo, jako rodzice Leona, człowieka, którego tak głęboko pokochałem. Bliższego niż On nie mam, ani wśród krewnych, ani przyjaciół. Ból mój z powodu wypadku, który wyjaśnić może tylko wola Opatrzności, jest wielki. Uczucia Rodziców rozumiem, bowiem i moje uczucia do drogiego Leona są pokrewne. Zawsze myślałem, że On, człowiek młody i przywiązany tak do mnie, będzie i tym, który mnie pochowa. Stało się jednak inaczej — to ja przy naszym rozstaniu uścisnąłem już cichą, pełną spokoju Jego drogą mi tak głowę i pokryłem postać zielenią z Zegrzynka, w którym czuł się tak dobrze i gdzie przez wszystkich domowników witany był zawsze z radością".

Tak brzmi początek listu Jerzego Szaniawskiego do rodziców zduńskowolanina, przyjaciela pisarza Leona Pietrzykowskiego, napisanego 18 sierpnia 1952 r., a więc pięć dni po zegrzyńskiej tragedii. Listu

bo pomieścić musimy
waszą jesień leniwą
w kilku dniach.

Po odbyciu jednorocznej służby wojskowej rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nie był to widocznie trafny wybór, bo po roku porzucił prawo. W roku akademickim 1936/1937 jest już studentem polonistyki.

Kraków ze swoimi zabytkami, klimatem i atmosferą urzekł Pietrzykowskiego. Tu dopiero mógł bliżej poznać wielu znakomitych naukowców i artystów, zgłębiać ulubioną socjologię, analizować dzieła znakomitych malarzy. Kraków dla Pietrzykowskiego, chłopca z prowincji, stał się prawdziwą stolicą. Aczkolwiek wielokrotnie powracał później do Zduńskiej Woli pozostał wierny Krakowowi. Nie porzucił tu także swojej pasji krajoznawczej, kończąc w 1936 r. kurs przewodników po Krakowie.

Tragiczny wrzesień 1939 r. położył kres studiom L. Pietrzykowskiego. Wojna nie oszczędziła także jego rodziny, która musiała opuścić dom przy ul. Złotej. Po jakimś czasie Pietrzykowscy wrócili do swojego domu, ale Leon postanowił wyjechać do Krakowa. Tak też zrobił, choć wkrótce okazało się, iż nie był to krok przemyślany. Prawdopodobnie już w pierwszych miesiącach 1940 r. został aresztowany przez hitlerowców i wywieziony do Tarnowa, następnie do Oświęcimia. Wśród rodzinnych pamiątek przechowywanych przez Irenę, siostrę Leona, zachowało się sporo listów z obozu noszących daty dzienne z okresu lipiec 1940—listopad 1941 r. Prawdopodobnie Pietrzykowski był wśród tych więźniów, którym przyszło wznosić „fabrykę śmierci". Jako pielęgniarz pomagał chorym i umierającym, co zapamiętali oświęcimscy towarzysze niedoli. Jeden z nich wspominał: *„Potrafił Leon zdobyć sobie szacunek chorych jako człowiek bezwzględnie sprawiedliwy i uczciwy".*

Miał Leon Pietrzykowski sporo szczęścia, bowiem udało mu się odzyskać wolność jeszcze przed zakończeniem wojny. Jako inspektor rolny trafił później do Pławowic, siedziby Morstinów, gdzie w latach okupacji schroniło się sporo ludzi pióra. Tu poznał Mariana Piechała i Ludwika Hieronima Morstina.

Po zakończeniu wojny Pietrzykowski kontynuował przerwane studia. Z wielkim podziwem przyglądano się jego nauce, wertowaniu opasłych tomów egzemplarzy reżyserskich sztuk wystawianych wówczas w Krakowie, śledzeniu bujnego życia teatralnego. Leon Pietrzykowski z wielkim zacięciem studiował dzieje polskiego i światowego teatru.

W okresie tym nie zapominał o turystyce. Kochał góry i często wędrował po górskich szlakach. Bywało, że z tych turystycznych eskapad powracał do domu po kilku dniach. W górach nie szukał towarzystwa kolegów. Wystarczała mu przyroda, bardzo piękna i nastrojowa, dostarczająca wrażeń i emocji, wyzwalająca refleksje.

Okres studiów wykorzystywał Pietrzykowski na gruntowne poznanie teatru. Zawierał więc znajomości z ludźmi sceny i dramaturgii. Nie opuszczał również premier teatralnych. Urzeczony sceną marzył o wystawianiu własnych sztuk.

Prawdopodobnie u progu 1946 roku poznał Jerzego Szaniawskiego i stał się wkrótce jego gorącym zwolennikiem. Znajomość szybko przekształciła się w przyjaźń. Autor „Dwóch teatrów" nie szczędził rad Leonowi Pietrzykowskiemu. Obaj prowadzili długie dyskusje o dramacie i teatrze. Plonem tych zainteresowań i studiów była praca magisterska pt. *„Dramaturgia Jerzego Szaniawskiego a teatr (próba ustalenia związku)"* napisana pod kierunkiem Stanisława Pigonia.

Pietrzykowski zaprzyjaźnił się z Szaniawskim i stał się swoistym opiekunem autora „Mostu". Jerzy Szaniawski w sprawach życiowych był niezaradny, więc Pietrzykowski dostarczał mu żywność, papier, atrament, a nawet lekarstwa. Pietrzykowski niejednokrotnie przygotowywał do druku dramaty swojego przyjaciela, służył także uwagami i swoim doświadczeniem. Sam Pietrzykowski z osobistych kontaktów z Jerzym Szaniawskim wynosił gruntowną o nim wiedzę, jednocześnie gromadził dokumenty autora „Dwóch teatrów". W tym bogatym archiwum znalazły się druki, listy, rękopisy i maszynopisy, zdjęcia i wycinki prasowe.

Leon Pietrzykowski mieszkał w Krakowie w niewielkim pokoiku. Kilka mebli, jakaś leżanka i mnóstwo książek. Można je dziś zobaczyć na zdjęciach przedstawiających ten pokój, a także w mieszkaniu przy ul. Złotej w Zduńskiej Woli, dokąd trafiły dzięki pani Irenie. Roczniki czasopism poświęconych teatrowi, dzieła znakomitych polskich i światowych dramaturgów. Pani Irena Lisowa zaopiekowała się tym wszystkim po tragicznej śmierci Leona.

W tym ciasnym krakowskim pokoiku Pietrzykowski sporo pisał. Próbował nawet wydać swoje utwory, ale napotykał na jakieś bariery. Te obawy wydawców bolały go, o czym niejednokrotnie rozmawiał ze swoimi bliskimi.

Pracując w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie przyjeżdżał często do Zegrzynka, gdzie zamieszkał Jerzy Szaniawski. Pomagał swojemu Mistrzowi w załatwianiu życiowych spraw. W starym parku obaj godzinami rozmawiali o literaturze i czytali ulubione książki.

Jerzy Szaniawski żył bardzo skromnie. Jak wspomina pani Lisowa, która kilka razy odwiedziła Zegrzynek, w pokoju pisarza nie było właściwie mebli. Skromne były także posiłki. Autor „Dwóch teatrów" uwielbiał herbatę, którą Pietrzykowski dostarczał mu niejednokrotnie do Zegrzynka. Szaniawski doceniał pomoc Pietrzykowskiego, traktując go jako największego swojego przyjaciela.

13 sierpnia 1952 r. w Zegrzynku doszło do tragedii. Po śniadaniu Pietrzykowski udał się nad rzekę. Był sam. Podczas kąpieli utonął. Gdy ciało jego wydobyto z Narwi i złożono w parku, Szaniawski nakrył je gałęziami. Ta nagła śmierć zabolała go. Do rodziców Leona wysłał długi telegram.

Ciało Leona Pietrzykowskiego spoczęło na zduńskowolskim cmentarzu przy ul. Łaskiej. Na czarnym marmurze wyryto nazwisko, kilka dat... Dopiero w 1973 r. dzięki Stanisławowi Fuksowi odkryte zostały bogate zbiory Leona Pietrzykowskiego, nazwane „sensacją naukową". Pozwoliły one zweryfikować wiele faktów o Szaniawskim i wprowadzić sporo korekt do już wydanych jego dramatów. Zduńskowolskie zbiory dotyczące Szaniawskiego za sprawą Pietrzykowskiego stały się jedyne i niepowtarzalne tworząc kolekcję, której pozazdrościć mogą najwspanialsze muzea. Dziś znaczna część tych pamiątek znajduje się w zbiorach Miejskiej Biblioteki Publicznej noszącej od kilku lat imię Jerzego Szaniawskiego.

Leon Pietrzykowski nie doczekał się jeszcze należytego uhonorowania przez rodzinne miasto. Zapomniano tu o jego karierze dziennikarskiej w murach najstarszej i zasłużonej dla miasta szkoły, nie uczczono pamięci choćby nadaniem jego imienia którejś z ulic. Te niedopatrzenia warto naprawić.

Noc ogień rozsadza,
w listach ludzie konają,
zatracają się tęcze w spękłych
lustrach i łzach.
Ciepłem dłoni naglimy do
dojrzenia
owoce.

JAK ZOSTAĆ ŚPIEWAKIEM

Czekając na piękne głosy

Dokończenie ze strony 1

zainteresowaniem słuchali śpiewu piosenkarza, zwrócili uwagę na jego zadatki na tenora operetkowego i... pominęli w kwalifikacji do czołówki. **Elżbieta Jedyńska,** to kolejny głos piosenkarski na konkursie. W tym przypadku widoczne jest ewidentne nieporozumienie. Malutki, niesłyszalny głosik, repertuar Eleni i Urszuli Sipińskiej, wykonywany z kartki. **Zofia Rogala** (aria Anusi z „Wolnego strzelca"), to już prawie gotowa śpiewaczka. **Piotr Miciński** miał wygląd licealisty, ale głos rasowego śpiewaka (bas). **Violetta Rutkowska** kształciła swój duży, mocny sopran u prof. Śledzickiego, który prowadził m. in. baryton Krzysztofa Krawczyka. Ukończyła średnią szkołę muzyczną i należy do najbardziej dojrzałych wokalistek konkursu. **Małgorzata Długosz,** to samouk, ale w podarunku od natury dostała śliczny sopran koloraturowy, który bardzo podobał się nie tylko mnie; ale publiczności i jury. O lekko nosowym tenorze **Dariusza Stachury** ktoś z jury powiedział, że to starczy, zepsuty głos, ale była to opinia jednostkowa. Podobnego tenora nie było na tegorocznym konkursie, bo **Janusz Marciniak,** to surowizna z przylepionym uśmiechem, **Sławek Czarnecki** z Białegostoku był odkryciem konkursu, w tym nieśmiałym chłopcu, którego wychowywał dziadek, schował się wspaniały bas, o którym jeszcze będziemy słyszeli. **Piotr Podsiedlik** nie śpiewał, lecz skrzypiał i skrzeczał. Szkoda, że nikt wcześniej nie wyperswadował mu, że publiczne śpiewanie poważnych pieśni nie powinno być jego specjalizacją. **Danuta Strojecka,** to kolejna piosenkarka bez głosu i przykład bezradności takich panienek, gdy nie ma mikrofonu.

Kilka osób nie przystąpiło do konkursu — trema. Może to i dobrze, bo odporność psychiczna przy wszelkich publicznych produkcjach jest równie ważna jak predyspozycje wokalne.

Z mojej pokonkursowej relacji można wnioskować, że dominowały ćwierćtalenty. Otóż nie, przeważały co prawda wokalne przeciętności z pewnym przygotowaniem muzycznym, ale widoczne też było ścisłe (choć nieliczne) grono uzdolnionej młodzieży oraz kilka nieporozumień.

Aby w roku przyszłym tych ostatnich było jak najmniej, przyłączam się do postulatu doc. **Zdzisława Krzywickiego,** znakomitego śpiewaka i pedagoga Akademii Muzycznej, członka jury konkursu i komisji egzaminacyjnej, który zasugerował, żeby eliminacje wstępne do tak poważnego konkursu w tak szacownym przybytku jakim jest Akademia Muzyczna przeprowadzać w domach kultury a do finału kwalifikować ludzi o pewnym poziomie i predyspozycjach. Eliminacje wstępne są konieczne, tym bardziej, że w przyszłości konkurs jest planowany jako impreza ogólnopolska na szeroką skalę, większą niż dotychczas. Przydałaby się też jego większa reklama w środkach masowego przekazu, dzięki której talenty schowane w najodleglejszych zakątkach kraju będą miały szansę pokazania się w Łodzi. Kilka osób z tzw. terenu, które w tym roku przyjechały do Łodzi, okazały się właśnie takimi przypadkami i kto wie jak potoczyłyby się ich życiowe losy, gdyby nie... Zanim usłyszymy o laureatach tegorocznego konkursu, a czeka ich długa droga i wielka praca — zaprezentuję najlepszych.

W kategorii głosów żeńskich pierwszą nagrodę otrzymała **Zofia Rogala** (229 punktów, 33 lata, matka dwojga dzieci, artystka chóru Teatru Wielkiego w Łodzi). Szkoda, że życiowy los nie pozwolił tej świetnej sopranistce pójść dalej, bo głos jest bardzo piękny. Druga nagroda przypadła **Małgorzacie Długosz** (218 punktów, córce kolejarskiej, która śpiewać nauczyła się sama). Koloratura od natury, z dużą przyszłością. Trzecia nagroda dla **Jolanty Kani** (bogaty i ładny w barwie mezzosopran). Co dalej zrobi ze sobą Jola, nie wiadomo, bo po konkursie zniknęła.

Wyróżnienia przyznano: **Violetcie Rutkowskiej, Annie Dzionek** i **Aleksandrze Kacprzak,** utalentowanym dziewczynom o zróżnicowanym stopniu przygotowania wokalnego.

W kategorii głosów męskich zwyciężył **Piotr Miciński** (244 punkty), ładny bas z przyszłością, laureat II nagrody w konkursie dla amatorów w Krynicy. Drugą nagrodę przyznano **Sławomirowi Czarneckiemu** (236 punktów), kolejny bas przyszłości. Trzecia nagroda dla **Janusza Marciniaka** (231 punktów), który później podczas egzaminów wstępnych do AM, zdradził słaby słuch i odpadł z konkursu po indeks. Wyróżnienia otrzymali: dwaj chłopcy o amantowskich predyspozycjach zewnętrznych do zawodu śpiewaka i pięknych, mocnych głosach, więc szczególnie poszukiwani: **Wojciech Grzelak** i **Dariusz Stachura.** Obaj sprawdzili się w konkursowym egzaminie na Wydział Wokalno-Aktorski i tak naprawdę zostali odkryci dopiero tam. Jury nie pomyliło się w diagnozach, co do najbardziej uzdolnionej wokalnie młodzieży, może poszczególne miejsca są trochę kontrowersyjne, kto wyżej, kto niżej, ale pięknych głosów nie pominięto i to jest najważniejsze.

Konkurs wokalny był preludium do kolejnego, ważniejszego już etapu dla śpiewającej młodzieży — egzaminów wstępnych na Wydział Wokalno-Aktorski Akademii Muzycznej w Łodzi.

II. EGZAMIN NA ŚPIEWAKÓW

W kuluarach.

Atmosfera była typowa dla przebiegu egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie. Kandydatom towarzyszyło skupienie i zdenerwowanie, milczenie i rozmowność, trema i odwaga, świadomość swoich atutów i braków. Jedni wiedzieli po co przyszli do Akademii Muzycznej, inni wykazali rozkoszną nieświadomość — co to znaczy być śpiewakiem operowym, i że studia takie trwają aż 6 lat. Chłopcy dokonywali rozeznania kto jakim głosem śpiewa. Wiedzieli, że brakuje jak zawsze tenorów, ale i barytony w tym roku były mile widziane.

Dziewczęta posmutniały, gdy zorientowały się, że jest wśród nich tylko jeden mezzosopran, ale za to jakby wzrosła w nich wola walki i bycia najlepszą.

Komisja.

Za egzaminacyjnym stołem zasiedli ci, którzy będą słuchali, badali, oceniali, prognozowali...

ADAM DULIŃSKI (dziekan, przewodniczący komisji, kierujący przebiegiem egzaminów), **HALINA ROMANOWSKA, TATIANA MAZURKIEWICZ, ADELA WINIARSKA, JADWIGA PIETRASZKIEWICZ, GRAŻYNA KRAJEWSKA, ZOFIA STEFAŃSKA, ZDZISŁAW KRZYWICKI, WŁADYSŁAW MALCZEWSKI, TADEUSZ KOPACKI, STANISŁAW HAIMBERGER.**

Wśród tego grona przeważają znani i uznani śpiewacy, rozpoznaję wielką gwiazdę łódzkiej sceny operowej, która zaledwie trzy lata temu zeszła w glorii sławy z desek Teatru Wielkiego — **Halinę Romanowską,** czołową dziś solistkę Teatru Muzycznego — **Grażynę Krajewską,** znakomitego basa Teatru Wielkiego — **Zdzisława Krzywickiego** i zasłużonego dla tej sceny — **Władysława Malczewskiego.**

Oni nie tylko słyszą, ale i potrafią prognozować już na początkowym etapie o przydatności poszczególnych kandydatów do opery, operetki, na estradę, w ogóle do zawodu śpiewaka.

Adam Duliński otwiera pierwszy dzień egzaminów, ten najważniejszy i w wielu przypadkach przesądzający o powodzeniu w drodze po indeks.

— Zaczynamy szukać talentów. Jeżeli kandydat ma przekroczony limit wieku, np. o rok, to musi być rewelacyjny i powinien zdać egzamin na piątkę, aby jego kandydatura mogła być rozpatrywana. Ponadto na życzenie komisji będzie badana skala głosu. Każdy z kandydatów wykonuje dwa utwory. Nie będziemy przerywali.

Kandydaci:

Zatrzymajmy się przy ciekawszych przypadkach, wśród których proponuję prezentację wyróżniających się głosem, muzykalnością, przygotowaniem i tych będących nieporozumieniem.

Zosia z Łodzi, dysponuje mezzosopranem, głosem na który obecnie jest większe niż zwykle zapotrzebowanie, ale w barwie jest on nieciekawy, a wiek kandydatki znacznie przekracza przyjęte normy. Zosia myli się w pieśni, ale komisja wykazuje wyjątkową cierpliwość i życzliwość dla tej kandydatki. Zaglądam więc do teczki osobowej. „Pracowałam jako sprzątaczka w Teatrze Powszechnym, studiowałam przez 9 semestrów etnografię na UŁ, jestem córką aktorów lalkowych". Doc. Jadwiga Pietraszkiewicz bada skalę głosu w górę i w dół. Oj, Zosia chyba dalej nie przejdzie.

Małgorzata z Łodzi jest drugim mezzosopranem i ma tylko 18 lat. Z teczki osobowej dowiaduję się, że posiada wyjątkową zdolność samodzielnego myślenia. Patrzę na myślącą Gosię i dostrzegam obok zmarszczek na czole słabiutkie warunki zewnętrzne. Co przeważy w jej dalszych losach podczas egzaminów na śpiewaczkę?

Laura ma 18 lat i wspaniałą urodę. Do Łodzi przyjechała z Opoczna, gdzie śpiewała z powodzeniem w zespole wokalnym przy MDK, brała udział w Konkursie Jednego Wiersza, pracowała w Kole Plastyków. Ze świadectwa dojrzałości wynika, że była uczennicą dostateczną, ale za to ma dobry głos i słuch. Laura śpiewa dwie ballady: „Modlitwę" Okudżawy i „Odpowie ci tylko wiatr" Dylana. Głosowo i interpretacyjnie jest świeża i pełna wdzięku. W sprawdzeniu skali sięga najwyższych dźwięków. Podoba się komisji. Czy jednak na tyle, aby zakwalifikować się dalej?

Wojtek z Torunia, 19 lat, ukończył PSM II stopnia z wynikiem bardzo dobrym, rodzaj głosu — tenor. Wydawałoby się, że wszystko jest w porządku, pewniak. A jednak — głos okazuje się nieduży, ze słabą górą, przygotowanie jak na absolwenta szkoły muzycznej — przeciętne.

Piotr, 19 lat, z Łodzi jest samoukiem, nauczył się grać na gitarze, śpiewał w szkole, ma dobre warunki zewnętrzne, ale głos jest brzydki w barwie i brzmieniu. Słuch też nie najlepszy. Porażka na konkursie wokalnym nie zraziła go, po egzaminie był dobrego zdania na swój temat. Smutne.

Basia z Łodzi, 21 lat, ukończyła IV wydział, uczyła się śpiewu, zdaje po raz drugi. Niestety, głos wygląda na zmanierowany, średnica z przydźwiękiem, góra zdławiona. Szkoda, tyle pracy włożyła pani Kobus w przygotowanie Barbary.

Jan ma już 26 lat, ale próbuje, śpiewu uczył się przez rok w szkole muzycznej, śpiewał w chórze Teatru Muzycznego w Łodzi, z wykształcenia jest technikiem elektrykiem. Powinien jednak zostać przy wyuczonym zawodzie.

Janusz z Łodzi, 19 lat, jest naszym znajomym z konkursu wokalnego, aby ułatwić sobie zadanie wykonuje arię tenorową transponowaną na barytonową. Śpiewał w „Łódzkich Szczygłach", w zespole wokalnym przy I LO, był drużynowym w harcerstwie. Z niezaprzeczalnych i widocznych atutów pozostaje przylepiony uśmiech i wojskowa postawa.

Dariusz, 21 lat, z Brzezin, absolwent Technikum Elektrycznego w Koluszkach, w podaniu o przyjęcie na studia napisał najkrótszy życiorys. Pokazuje duży tenor, a podczas badania skali sięga „d". Nosowe brzmienie tenora uda się zniwelować.

Beata z Augustowa, 21 lat, zdawała w tym roku do PWSFTviT, w ubiegłym do PWST w Warszawie. Aby być blisko teatru podjęła pracę w charakterze gońca w Teatrze Powszechnym. Koniecznie chce być artystką. Nie można jej odmówić uporu w dążeniu do celu, ale co z tego, gdy talentu brak.

Violetta ze Słupska, 21 lat, ukończyła PSM I i II stopnia, jej wykonanie arii „Płacz serce me" zrobiło ogromne wrażenie! Takiego przejmującego i dużego głosu nie było w tym roku w Łodzi.

Elżbieta, 20 lat, uczyła się w Ognisku Muzycznym, do Akademii Muzycznej zdaje po raz trzeci. Dysponuje niedużym sopranem, ładnym w barwie, który przy badaniu skali sięga do „fis". Nikt z kontrkandydatów nie zaśpiewa wyżej od Elżbiety.

Wojtek z Pabianic, 21 lat, w ub. roku zdawał do AM jako tenor, wybrał bardzo trudny repertuar i zdany był w jego przygotowaniu tylko na siebie. Nie podejrzewał, że jest dużym barytonem. Metamorfozy wokalnej dokonał jak zawsze z powodzeniem Roman Werliński. Baryton Wojtka okazał się najzdrowszym głosem konkursu, o takim głosie marzą pedagodzy, bo można go wymodelować. Egzamin w tym przypadku przebiegał koncertowo.

Małgorzata, 21 lat, znakomicie przygotowana od strony muzycznej do zawodu (ukończona szkoła muzyczna w klasie fortepianu), uroda gwiazdy operetkowej i ładny sopran. Czy trzeba więcej?

Podobnie z Anną z Łodzi, 19 lat, z tym, że ta dziewczyna nie ma żadnego przygotowania muzycznego.

Anna nr 2, ukończyła Liceum Muzyczne (obój) i po raz trzeci zdaje do Akademii Muzycznej, w przerwach między egzaminami i pracą nad sobą, pracuje w chórze Teatru Wielkiego. Będzie tam jeszcze kolejny sezon.

Roberta, 20 lat, Szczecinek, słuchacza II roku Studium Piosenkarskiego w Poznaniu, absolwenta PSSM (Wydział Instrumentalny — saksofon) poznaliśmy już przy konkursie wokalnym. Zarówno tam, jak i tu zaprezentował się z najlepszej strony. Był przy tym wytwornie ubrany, co komisja oceniła in plus, interpretując jako szacunek dla siebie. I słusznie. Nie wiadomo czy stało się dobrze, czy źle, że Robert dalej będzie kształcił się w Poznaniu, a później w Katowicach. Ma już udane nagrania radiowe i za rok będziemy go podziwiali w Opolu. Po niepowodzeniu w Łodzi, Robert wybrał ostatecznie drogę piosenkarską, zdopingowany do jeszcze większej pracy nad sobą. Ale jest wyjątkiem, który posiada świadomość swoich realnych możliwości w wokalistyce i na pewno w niej odnajdzie siebie.

Agnieszka ma 23 lata, ukończyła PSSM I i II stopnia w klasie fagotu, dyplom w klasie śpiewu również posiada, reprezentuje bardzo dojrzały sopran i głos wyjątkowej urody. Nie przypuszczałem, że ta gotowość śpiewacza i wczesny profesjonalizm nie znajdą uznania u komisji, która widzi ją na scenie, a nie w uczelni. Agnieszka pracowała na poczcie... Po niepowodzeniu w Łodzi, czym prędzej pojechała na egzaminy do Gdańska.

Do dalszych eliminacji wybrano 19 osób.

BOHDAN GADOMSKI

Polemiki • Listy • Opinie

JESZCZE RAZ W SPRAWIE „KOŁOWROTKA I KOPIARKI"

ODPOWIEDŹ DLA J. POTĘGI

Audiatur et altera pars!

Pisze Józef Potęga, że nie należy łączyć JEGO nazwiska z moją publikacją w „Odgłosach" pt. „Kołowrotek i kopiarka". Jest to prawda absolutna. Od roku 1955, a więc od 28 lat mam bowiem taki idiotyczny zwyczaj, że piszę i publikuję swoje reportaże bez pomocy, inspiracji oraz protekcji Józefa Potęgi.

Pisze Józef Potęga, że krytykuję i obśmiewam wszystko co się działo w epoce „Drugiej Polski". Jest to kłamstwo absolutne. M.in. przykładem mego stosunku do tych i trudnych, i łatwych lat, jest reportaż mój z 5 marca 1983 („Ogłaszam alarm" z 10/83 „ODGŁOSÓW"), gdzie podnoszę ogromne zasługi Jana Szydlaka przy powstaniu Portu Północnego w Gdańsku.

Pisze Józef Potęga, że moje opinie w artykule „Kołowrotek i kopiarka" dotyczące byłego i aktualnego dyrektora ŁZK „Prexer" są tendencyjne i z gruntu fałszywe. Na czym ten fałsz polega?

O nowym dyrektorze pisałem, że bezkolizyjnie układa sobie pracę z ludźmi i nie lubi zbytnich papierków. O byłym dyrektorze — że posiada ogromne zasługi w uratowaniu ŁZK od zalewu nonsensownych, a odgórnie zalecanych zakupów i wykorzystania szkodliwych licencji zachodnich. Ponadto, że wyprofilował produkcję ŁZK — wykorzystując do tego duży talent, spryt i „plecy" u ówczesnego min. Wrzaszczyka. Ponadto napisałem, że inż. Stefan Jabłoński lubił „rzucać mięsem" publicznie. I chyba o to mięso chodzi, bo reszta „tendencyjnych opinii" jest pozytywna — a z takimi się na ogół nie polemizuje.

Zgadzam się, że być może Józef Potęga zna lepiej ŁZK „Prexer" niż ja — co nie zmienia faktu, iż np. uczestnicy KSR obojga płci w tych zakładach słuchali sobie np. wygłaszanych ex catedra przez dyrektora zdań, że pewien wysoki urzędnik „p... głupoty, bo to jest... na kaczych nogach". Gdybym nie słyszał, to bym nie pisał.

Pisze Józef Potęga, że popełniłem „zasadniczy błąd w sztuce", „wyręczając powołane organy". W ten sposób poinformował mnie J. Potęga, że jakoweś „organy" zajmują się inż. Stefanem Jabłońskim — czego nie uważam za prawdę, ponieważ „rozliczanie" człowieka za „rzucanie mięsem" 10 lat temu jest czystym surrealizmem.

Na marginesie sądzę, że zbytni pośpiech w notce redakcyjnej „Odgłosów" był niewskazany, ponieważ teksty — publikowane w „ODGŁOSACH" i wysyłane do J. Potęgi nie były identyczne, co J. Potęga lojalnie przyznaje.

A więc — zgodnie z tym co na wstępie — audiaur et altera pars.

ROBERT GLUTH

KOLONIJNY SKANDAL

Blisko czterdziestce dzieci, w wieku od lat pięciu do czternastu, przebywających na obozie sportowo-rekreacyjnym w Grotnikach k/Łodzi brakuje nie tylko jedzenia, ale nawet wody do picia. Wbrew szumnej nazwie placówki, warunków do zajęć sportowych też nie mają żadnych. Jedyna sfatygowana piłka — to cały sprzęt, jaki zafundował im organizator. Kierowniczka, Teresa Dąbek, bez przerwy prowadza swoich podopiecznych na zajęcia do pobliskich kolonii — tu mecz w piłkę ręczną, tam siatkówka i ping-pong, gdzie indziej ciepły prysznic. Możliwości umycia się we własnej placówce obozowicze nie mają żadnych.

Wojewódzki Ośrodek Sportu i Rekreacji w Łodzi miejsca wypoczynkowe dla dzieci w Grotnikach w „Zameczku" przy ul. Marszałkowskiej 5 sprzedał za grube tysiące. A reklama była tak skuteczna, że rodzice przysyłali tu pociechy z różnych zakątków kraju. Zakwaterowanie w Zakładzie Hotelarskim, stawka wyżywieniowa wysoka — 300 zł dziennie, posiłki w restauracji — luksus! Tymczasem prawda jest tragiczna. Żywienie nieodpowiednie, brak warzyw, owoców, mleka. Nie ma mowy o podwieczorkach — wszystko pod wydział, chleb też. Nawet szklanki herbaty więcej. Jeżeli już, to tylko dla tych, co mają pieniądze — ekspresowa za 12 zotych. A reszta? Kierowniczka nie jest dopuszczona do układania jadłospisów. Rano, razem z dziećmi dowiaduje się, co podadzą do stołu. Maluchy dostają jeść tylko trzy razy dziennie. Jest to skandal! We wszystkich tego rodzaju placówkach podaje się posiłki cztery — pięć razy dziennie, co jest niezbędne dla prawidłowego rozwoju dorastających organizmów.

Ajentka, Anna Zawadzka, twierdzi:

— Na więcej mnie nie stać, 170 zł faktycznie przeznaczam na żywienie, 130 to narzut. Dokładek dawać nie mogę, z torbami nie pójdę. Tyle lat stołowały się u mnie dzieci kolonijne, i zawsze było dobrze, żadnych pretensji...

Z protokółu Terenowej Stacji Sanepidu ze Zgierza z dnia 29.VII.83 r.:

„Brak czystości bieżącej w kuchni, pod regałami bardzo brudno, brudny sprzęt podręczny i deski produkcyjne. Lodówki brudne, tłuste, brak segregacji artykułów żywnościowych. Łatwo psujące się znajdują się poza urządzeniami chłodniczymi. Węzły sanitarne niedomyte, nieprawidłowo dezynfekowane".

Ajentka została ukarana wysokim mandatem. W dwa dni później Wojewódzka Stacja Sanepidu zastaje identyczny bałagan. Myte są jedynie tylko talerze i sztućce podawane na stół, zaplecze cuchnące, wszędzie pełno much. Garnki brudne, poobijane.

— Wody brakuje, to się nie myje! W nocy łapię tyle, ile potrzeba w kuchni i starcza... A w ogóle to chcę koniecznie zrezygnować z trzeciego turnusu. Dla mnie żaden interes z dzieciakami — powiedziała ajentka, Hanna Zawadzka. — Pomóżcie mi się z tego wywinąć, będę bardzo wdzięczna.

Myślę, że ajentce trzeba faktycznie „pomóc", choćby dla dobra dzieci, które przyjadą tu na trzeci turnus. Natychmiast wyżywienie tej niewielkiej grupie trzeba zorganizować inaczej. Najlepiej dołączyć ją do innej kolonii. Za sto siedemdziesiąt złotych dziennie można dziecku dać zjeść przyzwoicie! Gdyby ajentka, Anna Zawadzka, miała choć trochę serca w upały wstawiałaby termos z napojem i nie żądała dodatkowych opłat za kromkę chleba o którą prosi kilkuletni maluch.

Obozowi rezydującemu w „Zameczku" brakuje podstawowych dokumentów: karty kwalifikacyjnej obiektu i zezwolenia na prowadzenie placówki. Ponoć są, ale u organizatora, w Łodzi. Powinny być na miejscu w kierownika kolonii, zresztą zgodnie z przepisami. Czyżby WOSiR o tym nie wiedział?

Piłki i wszelaki inny sprzęt do zabaw i gier ruchowych też należy dzieciom dowieźć natychmiast. Wszak to obóz rekreacyjno-sportowy i orgnizator specjalizujący się w krzewieniu kultury fizycznej chyba dysponuje nim w wystarczającej ilości? Wszystko wskazuje na to, że WOSiR zlekceważył elementarne potrzeby dzieci, dla których obiekt ten „przygotował". W pogoni za zyskiem żeruje na najmłodszych. Dorośli tak łatwo nie daliby się „nabić w butelkę". Obóz w „Zameczku" nie jest jedynym niewypałem. Jak poinformował dyrektor Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Łodzi, doc. dr hab. med. Tadeusz Górski, w Wiśniowej Górze, w Zbiorczej Szkole Gminnej ten sam organizator dzieciom przyjeżdżającym na wypoczynek zaoferował do spania sienniki rzucone na brudną podłogę, stare koce do przykrycia i ani skrawka bielizny pościelowej. Tutaj też nie było karty kwalifikacyjnej obiektu, Sanepid nic nie wiedział, iż placówka taka ma funkcjonować.

Dziwne, że tego typu działalność wypoczynkowa może mieć w ogóle miejsce. Sytuacja „Zameczku" jest tym bardziej niezrozumiała — przeciw skandalicznemu żywieniu dzieci kolonijnych w miejscowej restauracji zgierski Sanepid protestował od lat a mimo to corocznie w ten sam sposób organizuje się dzieciom posiłki. Czyżby układziki Wojewódzkiego Ośrodka Sportu i Rekreacji w Łodzi były aż tak silne, że interes najmłodszych nie mógł ich przebić? A gdzież sumienie i rzetelność krzewicieli kultury fizycznej. Czy tylko biznes się liczy?

EDWARD BRYL

URLOP W BUŁGARII

Podróż środkami lokomocji PKP, staje się mordęgą, istnym utrapieniem turystów. Śmiem twierdzić, że chociaż usługi na kolei zdrożały, lecz jakoś nie daje się zauważyć żadnej poprawy na lepsze, wręcz przeciwnie. Szyby nie myte w wagonach od dłuższego okresu czasu, zmatowiałe, chropowate od brudu. Sedesy połamane, umywalki zapchane, szafki na odpadki w większości uszkodzone. Wszędzie wyziera brud i niechlujstwo, wyjątkowo nie dostrzegane przez kuszetkowego. Jeśli dodamy do tego chroniczny brak wody — będziemy mieli antysanitarne warunki podróży, spędzonej z konieczności w cuchnących wagonach przez okres dwóch dni. Taka wizytówka nie dodaje splendoru władzom PKP. Przejeżdżając przez bratnie kraje socjalistyczne z zadrością patrzymy na wręcz luksusowe warunki podróży naszych sąsiadów. Nawet zwykłej szczotki i miotły do zamiatania, nie można otrzymać od kuszetkowego. Kto i czym sprząta te nasze wagony? Do kogo właściwie należy utrzymanie chociażby minimum stanu sanitarnego w poszczególnych wagonach, kuszetkach? Co dziwniejsze wody zwykle brakuje dla podróżnych z różnych tam przyczyn, natomiast na przygotowanie herbatki przez kuszetkowego ca 12—15 zł za szklankę, piwa 45—90 zł za butelkę, polo-coli ca 25 zł za szt. jeszcze nigdy nie zabrakło. Dość dziwny zbieg okoliczności. Cenników urzędowych jakoś również nie udało mi się zauważyć, a może to tylko dodatek do normalnych poborów? Ale właściwie za co? Chyba nie za towarzyszenie podróżnym w pociągu, pogaduszki?

Dlatego też z niebywałą ulgą i radością witamy Warnę w pewne słoneczne popołudnie. Wyładowywanie bagaży z pociągu. Na peron podjeżdżają wózki. Szybki i sprawny załadunek i dalej do oczekującego nas autokaru „Bałkanturistu". Rozdział kwater prywatnych. Prysznic, rozpakowanie bagaży na kwaterze i spotkanie na kolacji. Daje się zauważyć na pierwszy rzut oka — sprawną i grzeczną obsługę.

Zwiedzamy liczne muzea: archeologiczne, etnograficzne, wojenno-morskie, przyrodnicze, dom-muzeum Georgii Wielczewa, park-mauzoleum Władysława Warneńczyka, który poległ pod Warną w walce przeciw imperium otomańskiemu. Pamięć o polskim królu przez tyle wieków nie zaginęła. Nowe osiedle, położone za mauzoleum nazwane zostało Warneńskim. Udało się nam zahaczyć o imprezę pt. „Warneńskie lato".

Z powodu braku pogody wybraliśmy się na spacer po słynnym deptaku na bulwar Lenina. W pobliżu hotelu „Odesses" niespodziewanie podchodzi do nas jakiś facet w żółtej koszulce polo z lwem na piersi, witając się z nami wylewnie. Nastąpiła konsternacja. Zaskoczeni spoglądamy jeden na drugiego, skąd takie znajomości, poklepywanie po plecach jak byśmy byli starymi znajomymi Bułgara. Sprawa się niebawem wyjaśnia po kilku zdaniach na temat pogody, samopoczucia. Nasz przygodny znajomy nie traci czasu, przystępując do meritum sprawy.

— „Trebujesz dolary, po czetyry i pół lewa — chodi za mnoj"! Nie potrzebujemy, lecz idziemy za nim z ciekawości, co dalej będzie. W parku widzimy siedzących na ławeczkach polskich „turystów" żywo dyskutujących z oblegającymi ich „cinkciarzami". Wypieki na twarzach, bystre nerwowe spojrzenia na naszą trójkę. Upewnili się, że jesteśmy Polakami, dalej powracają do przerwanych transakcji. Cinkciarze wyraźnie się niepokoją, ponaglają, sprawdzanie „zielonych". Wytwarzają atmosferę stałego zagrożenia, bacznie obserwując swoich klientów. Wreszcie gdy już wszystkie transakcje dobiegają końca i mają lewa w kieszeni, a „turyści" swoje „zielone" — raptem na umówiony sygnał zapadają się jakby pod ziemię. Pozostają sami swoi. Co przezorniejsi raz jeszcze sięgają do kieszeni, wyjmują swoje „zielone" i oczom nie wierzą. Metamorfoza, fatamorgana. Pod jednym prawdziwym dolarem, zwiniętym w rulonik — znajdują polskie zielone pięćdziesiątki, nieco mniejsze formatem, natomiast kolorem w zasadzie niewiele się różnią. Teraz już sobie kojarzymy dokładnie dlaczego nowo przybyłych z Polski pytają o nasze pięćdziesiątki. Nie tylko sami Bułgarzy, lecz i nasi, motywując to tym, że potrzebują zostawić na pamiątkę dla swoich gospodarzy. Rzeczywiście pamiątka dla niejednego „turysty". A ile jeszcze przy tym wstydu. Sami sobie bat kręcą, na swoją własną skórę. Taka niestety prawda.

Istnieje szereg prezycyjnie obmyślonych sposobów, wywierających duży wpływ na ludzką psychikę, naiwność małego dziecka. Siedzimy w kawiarni, przyćmione światełka i przy sąsiednim stoliku cinkciarz niby od niechcenia popija sobie kawę, bacznie obserwując kawiarnianych gości. Bezbłędnie analizuje sytuację z wyczuciem, manierami światowca w odpowiednim momencie podchodzi do upatrzonego stolika, proponując do upłynnienia guldeny, marki niemieckie, fińskie i inną zachodnią monetę. Nie wszyscy się znają na obcej walucie, lecz pociąg do łatwych zarobków w końcu przezwycięża wewnętrzne opory, zamazuje realny obraz, rzeczywisty stan rzeczy. Trafia się niebywała okazja, należy ją wykorzystać. Cinkciarz nie nalega zbytnio, łamanym różnorodnym językiem daje do zrozumienia, że taka okazja nie powtórzy się nigdy. Na gwałt potrzebuje lewa. Na kwaterze przy świetle dziennym, okazuje się, że facet zakupił podrobioną walutę w przybliżeniu podobną do oferowanej waluty.

Chyba najbardziej utkwiła mi w pamięci wypowiedź jednej starszej pani na emeryturze, która przez cały rok ciułała grosz do grosza aby móc pojechać do Bułgarii, oczywiście z zamiarem kupienia twardej waluty na wszelki wypadek. Otóż ta pani uszczęśliwiona spotkała pewnego cinkciarza pod „Coracerum", odpowiednik naszego „Pewexu", który zaprowadził ją do nieznanej bramy i tam dokonała transakcji, oczywiście nie całkiem spokojnej, bowiem niespodziewanie właśnie w tym samym czasie nadszedł rzekomo gospodarz wspomnianej posesji i ich przepędził. Z wielkim lękiem nie oglądając się za siebie, klucząc nieznanymi uliczkami w końcu dobrnęła do kwatery. Wyjmuje z torebki rzekome sto i pięćdziesiąt dolarów, które na własne oczy oglądała, a tu zaledwie dwa banknoty jednodolarowe. Mówi z nieukrywanym płaczem, rozżaleniem do całego świata. Nigdy już nie pojedzie do Bułgarii. Ma dosyć.

TURYSTA
(Nazwisko i adres znane redakcji)

NA SULEJOWSKIM BRZEGU PILICY

Początek dzisiejszemu miastu liczącemu 5,5 tys. mieszkańców dało powstałe w tym miejscu we wczesnym średniowieczu osiedle targowe. Dogodne położenie na granicy Wielkopolski i Małopolski, krzyżowanie się ważnych szlaków handlowych, obecność dużej i spławnej rzeki Pilicy, były to ważne walory sprzyjające rozwojowi osady handlowej, położonej po prawej stronie Pilicy. W 1176 roku Kazimierz Sprawiedliwy osadza w Sulejowie francuskich cystersów i nadaje im tę osadę.

Cystersi budują klasztor i zabudowania przyklasztorne, izolując się w ten sposób od osady. Tereny przez nich zajmowane noszą dzisiejszą nazwę Sulejów-Podklasztorze. Izolacja klasztoru spowodowała, że przeprawa przez rzekę została przeniesiona powyżej zabudowań klasztornych i w tym miejscu po obydwu stronach rzeki powstał dzisiejszy Sulejów, wyraźnie oddzielony od klasztoru.

Prawa miejskie uzyskał Sulejów w II poł. XIII wieku. Do połowy XVII w. miasto obdarzano statutami i przywilejami: Władysław Łokietek zwolnił mieszczan od niektórych podatków, zezwolił na handel w Piotrkowie Trybunalskim. Kazimierz Jagiellończyk ustanowił cotygodniowe targi i trzy jarmarki w roku. Dzięki tym przywilejom miasto rozwijało się przede wszystkim jako ośrodek handlu rynkowego.

Wojny szwedzkie, wielki pożar w połowie XVIII w. przyczyniły się do zniszczenia miasta, a likwidacja w 1819 roku klasztoru cystersów i utracenie w 1870 roku praw miejskich przyczyniło się do zubożenia Sulejowa. Odnowa rozwoju gospodarczego miasta nastąpiła pod koniec XIX w. i na początku XX w., a związana była z powstawaniem wapienników, gdzie wydobywano wapno. Transport wapna odbywał się koleją wąskotorową na trasie Sulejów — Piotrków Tryb.

W 1927 roku Sulejów odzyskał prawa miejskie. W czasie II wojny światowej miasto zostało zniszczone w 80 procentach.

Obecny Sulejów to miasto dostarczające surowce dla zakładów wapienniczych i ośrodek turystyczno-wypoczynkowy, głównie dla mieszkańców Piotrkowa Trybunalskiego, Łodzi i Pabianic. Nie oznacza to jednak, że z uroków sulejowskiej ziemi nie korzystają mieszkańcy innych regionów kraju. Rejestracja wrocławska, katowicka czy warszawska nie należy do rzadkości. W samym Sulejowie, nad Pilicą i Zalewem Sulejowskim funkcjonuje ponad 40 ośrodków wczasowych.

W sezonie wakacyjnym miasto przeżywa najazd turystów, których przeciętnie jest tyle samo co stałych mieszkańców. Są to wczasowicze, dzieci przebywające na koloniach i obozach harcerskich, zmotoryzowani turyści rozbijający się na polach namiotowych. Duży odsetek gości stanowią ludzie mieszkający w prywatnych mieszkaniach obywateli sulejowskiego grodu. Zrozumiałe, że liczba przybyszów zwiększa się w każdą sobotę i niedzielę. Miasto cieszy się z tej turystycznej popularności i stara się sprostać obowiązkom, jakie nakłada na nie miano regionu turystyczno-wypoczynkowego.

W sezonie letnim, w ośrodkach wczasowych uruchamiane są dodatkowe punkty sprzedaży (smażalnia, napoje, warzywa i owoce). Zmieniany jest też tryb pracy placówek handlowych. Prowadzona jest całodzienna sprzedaż pieczywa i mleka. Zdołano uzyskać przedłużenie linii kursowania czerwonych autobusów z Piotrkowa. Ułatwia to dostanie się i wydostanie z Sulejowa. Rozładowuje to przeciążone linie PKS. Ale nadal trudno się wydostać z Sulejowa bezpośrednio do Łodzi autobusem PKS, bo ten bardzo często po prostu nie staje.

Duże usługi oddaje obiekt klasy zerowej Opactwo Cystersów. Ten najwyższej klasy zabytek przez długie lata nie był otaczany opieką konserwatorską. Z inicjatywą odbudowy wystąpili: mgr inż. arch. Witold Marchwicki (główny projektant), dr inż. Jan Chrzanowski i mgr inż. Henryk Tomaszewski. Od 1 lipca 1981 r. dawne zabudowania gospodarcze opactwa są miejscem ośrodka wypoczynkowego i szkoleniowego Przedsiębiorstwa Usług Socjalnych Budownictwa. Latem są tu wczasy dla pracowników przedsiębiorstw budowlanych. Zimą ośrodek zamienia się na hotel. Obiekt dysponuje 124 miejscami, restauracją, sauną, basenem, wypożyczalnią sprzętu pływającego, biblioteką. Nie doczekał się jeszcze projektowanych terenów sportowo-rekreacyjnych: kortu, boisk, lodowiska.

Popularność niesie za sobą i kłopoty dla mieszkańców, którzy są narażeni na zwiększone uciążliwości codziennego życia. Przede wszystkim to sprawa mięsa i wędlin. Sulejów w miesiącu czerwcu i lipcu otrzymał 17 ton przydziałów na reglamentację. Jest to stanowczo za mało. Taki sam rozdzielnik otrzymywał również zimą, kiedy miasto liczyło 5,5 tys. mieszkańców. Jak więc z tego obdzielić podwójną liczbę osób? A wiadomo, że wczasowicze oddają swoje kartki i mięso im się należy. Większość mieszkanek Sulejowa pracuje. Narzekają więc, że po wyjściu z pracy nie mogą nic kupić, bo przez cały dzień wykupują wszystko przybysze I trudno się dziwić tym narzekaniom. Co ich obchodzą turyści? Powinni wypoczywać, a nie wystawać w kolejkach i wykupywać co się da.

Dużym problemem jest brak wody. Jest to może stwierdzenie śmieszne, no bo przecież Pilica, Zalew Sulejowski, ale to jednak nie jest żart. Panuje susza, parują zbiorniki wodne, rośnie liczba pożarów. Taką sytuację odczują nawet niewyczerpane źródła wody, a nad Sulejowem coraz częściej odzywa się syrena Ochotniczej Straży Pożarnej. Nie pomogło zarządzenie o zakazie wstępu do lasów. Ludzie przekraczają granicę drzewostanu w poszukiwaniu jagód, malin, ożywczego cienia czy miejsca na zaparkowanie samochodu. Nad brzegami Zalewu Sulejowskiego rośnie liczba dzikich parkingów, niszczących przyrodę. Lasy są strasznie zaśmiecone. Człowiek zachowuje się jak intruz. Zakłóca ciszę i łamie panujący w nich odwieczny porządek.

Mnożą się wypadki urządzania w wodach sulejowskiego akwenu dzikich kąpielisk. Wiele osób wypływa na środek zalewu na nie sprawnym sprzęcie, często bez ważnych kart pływackich, a nawet nie umiejąc w ogóle pływać. Na efekty takiego beztroskiego zachowania nie trzeba było długo czekać. Do końca sezonu jeszcze daleko, a już sulejowska „Wielka Woda" pochłonęła 7 ofiar śmiertelnych, gdy w ubiegłym roku utonęły tylko 3 osoby. Jak na razie nie pomagają upomnienia i mandaty. Na bezmyślność i głupotę wielu kąpiących się w zalewie milicjanci ze służby wodnej są po prostu bezradni.

EWA LACHOWSKA

Exodus do wód

Foto: M. Zajdler

Dokończenieze strony 1

zajęli Edek, co mówi dwa słowa na tydzień i Piotrek.

— *Mnie* — mówi — *wylali z trzeciego ogólniaka po kolei. Za myślenie i poglądy...*

Kończy się druga godzina opóźnienia, panienka w megafonie tchnie nadzieją, że już, że zaraz...

Tłum się spręża. Kobiety i dzieci zostają w tyle. Panowie biorą na siebie szturm na wagony. Może być kiepsko, pociąg jedzie aż z Zakopanego.

Chwilowe znajomości, intymne zwierzenia, to już przeszłość. Teraz każdy sam będzie walczył o dostanie się do pociągu. Nie ma żadnych ulg. Jest prawo dżungli. Jedz, bo inaczej-ciebie zjedzą.

DROGA PRZEZ MĘKĘ

Wreszcie jest. Pociąg powoli przetacza się wzdłuż peronu. W oknach ciemno, nic nie widać, ale tak pachnieć może tylko zbity tłum... jest niedobrze. Ofensywa zaczyna się natychmiast, nie bacząc na urągania wysiadających, bardzo, niestety, nielicznych. Jakaś kolonia blokuje całe dwa wagony, gdzie wlezie ten tłum? Otwiera się siódmy krąg piekła, kto słabszy, będzie stratowany, wszystkie dzieci naraz zaczynają wyć, oszalałe matki miotają się między betami, mężczyźni wrzucają przez okna bagaże wprost na głowy siedzących pasażerów... w powietrzu czuć mord... Soczyste wiązanki, trzypiętrowe, licytują się gardłowym rrrr... Napierający tłum, jak powódź wypełnia natychmiast wszelkie wolne szczeliny. Między fotelami pulmanowskich wagonów, pod nogami szczęśliwców, moszczą się na walizach, w przejściach piramidy bagaży. Szczególne wzięcie mają złącza między wagonami, tzw. „harmonijka". Kunsztownie układane plecaki i śpiwory, zapewniają luksusowe miejsca leżące. Chybotliwe złącze opanowali Edek z Włodeczkiem, po czym zgrabnie wtaszczyli ućpanego Maciusia, za nimi...

W toalecie rozgospodarowała się piątka chłopaków, na sedesie i umywalce da się całkiem wygodnie siedzieć... Z wyższością patrzą na tych, którym udało się tylko złapać za wiszący u sufitu uchwyt. Ludzie stoją stłoczeni jak śledzie. Nie ma o co oprzeć pleców, nie ma na czym postawić stopy — ci spod ścian są szczęśliwsi...

Chryste Panie!... przyszło lato i w ludzi diabeł wstępuje. Wszyscy muszą jechać po to świeże powietrze, czy jak?... Każdy przynajmniej raz w życiu zaznał golgoty urlopowych wyjazdów, każdy wie co go czeka, ale co roku powtarza ten sam błąd i wierzy w dodatkowe pociągi przygotowane przez PKP na sezon. Po dwóch tygodniach, czy po miesiącu exodus zmieni kierunek. Znowu będzie jazgot i męka, ślad nie zostanie z wypoczynku, ale nie rezygnuje nikt, kto absolutnie nie musi. Już wiem, jak wyglądała powojenna wędrówka ludów, chyba nawet wagony są te same. Potworny brud i dewastacja zdemobilizowanego taboru — jakby żywcem przywleczonego z frontu. Wody zabrakło już przed Katowicami, papieru toaletowego nie stwierdzono w ogóle. Ostatnie okno domknęło się porządnie za Częstochową...

W tumulcie nikt nie zauważył, że już jedziemy, w ludziach kotłuje się wściekłość... na wczasy, jadą, cholera!...

Powoli wagony się uciszają, ludzie sposobią się do przetrwania nocy. Znowu rodzi się braterstwo wspólnego losu. Na stertach bagaży zgodnie układa się wszystkie dzieci, ci z foteli ścieśniają się, żeby choć na poręczy przysiąść. Na podłodze pełny wersal. Wzajemne użyczanie sobie pleców do oparcia. Jak wiadomo nic tak nie zbliża, jak pospólne wiszenie na uchwytach, ramię w ramię... byle do przodu, byle dotrwać do rana...

Pociąg osobowy toczący się przez całą Polskę, pełen dobrowolnie męczących się ludzi, przypomina koszmarny sen wariata.

Dawno przestał obowiązywać jakikolwiek rozkład jazdy, wypadliśmy z planu, więc na żadnych stacjach nie zauważa się naszego pociągu. Stoimy bez końca po polach i lasach, przepuszczając przodem wszystko, nawet pogubione tydzień temu towarowce, o których wszyscy dawno zapomnieli.

A w toalecie rozpoczyna się bankiet na sto par. Edek z „harmonijki" podaje napoje, Piotrek, co go wylali ze szkoły za poglądy, serwuje wykwintne kanapki z serem plus pomidor. Pod ten pomidor Piotrek komunikuje, że on ma gdzieś takich nauczycieli, co na białe mówią czarne, i że on jeszcze pokaże.

Dostanę się na medycynę i będę lekarzem, dobrym lekarzem' Położnikiem chciałbym być, trochę pracowałem w szpitalu, książki czytam fachowe... Małomówny Edek, po pierwszym kieliszku, wypowiada naraz całą kwestię, że on chce być muzykiem i w przyszłym roku, po maturze, będzie zdawał do PWSM.

Jak założyłem w szkole zespół — mówi — *to usłyszałem, że treści niesłuszne wprowadzam w umysły kolegów...*

Ktoś tam zaczyna brząkać na gitarze, ktoś się przyłącza i nagle jest koncert na gitary i stukot kół.

W atmosferze głębokiego zrozumienia przyjmuje się nagłą potrzebę toaletową bliźniego. Przymusowa ewakuacja pięciu ucztujących w przybytku, przebiega przy akompaniamencie wesołych dowcipów, acz nie bez technicznych trudności. Dodatkowych pięciu ludzi w ciasnej przestrzeni musi zawisnąć na ramionach tych stojących. Drzwi toalety niestety nie da się domknąć, toteż wstyd trzeba sobie schować do kieszeni i nie reagować na dobrotliwe rady, by może poczekać do przejazdu przez zwrotnice, albo zacząć głośno śpiewać. Wszyscy tak gorąco troszczą się o przebieg sikania, że trudno się obrazić.

Nadranne godziny wykańczają nawet wesołków. Zmordowani ludzie popadli w letarg, mają już głęboko w nosie urlop. Mazury i całe to lato...

Świt witamy w Toruniu. Ewakuuje się kolonia, są całe dwa wolne wagony do wzięcia. Robi się luźniej. Tu wysiadają ci, co pojadą dalej na północ, nad morze. Nareszcie można normalnie usiąść, nawet nogi wyprostować. Na drewnianych ławkach zgodnie śpią Danka, co ucieka od swego porządnego domu, Ewa, która chce zostać aktorką, bo ma urodę i starsza pani, którą przedtem okropnie drażniły długie włosy Edka.

Jeszcze tylko cztery godziny jazdy, ale to już detal...

Od Iławy zaczynają się wakacje. Na peron lecą manele, pierwsza grupka młodziaków ma najgorsze za sobą. Pojadą dalej PKS-em, na jeziora zachodniej Warmii.

Wreszcie, po całych stuleciach, dobijamy do Olsztyna. W słońcu widać szare, zmięte twarze jadących po relaks. Niektórzy mają jeszcze przed sobą kilka godzin podróży. Pojadą dalej za Kętrzyn, w stronę Giżycka i Mikołajek. Ale to już się nie liczy, to należy do rzeczy, jak słońce. Nic już nie denerwuje, ruchy stają się wolniejsze, leniwe. Tak pachną wakacje, nawet ten pociąg prosto z westernu, którym za godzinę dojedziemy na miejsce. Na rozłożonej mapie aż niebiesko od wody, teraz trzeba się tylko zdecydować jak daleko uciekamy od cywilizacji.

WYWCZAS

Ciuchcia wcale się nie spieszy. My też. Na stacyjce wyznaczamy azymut i już, wolniutko, spacerkiem, maszerujemy sobie całą szerokością drogi. Zza drzew wylazło do nas jezioro. Takie jak trzeba. Ogromne, najprawdziwsze, pachnące. A my, miastowe dzieci, pokorni się robimy i cisi.

Warto było przeżyć koszmarną podróż, zmęczenie i nerwy, żeby zobaczyć jak lśni fontanna wody wyrzucona ciałem pływaka, jak w drobniutkiej fali odbija się delikatna koronka nadbrzeżnych drzew... Ot, rozmarzył się człowiek, wiersze szkolne sobie przypomina, co to.. liryka, liryka, tkliwa dynamika, angelologia i dal...

Z angelologii mamy od razu egzamin praktyczny. Jakaś zabłąkana studentka o anielskim wyglądzie i z brytyjskim paszportem próbuje się dogadać z recepcjonistką campingu. Pomagamy serdecznie, aż do uwiądu rąk, odstajemy swoje w ogonku po meldunek i formalności i już. Już można zacząć wprowadzać w życie program zapominania o całym świecie.

Każdy robi co chce. Nikt nikogo nie pyta ani skąd jest, ani co ma przed nazwiskiem. Jezioro zaciera wszelkie prestiżowe różnice. Pan docent ze stolicy ma dokładnie taki sam brzuch, jak frezer z Kalisza. Na plaży kobieta nie ma twarzy, więc w kąt idą tapety, mazidła i bielidła.

Docucony Maciuś uwalił się tuż nad wodą, Edek w ogóle przestał się odzywać ludzkim głosem, tylko mruczy, zakopany w ciepłym piasku... a ja leżę martwym bykiem na pomoście, i absolutnie nie chce mi się pisać tego reportażu...

Różnie ludzie traktują urlopowe lenistwo. Pani Ela, na przykład, która w pociągu czyniła gorzkie wyrzuty mężowi, że nie załatwił wczasów w Sopocie, zaczęła od generalnego prania ciuchów wywleczonych z walizek. Pani Ela tak w ogóle to nie ma nic przeciwko campingom, tyle że łazienki człowiek nie ma własnej i musi jadać te jakieś stołówkowe zlewki...

Niektórzy są tak głęboko cywilizowani, że nie wyobrażają sobie jednego miesiąca bez gazet oraz dziennika telewizyjnego z widokiem na zlanych potem żniwiarzy oraz spust surówki w hucie „Ferrum". Małe telewizorki na baterie, skutecznie wygrywają konkurencję z mroczniejącym jeziorem.

Właściciele przyczepy samochodowej, w których sąsiedztwie rozbiła namioty gromadka młodzieży, pomstuje na kierownictwo ośrodka, że wpuszcza taki „element". „Element" nie dość, że długowłosy i obszarpany, to jeszcze zupełnie wstydu nie ma, bo z namiotów dobiegają takie jakieś odgłosy...

Obecna jest także — i owszem — działalność nadzwyczajnie kulturalna, jak to wieczorek rozpoznawczy i pożegnalny, warcaby, a nawet filmy dla dorosłych i dla dzieci (kierownictwo ośrodka uprzejmie przeprasza wczasowiczów, ale z powodu niedowiezienia taśm, projekcje się odwołuje). Ponadto przewidziane są niezwykle pasjonujące wyścigi w łodziach (z braku niedziurawych łodzi, odbędą się wyścigi w workach).

Masz tu człowiecze dwa tylko obowiązki — nie myśleć i zjadać wszystko co ci przyniosą na talerzu uprzejmi chłopcy z OHP. Danka są niewymyślne, za to pożywne. Na śniadanie — szeroki wybór, od płatków ryżowych na mleku, przez twarożek na słodko i powidła, po kiełbasę zwycz.! i herbatę „Assam". Na obiadek przyniosą ci barszczyk pyszny ukraiński, filet z szeriaka, ziemniaki (z ziel. i tł.!) oraz sałatę i kompot. A wszystko to za jedyne 210 zł dziennie. Kolację — jeśli masz dość stołówki, zrobisz sobie sam, przy kropelce i telewizorku.

Chłopcy z OHP, zatrudnieni przez olsztyński „Społem" twierdzą, że przy niewielkiej dozie sprytu i inteligencji, można dziennie zarobić do dziesięciu kawałków (tysięcy!). Wystarczy nie wydać bloczku przy sprzedaży obiadu, albo na jeden bloczek zainkasować należność, za dwa i więcej obiadów. Proste? I tak nikt się nie połapie, bo w rachunkach jest bałagan, nie mówiąc o gigantycznym marnotrawstwie żywności. Co to kogo obchodzi, przecież nie z jego kieszeni, tylko z państwowej....

Chłopaki zamierzają się odkuć, bo po skończeniu roboty pryskają do Jarocina, po muzykę... będziesz wolny, muzyka zniszczy twój lęk...

CIRCENSES

Gołym okiem widać niestety, że program urlopowy rodaków jest rozpaczliwie ubogi. W dzień to co innego. Pogoda jak na zamówienie, więc nic nie wygra z jeziorną kąpielą i beztroskim byczeniem się na piasku. Można nawet spokojnie przemaszerować środkiem pola namiotowego nago z kółkiem w nosie. Nikt nie zauważy. Po prostu natłok prawie nagich ciał stępia jakby spostrzegawczość. Za to wieczorkiem, gdy upał zelżeje, zaczyna się wino, kobiety i śpiew w ludowym wydaniu. Panie na świeżą opaleniznę rzucą nieco kolorów, wkładają przywleczone w ciężkich walizach toalety i suną w stronę jedynego lokalu z wyszynkiem i dyskoteką. Panowie roztaczają swe pawie wdzięki i krew słowiańska się w nich gotuje. Mimo obowiązującej strefy ciszy, rżnie muzyka z taśmy, a ludzie, jakby co innego robili u siebie w domu siedzą w oparach dymu, i pod tę przyniesioną zakąskę, przyniesiona wódeczka leje się, całkiem jak w domu.

Do nocy głębokiej po chaszczach słychać chichoty, gdzieniegdzie ktoś komuś da po pysku i fajnie jest, wesoło. Jesteśmy na wczasach...

A o bladym poranku, kiedy głowy ciężkie i senne, budzi nas holenderska orkiestra dęto-szarpana. To studenci z Hagi tu, nad jeziorem ćwiczą formę przed koncertem na zamku w Olsztynie. Pitulą pracowicie na trąbach i skrzypeczkach, aż z rozbudzonych namiotów leci ku nim trzypiętrowe powitanie... cisza tam!... k...a mać...

Dzień znowu przyniesie ukojenie, jezioro da ochłonąć po szaleństwach nocy, pan ratownik w razie czego wyłowi skacowanego samobójcę. I znowu leniwy spokój wakacji ogarnie ciepłem. Ważna jest chłodna woda na rozgrzanej skórze i mocny zamach wiosłem posuwający kajak pod wiszące nisko gałęzie i wielka cisza, gdzie nie ma codziennego jazgotu, głupoty, ludzkich zawiści, do których tak ciężko trzeba wracać.

Ale do przyszłego roku zostanie pamięć o jeziorze i warto będzie znowu tłuc się godzinami w zatłoczonym pociągu...

JOLANTA WROŃSKA

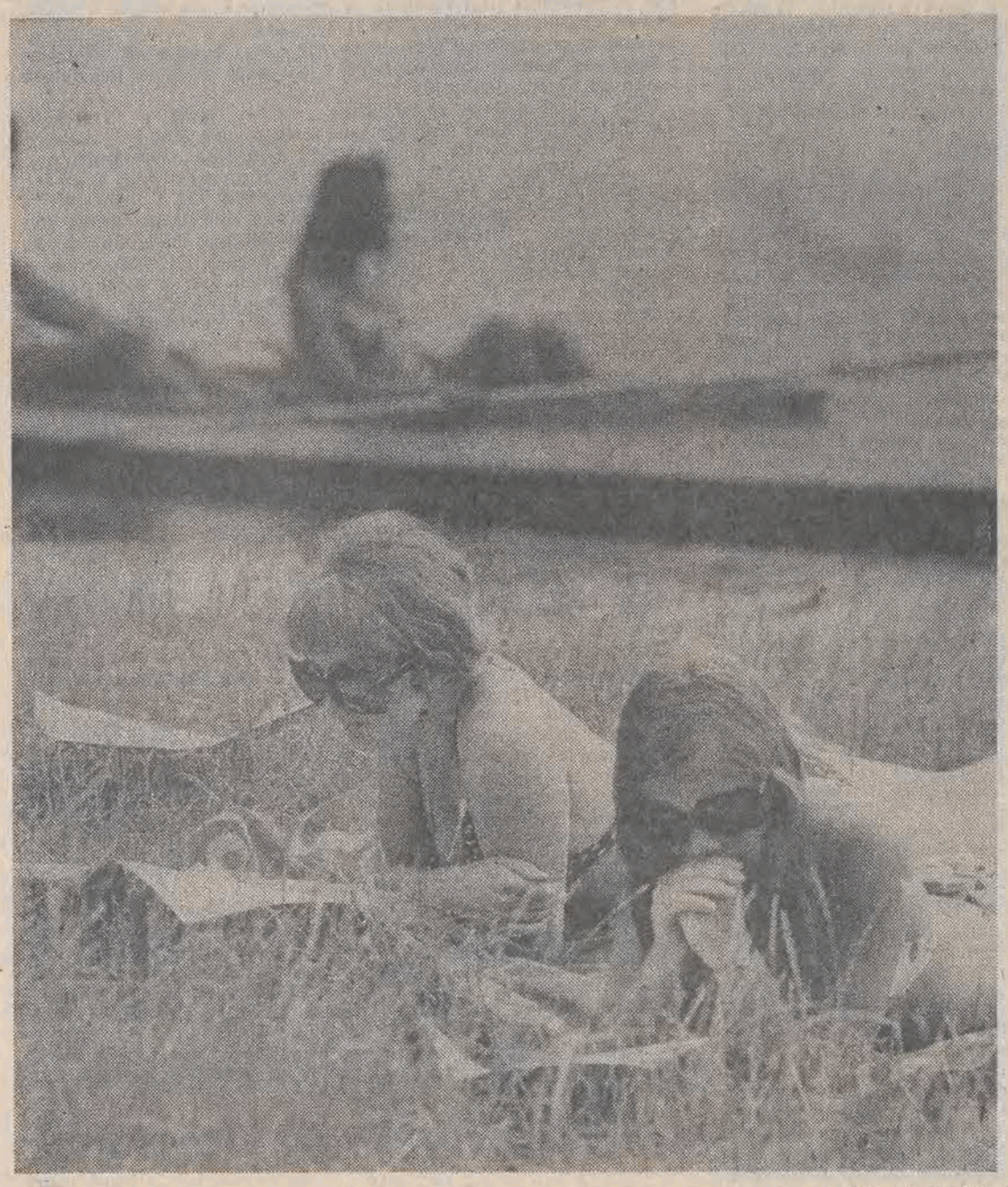

Foto: M. Zajdler

Upiór na łańcuchu

W. KASA

W nocy z dziewiątego na dziesiątego stycznia w lesie gminnym Wodzierady zaczęło straszyć. Górą przeciągał wiatr wydając złowrogie pomruki, dołem zaś niosły się jęki, żałosne westchnienia i przejmujący, złowieszczy szczęk żelaza. Tajemnicze dźwięki przesuwały się w głąb lasu, aż na trzecim kilometrze ucichły, bo duch stracił przytomność.

Po godzinie zjawa ożyła, lecz nie rozpoczęła diabelskich harców, albowiem zorientowała się że kluczące dotarła na skraj drogi. A drogą sunął wolno samochód, oświetlając rowy i pobocza, jakby kierowca kogoś szukał. Zjawa ani drgnęła, miała bowiem straszyć na odległość, a nie dać się głupio zdemaskować.

Gdy auto zniknęło w mroku, upiór ruszył ze zgrzytem i szczękiem w przeciwnym kierunku. Zbliżał się galopem do zabudowań. Kiedy dojrzał światełko w oknie, wyłączył paraliżującą nerwy akustykę, żeby podejść ludzi, zaskoczyć ich, a potem wymusić pomoc i opiekę. Był to bowiem duch nieszczęśliwy i prześladowany. Kochał prosty lud wiejski, nienawidził natomiast i unikał jak ognia dróg publicznych i samochodów, szczególnie jednego, marki mercedes.

Dotarł cichcem do chałupy i zapukał w szybę. Do okna zbliżył się urzędnik stopnia najniższego, czyli sołtys Urbaniak, gotowy do posług obywatelskich nawet o północy, a ta właśnie wybiła. Sołtys był wiekowy i wierzący, toteż natychmiast uczynił znak krzyża, ujrzawszy na podwórzu szkaradną marę. Miała blada i zmasakrowaną twarz, w której płonęły diabelsko ślepia.

— Jezus Maria, bies! Tfu! Idź precz, duszo potępiona!

Na ów nabożny okrzyk zbliżył się do okna sąsiad, co degustował w sołtysa izbie nocną śliwowicę.

— Żaden bies! — orzekł przytomnie. — Człowiek na łańcuchu.

— Chyba jakiś letnik?

Skojarzenie słuszne, jako że wampir paradował nocą styczniową w samym sweterku.

— Wpuść go, bo dzwoni;

Jakoż widmo trzymało w rękach zwój łańcucha żeby nie hałasować lecz trzęsło się z zimna, szczękało zębami i podzwaniało.

— Nie wpuszczę! — wrzasnął sołtys. — A jak to ekstrema, co uciekła z internatu?

— A bogać tam! W stanie zawieszenia?

Wpuścili nieszczęśnika. Potępieniec był obity, miał zatruty chuch i błyszczące alkoholicznie ślepia, a na szyi zapięty na kłódkę łańcuch od krowy, z krótkim stalowym kołkiem na końcu. Kluczyka nie było.

Gdy zjawa wybełkotała, jakie ją spotkały nieszczęścia, sąsiad pomknął do drugiego sąsiada i przyniósł piłkę do cięcia metalu, a sołtys zadzwonił po milicję do Chorzeszowa. Potem sołtys odciągnął łańcuch od szyi, żeby nie zranić piłką katorżnika, sąsiad zaś przeciął ogniwo łańcucha.

Po godzinie przyjechał patrol z Chorzeszowa. Plutonowy przymierzył wampirowi łańcuch, ocenił fachowo i stwierdził:

— Wygląda jak zbiegła Kunta Kinte. Skąd zbiegła?

Natenczas zmaltretowany wampir wyjawił, skąd jego ród.

— Ha, ha! To nie nasz ewir! — zaśmiał się triumfalnie plutonowy. — Niech śpi. Powiadomimy odpowiednie czynnniki.

Nieszczęśnik zmorzony snem, wódką i przeżyciami, zległ na sołtysowej wersalce. Nad ranem zbudzili go milicjanci z posterunku w Piątkowsku.

— Uciekł z gminy Wodzierady? — spytali.

— Tak jest!

— I tam straszył?

— Tak jest!

— A gdzie zamieszkały?

— W Pabianicach.

— O święty majorze! A my są z gminy Pabianice! I czego ten katorżnik spać nam nie daje?

I tak w sposób błyskawiczny nasz łańcuchowy upiór znalazł się w KM MO w Pabianicach, a potem w szpitalu. Okazało się, że straszącym po lasach galernikiem jest trzydziestoletni Krystian W., nigdzie nie pracujący syn szewca. Majątku nie posiadał. Był jedynym właścicielem wiecznie skłóconej z nim żony, nieletniego dziecka oraz wyroku za gwałt w przeszłości.

Według opinii lekarzy Krystian W. doznał stłuczenia gałki ocznej z masywnym podbiegnięciem krwawym pod spojówką gałkową oka lewego, wybroczyn krwawych i otarć naskórka szyi, a także wstrząśnienia mózgu, czyli naruszenia narządów czynnych, na okres powyżej dni siedmiu. Tym samym został narażony na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia, ciężkiego uszkodzenia ciała lub ciężkiego rozstroju zdrowia. Ponadto został zmuszony „do zaniechania korzystania z kożucha i pieniędzy".

Lecz jak do tego doszło, iż w ponurą noc zimową przemienił się w upiora na łańcuchu? Czemu krążył niczym zły duch w mrocznych ostępach?

Otóż wszystko się zaczęło od wielkiej, podwójnej radości dla niejakiego Gabriela J., trzydziestopięcioletniego kierowcy taksówki marki mercedes, numer boczny — mniejsza z tym. Taksówkarz miał syna, osiemnastolatka, w liceum, wsiową żonę lat czterdzieści na tkalni i taksiarski zarobek w wysokości siedmiu tysięcy, powiedzmy, że ciut zaniżony. Albo nie, bo wywiad środowiskowy wykazał, że nadużywa alkoholu, nie mógł więc za ostro robić pasażerom koło nawisu.

Ale Gabriel J. miał też teścia na zgniłym Zachodzie. I oto pod koniec ubiegłego roku dostaje od teścia tak pokaźną sumę w walutach wymienialnych, że aż serce boli wymieniać. Dość powiedzieć, że po oszczędnym kursie rządowym wyceniono ją na 400 tys. zł.

To raz. A po drugie — dostojna małżonka wyjechała do sanatorium. Hulaj dusza, piekła nie ma! W stanie zawieszenia — zawieszenie stanu małżeńskiego, czyli raj dla słomianych wdowców. A jak zapodaja sąsiedzi z rodzinnej wsi Gabriela, cenił on sobie w kawalerstwie szyk, rozmach i mordobicie. Chuligan, mówią nygus i awanturnik, pierwszy bójca na strażackich zabawach.

No więc Gabriel J. zaszalał do spółki z Krystianem W. Najpierw mieli kupić samochód. I oblali ten wspaniały pomysł u babci Kazbekowej. Krystian mówi po dwóch butelkach:

— A jakby tak przerolować ze dwie dupy?

Na to Gabriel wyciąga z kieszeni całą harmonię imperialistycznej pokusy.

— Z milionami? — mówi. — Żeby mnie rury okradły?

I zostawił cały bank walutowy u babci na przechowanie. A nazajutrz ruszyli z Gabrielem odebrać cenny depozyt. Z radości, że nic nie zginęło, strzelili sobie po butelce. Krystian strasznie się upił, po prostu stracił przytomność i leżał sztywny. Przezorny Gabriel zostawił walutę, żeby po pijaku nie dziabnęli go zbójcy, i poszedł. Za kwadrans Krystian ..., nagle wytrzeźwiał i z pyskiem na babcię, że przywłaszcza sobie cudzy majątek. Przestraszona siedemdziesięcioletnia staruszka wydała mu wszystkie marki erefenowskie i reaganowskie dolary.

Krystian przez cały dzień szukał Gabriela, żeby mu oddać skarb, taksówkarz zaś poszukiwał usilnie Krystiana, by odebrać swe mienie. Szukali się przez tydzień, aż wróciła Róża J. z sanatorium. Męża w dziób, a sama do prokuratora i na milicję. Żeby udobruchać połowicę, Gabriel podjął próby odzyskania waluty na własną rękę. Bez skutku.

Traf chciał, że późnym wieczorem zapruty Krystian W., który akuratnie likwidował zasoby walutowe, zabłąkał się na dworcu kolejowym, przyholował na postój i nie bacząc na markę władował się do taxi marki mercedes, by pojechać do domu.

— Mam cię, mordo złodziejska! — wrzasnął Gabriel J.

I zjechał na drugą stronę ulicy.

— Oddaj forsę — mówi — bo mam twoje dokumenty, któreś zostawił przy włamaniu do mojego auta.

Krystian zachichotał, bo te dokumenty zgubił jakiś pijany pasażer.

— Waluta jest u mnie — bełkocze.

Podjechali pod dom, ale Krystian W. nie wysiada.

— Dolary i marki! — pieni się G.J. — Bo żywy dzisiaj nie wrócisz!

Krystian W. chichocze znów i mówi:

— Są na przechowaniu u Grześka.

Pojechali, ale Grzegorza nie było w domu.

— Ha, ha, ha! — rechocze Krystian W. — On je pewnie przepuścił! Ja sprzedałem tylko 200 marek i 100 dolarów...

Rozwścieczony Gabier pojechał do domu, zabrał żonę i ruszyli na północ.

— Zabiję cię — mówił Gabriel. — Ja nie będę miał waluty, ale ty też nie!

Na Lutomierskiej Krystian otworzył drzwiczki, żeby wyskoczyć w biegu. Auto zahamowało gwałtownie, na jezdnię wypadła Róża J., a jej mąż chwycił Krystiana W. za włosy. Róża tak huknęła, że pękł łuk brwiowy.

— Ludzie, na pomoc! — krzyczy kobieta. — Nierobol ukradł nam dwa miliony!

Ludzie otoczyli auto, ale nie pomogli, bo akurat słyszeli w radio o napaści na taksówkarza w Otwocku, a w mercedesie napastowany był właśnie pasażer. Kierowca trzymał go za kark, a kobieta biła po głowie i twarzy, gdy zaś legł bezsilnie, kopnęła go w szczękę. Natenczas kierowca przełożył nogę przez oparcie, wlazł na tylne siedzenie i wyciągnął tam Krystiana. Róża usiadła za kierownicą, powiedziała, że jedzie w wiadome miejsce, i ruszyła.

Zatrzymali się na skraju lasu, koło dwóch głazów narzutowych.

— Kożuch sprawił sobie za walutę — mówi Róża.

Krystian dostał w ryło, aż pękła mu warga, Gabriel zdjął z niego kożuch, z kieszeni spodni Krystiana W. wyjął kilka tysięcy złotych. Pojechali za las prosto do ostatniego nędznego obejścia we wsi. Róża weszła do domu, a Gabriel szeptał słodziutko:

— Zabiję cię, draniu. Nie, najpierw będę cię przypalać... Chyba, że napiszesz oświadczenie o tych walutach...

Wystraszony Krystian W. napisał kartkę do Grześka, żeby wydał Gabrielowi tę cholerną mamonę. Wtedy wróciła Róża i wspólnie z mężem zaprowadzili złodzieja do murowanej obory. Założyli mu łańcuch na szyję, zapięli kłódkę, a kluczyk zabrali. Żeby nie wrzeszczał, Gabriel dał mu w ryło, aż się zwalił na słomę, a Róża doprawiła sztylem od wideł w łeb.

Ocknął się po kwadransie, z żelazną obrożą na szyi i skrępowanymi rękami. Szarpie łańcuchem, szarpie, wzrok oswaja się z mrokiem i widzi, że łańcuch jest na kółku, a kółko na haku wmurowanym w ścianę. Jak zdołał się urwać z tego haka, którego później zresztą nie znaleziono, do dziś sam nie wie.

Znaleziono natomiast odciski opon mercedesa w zagrodzie matki Gabriela J. Sąsiedzi mówią, że matka to jest szachrajka, kradnie płody rolne, warzywa i drób sąsiedzki. Nie przyznała się, że w jej obórce uwiązano na łańcuchu złodzieja niczym wściekłego buhaja. Ale sąsiadki poznały stalowy kołek przy łańcuchu. Nieraz mówiły, że za krótki i krowa będzie się w polu urywać...

Kołek pomógł Krystianowi. Bo uwolniwszy się z haka, poszedł prosto do drzwi, lecz te były od zewnątrz zamknięte na żelazny skobel, okręcony drutem. Krystian rozejrzał się i z tyłu dostrzegł okienko. Wyważył je za pomocą kołka, owinął się łańcuchem, żeby nie hałasować, i wyszedł na wolność.

Biegł do lasu, byle dalej od drogi, dzwoniąc upiornie łańcuchem. Chwyciły go nudności, zwymiotował i stracił przytomność. Kiedy się ocknął, zobaczył światła samochodu. Był nim Gabriel, który przekonawszy się, że kolega Grzesiek nie ma żadnej waluty, ruszył na poszukiwanie zbiegłego galernika.

Spotkali się jednak dopiero w sądzie. Poszkodowany Gabriel stał się oskarżonym, zaś oskarżony Krystian został poszkodowanym. Remis.

Z pokaźnej sumy obcej waluty pozostało pięćdziesiąt tysięcy złotych.

Narkomania jako znak czasu

JACEK BINKOWSKI

Najpierw były radosne lata siedemdziesiąte, gdzie obok dynamicznego rozwoju i wielkiego „budujemy", na zjawisko narkomanii nie było już miejsca. Ten „zachodni styl życia", jakoś nie mieścił się w naszej, nie skażonej, rzeczywistości. Mówiono, że to margines...

W 1981 roku zjawisko ujawniono, próbowano zaszokować opinię społeczną. Przez środki masowego przekazu przewinęły się setki reportaży sensacyjnych, działających na uczucia i emocje odbiorcy. Przewinęło się wiele reportaży szkodzących, nie wnikających w istotę sprawy.

Ta fala, na szczęście, minęła. Dzisiaj nastał czas na głębszą refleksję, na próbę zanalizowania zjawiska, na znalezienie przyczyn i sposobów zapobiegania uzależnieniom.

Wydawnictwo Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego w Polsce „Znaki Czasu" jako pierwsze w kraju wydało dokument „Narkomania — znakiem czasu".

Książka bardzo cenna, będąca w jakimś sensie kompedium wiedzy na temat narkomanii w Polsce. Książka będąca próbą szerszego i obiektywnego zobrazowania zjawiska.

„Teraz nadeszło uspokojenie — pora na wnikliwą analizę i rzeczową dokumentację. W tej intencji poświęciliśmy w 1982 r., sprawom narkomanów i narkomanii w Polsce majowo-czerwcowy numer „Znaków Czasu", w tej intencji oddajemy w Wasze ręce tę książkę. W tej intencji i z nadzieją, że stanie się pomocą i narzędziem obrony przed nałogiem dla kilkuset tysięcy dziewcząt i chłopców sięgających po „prochy", „makiwarę" i „kompot", dla ich bezradnych w nieszczęściu ojców i matek, dla nieświadomych grozy nauczycieli i wychowawców, dla milicjantów nie zawsze potrafiących zorientować się, z kim przyszło im się zetknąć na szlaku rutynowego patrolu..." — pisze we wstępie Mieczysław Siemiński.

Trudno mówić o atrakcyjności tejże książki, podobnie, jak o atrakcyjności zjawiska narkomanii. Opracowanie „Narkomania — znakiem czasu" zawiera wprawdzie słowniczek objaśniający terminy i gwarę narkomanów, ma rozdział „Listy narkomana", tabelę obrazujące objawy i przebieg uzależnienia, niemniej jednak istotą tej książki, moim zdaniem, jest zlokalizowanie przyczyn i znalezienie sposobów na ograniczenie zjawiska (przesadnym optymizmem byłoby mówienie o całkowitym zlikwidowaniu).

Rozwijanie się narkomanii ma również „typowo polskie podłoże". Błędem byłoby twierdzić, że narkomania przyszła do nas z Zachodu, jak moda na dżinsy, segmentowe meble i coś tam jeszcze. Nasza rodzima narkomania ma nasze rodzime przyczyny. Społeczeństwo polskie, podobnie jak w innych krajach przeżywa swój kryzys moralny. Wiadomo, że jedną z głównych przyczyn sięgania po narkotyk są warunki środowiskowe, złe wychowanie w rodzinie. Większość narkomanów wywodzi się z rodzin rozbitych, z rodzin, które nie były w stanie podołać odpowiedniemu wychowaniu swoich dzieci, nie były w stanie, oprócz warunków materialnych, dać swoim córkom i synom minimum uczucia i ciepła. Z rodzin, które nie były w stanie i nie chciały rozumieć młodego pokolenia. Przerażającym jest fakt, nawet dla „starych narkomanów", że po narkotyk sięgają dzieci dwunasto-, trzynastoletnie...

Nie można nie doceniać braku perspektyw, niewiary w stabilizację, braku nadziei — jako czynników powodujących, że od 1978 roku liczba ludzi uzależnionych i leczonych stale wzrasta.

„Uważa się, że zażywanie środków odurzających przez młodzież jest przejawem niedostosowania społecznego. Jak dotychczas brak jest jednoznacznych wyjaśnień (teorii) udzielających odpowiedzi na pytanie, dlaczego młodzież zażywa środki odurzające i dlaczego znaczna jej część nie poprzestaje na etapie eksperymentowania, lecz nadal systematycznie odurza się i w konsekwencji „popada" w uzależnienie. Jest rzeczą niewątpliwą, iż poza samym działaniem środka odurzającego, a także indywidualnymi predyspozycjami psychicznymi duży wpływ mają czynniki kulturowo-społeczne: silna integracja i izolowanie się grupy osób odurzających się, ich poczucie odmienności i odrzucania przez resztę społeczeństwa, deklarowana ideologia, filozofia życiowa oraz tryb życia — w sumie wytwarza tak zwaną subkulturę młodzieżowych narkomanów" — pisze dr. Marek Staniaszek w jednym ze szkiców.

Podobno w Polsce około 120 tys. osób zażywa narkotyki. Taka liczba nie pozwala już na lekceważenie zjawiska i uważanie go za marginesowe, tym bardziej, że liczba uzależnionych wzrasta. Taka liczba musiała spowodować, że narkomanię w Polsce traktujemy jako problem społeczny dużej wagi.

Przeciwdziałaniem i „walką" z narkomanią zajmuje się dzisiaj kilka instytucji — państwo — poprzez szkołę i służbę zdrowia, Kościół oraz siły społeczne — Młodzieżowy Ruch Przeciwdziałania Narkomanii „Monar". Z tych wszystkich instytucji najbardziej „ociąga się" szkoła. Szkoła nie chce brać na siebie odpowiedzialności, tkwiąc jeszcze w starych schematach, nie chce problemu zauważyć, traktuje „swoich" narkomanów, jako zło konieczne. Co prawda oświata została włączona do „Programu działań organów państwowych w zakresie zapobiegania i zwalczania narkomanii", niemniej jednak zrozumienie zjawiska przez dyrektorów i pedagogów to jeszcze proces powolny, w przeciwieństwie do rozwoju uzależnień.

„Zasadniczym celem leczenia i resocjalizacji młodzieży uzależnionej od leków jest doprowadzenie pacjentów do takiego stanu przystosowania społecznego, w którym nie będą oni potrzebowali zażywać narkotyku, aby uciekać od zbyt trudnej i nie akceptowanej rzeczywistości" — stwierdza dr Jadwiga Andrzejewska — dyrektor Stołecznego Zespołu Neuropsychiatrycznego w Zagórzu koło Warszawy, prezes Tymczasowego Zarządu Towarzystwa Zapobiegania Narkomanii.

Ale co dalej — ja się pytam. Jakie alternatywy dla rzekomo wyleczonych z nałogu? Czy nasze społeczeństwo jest im w stanie zagwarantować rzeczywistość, w której nie będzie miejsca na sięganie po narkotyki? Czy oni sami będą na tyle silni, żeby byli w stanie sile uzależnień narkotycznych przeciwstawić siłę motywów antynarkotycznych? Czy jest szansa na opozycję wobec „mody na narkotyk" — na „modę na niebranie"? Czy „zdrowe" społeczeństwo zdobędzie się na akceptację człowieka ponoć wyleczonego? Czy da mu szansę?

Obok leczenia narkomanii, należałoby się zastanowić nad tymi pytaniami niejako równolegle. Żeby nie znaleźć się w przysłowiowym dołku, kiedy nie bardzo wiadomo, co zrobić.

„Dotarcie do świadomości ofiar narkotycznego zbałamucenia nie jest łatwe, ale — obiektywnie biorąc — jest możliwe i konieczne. Stosowanie pojedynczego środka działania jest bez wątpienia potrzebne, ale może się okazać niewystarczające. Trzeba posłużyć się różnorodnością oddziaływań alternatywnych" — świadczy o innym wymiarze i przeznaczeniu „Narkomani — znakiem czasu".

Książka, którą otrzymał czytelnik nie jest publikacją mającą na celu zaszokować odbiorcę. Już sam fakt, że ukazała się po czasie „wielkiej fali odkrywania zjawiska", że ukazała się w okresie, kiedy narkotyki i narkomani przestali być egzotyką — świadczy o innym wymiarze i przeznaczeniu „Narkomanii — znakiem czasu".

To opracowanie niejako „chłodniejszym okiem" ma na celu ocenienie, co do tej pory w tej sprawie zrobiono i zaproponować optymalne rozwiązanie. Uświadamia, że narkomania to nie tylko obok kryzysu gospodarczego, moralnego, kolejna „polska nowość", ale tragedia. Tragedia nie tylko dla narkomanów. To nasza wspólna tragedia. I z taką świadomością musimy do problemu podchodzić.

„Narkomania — znakiem czasu". Wydawnictwo: „Znaki Czasu". Warszawa 1983. Nakład 25 tys.

Wilki

MAREK NOWAK

Podporządkował nas sobie major „Tygrys".

— Nikt z przysięgi was nie zwolnił! Idziemy w wysokie góry, by dalej walczyć! Do końca! Do zwycięstwa! — krzyczał major

A my? Cóż my? Rozbitkowie zwycięskiej, czy też pokonanej armii (w tej kwestii mieliśmy różne poglądy), obdarci, głodni, w różnym stopniu napromieniowani... poszliśmy z majorem w wysokie góry, jak za Panią Matką. Bo gdzież indziej można było pójść? Krwistofioletowe niebo o zachodzie słońca, mogło oznaczać tylko śmierć i zniszczenie, jakoś nikt nie kojarzył nieba ze zmartwychwstaniem i odrodzeniem życia. Przecieraliśmy zarobiałe oczy, czym kto miał, brudnym gałgankiem, albo ręką, żeby wreszcie dokładnie i wyraźnie zobaczyć te góry. „To jest wojna, panowie, a nie imieniny u cioci! Obowiązek! Honor!..." I w ogóle. Właśnie tak nas pokrzepiał major, a tupał przy tym, ile wlezie.

O sprawach rodzinnych nie prowadziliśmy rozmów. Jeżeli ktoś zaczynał opowiadać o swych genialnych dzieciach, czy też wyjątkowo ciepłym tyłku swojej żony, to reszta naszej gromadki, raczej realistycznie usposobiona, zaczynała go bojkotować. Ten ktoś (ten od opowieści o ciepłym tyłku) musiał liczyć się z tym, że nie dostanie codziennej racji wody do picia. Takie to zwyczaje zaczęły panować w naszej społeczności, a major je pochwalał. Kapral „Homer" był pierwszym, który ostentacyjnie podarł, a potem wgniótł butem w ziemię zdjęcia swoich bliskich. Inni też targali, ale raczej w cichości i w odosobnieniu. Gdyby ktoś (śmiechu warte — kto do jasnej cholery?) szedł naszym śladem, zobaczyłby rozczłonkowane, papierowe blond laleczki i niebieskie oczęta, te wszystkie kochane rączki i nóżki, to znów kawałeczki zdjęć domków i ogródków, i czego tam jeszcze. Przewiewał te kawałeczki wiatr z trawy w piasek, z piasku w błoto, albo w wodę. Logice działania ludzi pomagała natura; jeżeli przestała istnieć dawna, kochana rzeczywistość, niechże więc wypłowieją i zginą wspomnienia o niej.

Doszliśmy wreszcie do tych gór, które major zaczął od pewnego czasu nazywać „nieugiętym bastionem zwycięstwa". Góry, jak to góry — wysokie, strome.

Zaprowadził nas major do groty, gdzie ku naszemu zdumieniu i wielkiej radości znaleźliśmy zapasy żywności, lekarstwa, odzież i mnóstwo broni. Major triumfował.

— A co? Mają jednak łby na karkach te sztabowe gnojki! No, mają czy nie mają? Pożyjemy tutaj chłopaki, pożyjemy. Podjemy sobie zdrowo, wypoczniemy, a potem dobierzemy się solidnie do skóry tym świniom, naszym przeklętym wrogom, których nienawidzimy, nienawidziliśmy i będziemy nienawidzili, dopóki noga nasza, obuta w dumny but zwycięstwa nie stanie na ich obrzydłych pyskach. No, oczywiście, wtedy ewentualnie będziemy mogli porozmawiać o pewnych ogólnoludzkich wartościach, nadrzędnych prawach, które łącza ich i nas.

Umundurowani, troszkę lepiej odżywieni, wyposażeni w nowiuteńkie, automatyczne pistolety laserowe, stanęliśmy przed majorem w dwuszeregu i na baczność.

— Otrzymałem właśnie dyrektywę ze sztabu generalnego! — wrzasnął major. — Nasza walka wchodzi w nową fazę! Jednym słowem, niech żyje broń konwencjonalna!!! Co do szczegółów to zaraz przeczytam.

I zaczął nam major czytać dyrektywę numer 1 sztabu generalnego, a my, prości, zwycięscy, czy pokonani żołnierze staliśmy na baczność i słuchaliśmy w skupieniu.

Dyrektywa Nr 1 Sztabu Generalnego do ocalałych i walczących żołnierzy.

Z uwagi na to, że ostateczne i totalne zwycięstwo nastąpi niebawem, zarządza się co następuje:

1. *Zbierać się w grupy po kilku, albo kilkunastu, podporządkowując się najstarszemu stopniem.*
2. *Wędrować w wysokie góry, tam odnajdywać ukryte magazyny broni i żywności. Korzystać z zapasów w sposób racjonalny.*
3. *O najwłaściwszym momencie ataku na pozycje nieprzyjaciela Sztab Generalny poinformuje we właściwym czasie odrębną dyrektywą.*
4. *Na wsparcie środków rażenia nie należy liczyć.*
5. *Mając na względzie pewien chaos obecnego etapu działań wojennych, tchórzliwość naszych nieprzyjaciół oraz potrzebę podniesienia i tak wysokiego morale wojsk własnych zarządza się:*
   a) wydzielenie wśród walczących oddziałów jednego żołnierza (jeden żołnierz na jeden oddział) mającego za zadanie spełnienie roli wroga dyżurnego.
   b) nakazuje się traktować wroga dyżurnego, jak wroga rzeczywistego.
   c) zabrania się zabijania wrogów dyżurnych. Wszelkie tego typu wypadki będą z całą surowością karane.
6. *O każdej zmianie aktualnej sytuacji meldować.*

A więc to aż tak źle nie wygląda, bo skoro Sztab Generalny wie o istnieniu naszego małego oddziału, to jest wręcz dobrze! Ale wroga dyżurnego musieliśmy ze swego grona wyłonić. Oczywiście major nie wchodził w rachubę. Losować? Czekać aż zgłosi się ochotnik? Jednogłośnie wybraliśmy szeregowego „Karalucha", który od tej pory miał spełniać rolę wroga dyżurnego, to znaczy rzeczywistego, tylko takiego, którego nie wolno nam zabijać. Zaraz go też chłopaki zaczęli bić gdzie popadnie, a i sam major rąk i nóg nie żałował. A dlaczego właśnie szeregowiec „Karaluch"? Bo był najsłabszym i najbardziej schorowanym członkiem naszej małej społeczności. To raz. A dwa? Ano chodził i opowiadał, że niby major nas okłamuje, że żaden Sztab Generalny nie istnieje i że major sam napisał tę dyrektywę Nr 1, bo nie dopuszcza nikogo do tajnej radiostacji, tylko sam nadaje i odbiera meldunki. No to ma teraz za swoje. Za słabość i głupotę trzeba płacić. Chociaż major podkreśla, że to funkcja honorowa i winniśmy naszemu wrogowi dyżurnemu szacunek, po odbyciu codziennych, obowiązkowych ćwiczeń, oczywiście, w których nasz wróg dyżurny odgrywał niebagatelną rolę. Żeby tylko nam na długo wystarczył, bo ostatnio coś nie najlepiej wygląda. Ano leją go chłopaki, leją; a to pięścią, to znów kijem albo kamieniem... ale zabić go przecież nie możemy, chociaż błaga nas o to codziennie — dyrektywa zabrania. I fajno jest! Sam jakoś umarł, po dwóch tygodniach. Nikt go nie zabił, co major stwierdził niezbicie przeprowadzonym dochodzeniem i spisanym na tę okoliczność protokołem. W nocy umarł, tak że rano, nie wiedząc o tym, kopaliśmy trupa.

Bab nam brakuje i to bardzo. Może kolejna dyrektywa Sztabu Generalnego rozstrzygnie jakoś ten problem. Wybrałoby się spośród naszego grona jednego żołnierza, który spełniałby rolę baby i po krzyku. A może znaleźliby się ochotnicy?

Nowy wróg dyżurny wytrzymał okrągły miesiąc, a wyglądał na takiego słabowitego.

Czas, o dziwo, nie zatrzymał się, by być świadkiem naszego zwycięstwa, lecz płynął i to niepowstrzymanie. Mijały lata i zimy, padały niebieskie deszcze i zielone śniegi, część chłopaków zmarła na chorobę popromienną, inni znów, w charakterze wrogów dyżurnych, też umierali. Przenosiliśmy się wraz z zapasami kilka razy, coraz wyżej i wyżej, bo i strefa promieniowania przenikliwego sroce spod ogona nie wypadła, dlatego też szła w ślad za nami coraz wyżej i wyżej...

Pewnego dnia ktoś zauważył zająca z fioletowymi uszami. To znaczy uszy stawały się fioletowe w zależności od natężenia promieniowania przenikliwego. Im bardziej w danej strefie promieniowanie było intensywne, tym bardziej fioletowe uszy miał zając. — „Te uszy — powiedział major ściszając głos — to taki zajęczy indykator."

Zaraz też zrozumieliśmy że za zającami stoi Sztab Generalny i jego superkomputerowa technika. No bo jakże? Skąd zające mogły wziąć takie uszy? Tak same z siebie? Niemożliwe! To Sztab Generalny musiał je wyekwipować w tak doskonałe instrumenty!!! Przykro nam się tylko zrobiło, że jeszcze nikt z nas nie ma takich fioletowych uszu. Ale nie zapomniano chyba o nas? Na pewno nie! Sztab Generalny to potęga! Dyrektywami sypie jak z rękawa, a major tylko notuje, a potem nam to wszystko czyta. Mamy za to fioletowe nosy, ale to z niedokrwistości i zimna.

Aż przyszedł dzień, gdy ustawił nas major w dwuszeregu i powiedział:

— Obchodzimy jutro święta! Nie pamiętaliśmy w ostatnich latach naszej walki o tym tradycyjnym elemencie społecznego bytowania, elemencie jakże ważnym, spajającym rodziny i jednostki ludzkie bez rodzin. Ponieważ dzień zwycięstwa zbliża się milowymi krokami, czas już wracać do normalizacji. Jutro wszyscy mają być umyci i w ogóle oporządzeni jak należy! Rozejść się!

Obchodzimy więc święta. Radujemy się z całej duszy. Bo to i zwycięstwo blisko, i pewnie Sztab Generalny postara się o jakąś niespodziankę. Póki co, wynikła wśród nas kontrowersja. Jak te święta obchodzić? Że radośnie, to wiadomo. Ale jak jeszcze? Żeby było tradycyjnie i normalnie? Jedni proponowali, że skoro mamy świętować, to trzeba malować pisanki. Inni, dokładnie sobie przypominali, że w czasie świąt tradycyjnym punktem świętowania było topienie kotów. Ale przecież koty to się darło w czasie długich, zimowych wieczorów a topiło się stary sprzęt elektroniczny pierwszego dnia wiosny!!! No i awantura gotowa. Święta świętami, a my się pierzemy po pyskach, aż w górach dudni. Dopiero major nam objaśnił, że przecież my pochodzimy z różnych regionów kraju, a co kraj to obyczaj. Postanowiliśmy więc zaśpiewać kolędę. Ale jaką? Jakie to były słowa? Zaraz, zaraz... zaraz... coś tam chyba było o dupie Maryny... Ależ oczywiście! Na pewno tak! Nie pamiętając więc słów, w cichy, świąteczny wieczór, wśród majestatycznych gór, zaintonowaliśmy jednym głosem i uroczyście: „Duuupa Maryyyyynyyyyy!!!" I tak nam się zrobiło lekko na sercach, właśnie tak świątecznie i tradycyjnie.

Zawędrowaliśmy wreszcie na sam czubek najwyższego szczytu w tych górach. Dookoła śmierć, a u nas jak u Pana Boga za piecem. Żyjemy! Wczoraj porucznik „Kanarek" zabił majora „Tygrysa". Postarzał się bardzo major, posiwiał i wyłysiał. Nie był, jak dawniej sprężysty i energiczny, tak, że porucznik „Kanarek" nie miał większych trudności z zabiciem go. Uderzył kilkakrotnie majora kamieniem w głowę i życia pozbawił. Patrzyliśmy na to z zupełną obojętnością. Mamy więc nowego szefa. Jest młodszy od majora i chyba energiczniejszy. Zaraz też dyrektywy Sztabu Generalnego zaczęły do nas spływać szerszym strumieniem. Przyjęliśmy to z ogromnym zadowoleniem. Widocznie porucznik, w jakiś sposób, otrzymał poufny rozkaz, żeby majora usunąć i zrobił to na naszych oczach.

Dokładnie nie wiadomo, kto pierwszy zaczął wyć. Ale zaraz ten dźwięk wszystkim się spodobał. To przyjemnie wciągnąć w płuca rześkie, górskie powietrze, a potem wydobyć z siebie przeciągły skowyt. A zaraz potem dołącza się następny członek naszej małej społeczności i następny... w końcu wyjemy wszyscy. Oczywiście porucznik „Kanarek" wyje najgłośniej i najpiękniej, tego nikt nie może kwestionować. Trzeba w końcu coś mieć z życia — choćby to przyjemne łaskotanie w gardle w czasie skowytu.

Siedzimy dookoła ogniska, na samym czubku najwyższej góry. Nad nami granatowa noc, pod nami chmury, a pod chmurami śmierć. Żremy od czasu do czasu, lejemy się po mordach, we wszystkim słuchamy porucznika „Kanarka" i wyjemy. Byle głośno. Póki tchu w piersiach starczy!

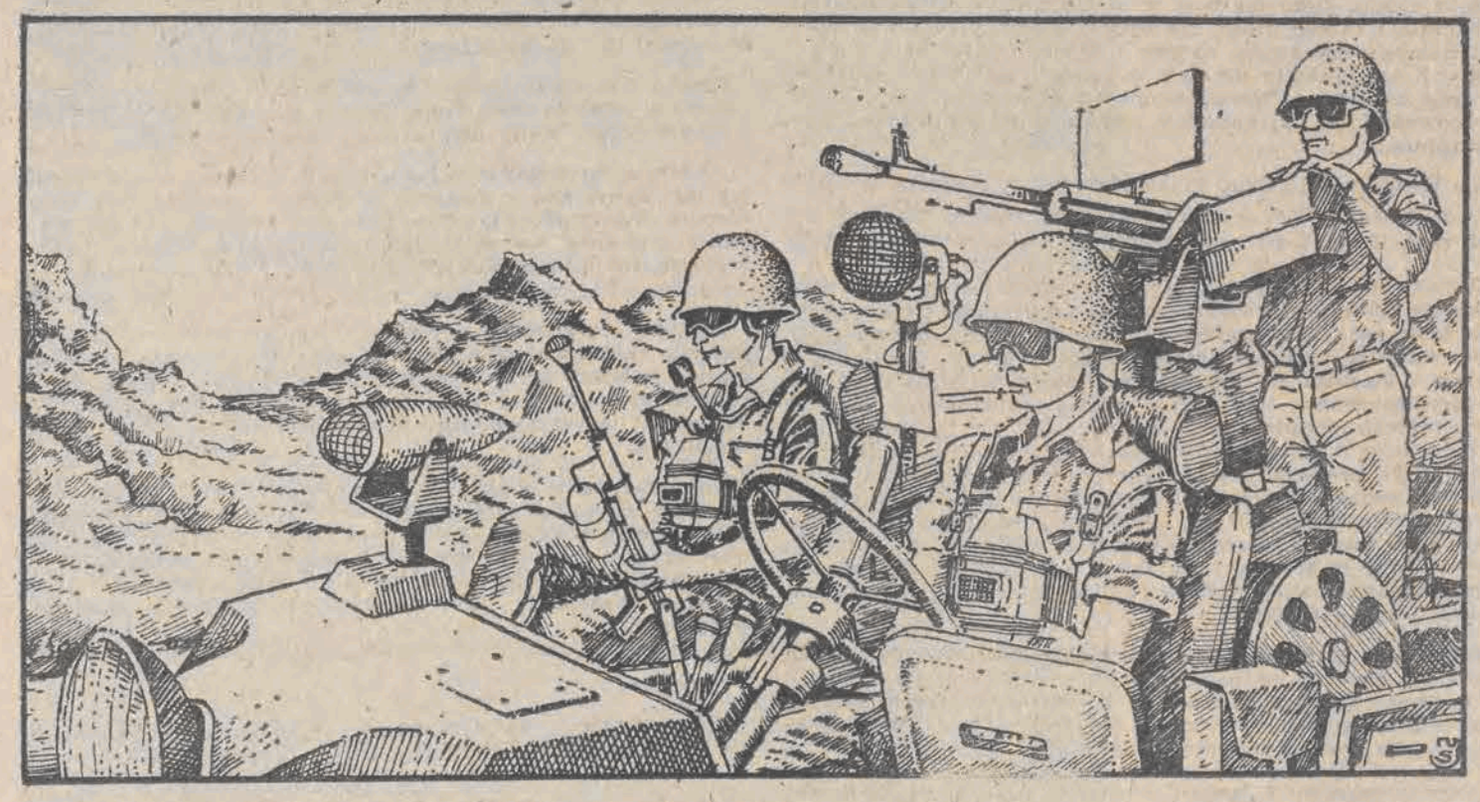

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Sen

MAŁGORZATA KONDAS

Wczoraj wieczorem długo nie mogłem zasnąć. Miałem uczucie, jakby coś siedziało mi na piersi. Wreszcie, kiedy ucisk zelżał, zasnąłem, ale dalej śniło mi się, że leżę w łóżku i nie mogę zasnąć. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że stoję koło łóżka i patrzę na siebie śpiącego. Odczuwałem cały absurd tej sytuacji, ale nie wiedziałem jak się mam zachować, dokąd iść. Moje ciało było tak beznadziejnie nieruchome. Pomyślałem, że jestem duchem i nagle ta myśl spodobała mi się. Obecna postać dawała całkiem nowe możliwości. Mogłem na przykład nastraszyć Emila — mojego starszego o trzy lata kuzyna, który zdał właśnie maturę i był taki okropnie dorosły.

Jego pokój znajdował się po drugiej stronie korytarza. Podszedłem do drzwi z zamiarem naciśnięcia klamki, ale okazało się to niemożliwe. Moja ręka przenikała napotkane przedmioty, nie poruszając ich. Przejście przez drzwi bez ich otwierania było więc daleko łatwiejsze.

Stałem przed śpiącym Emilem i próbowałem go przestraszyć, ale nie udawało mi się nawet go obudzić. Nie miałem najmniejszych szans zwrócenia na siebie uwagi. Byłem niepocieszony i wtedy nagle pomyślałem, że jego ciało, podobnie jak moje w tej chwili, jest „nie zamieszkałe" i mógłbym je sobie wypożyczyć.

Zrealizowanie tej pozornej — jak się okazało — niedorzeczności było wcale łatwe. Już po chwili siedziałem na łóżku Emila w jego ciele i wkładałem jego nowy garnitur. Teraz zachowywałem się bardzo cicho, żeby nie obudzić ciotki, która spała w pokoju obok.

Przed wyjściem z domu zajrzałem do swojego pokoju. Moje ciało leżało jak przedtem i wyglądało jakbym spał. Na razie mogłem być spokojny. Gorzej, gdybym nie wrócił zanim ciotka przyjdzie mnie obudzić. Z pewnością wezwałaby lekarza, a ten... Lepiej o tym nie myśleć.

Wyszedłem na ulicę. Nigdy nie chodziłem tak późną nocą i nie wiedziałem, czy w ogóle kogoś spotkam. Z daleka zobaczyłem światło i poszedłem w tamtym kierunku. Nocny bar był jeszcze otwarty. Zawsze chciałem znaleźć się w takim miejscu. Teraz byłem lekko rozczarowany. Przy wysokim barze siedział tylko jeden gość nad pełnym kuflem piwa i wyglądał, jakby zmuszano go do picia tego gorzkiego płynu, a on nie miał na to ochoty. Usiadłem dwa stołki dalej i zamówiłem lemoniadę. Kiedy barman podał mi ją, usłyszałem za sobą kobiecy głos.

— Chłoptaś pije lemoniadę. A mleczko nie byłoby zdrowsze?

Odwróciłem się, za mną stało mocno umalowane babsko. W ręku trzymała długą cygarniczkę z dymiącym na końcu papierosem.

— Nie lubię mleka, — Odpowiedziałem, chociaż to wcale nie była prawda.

— Nigdy cię tu nie widziałam — nieznajoma usiadła tuż obok mnie. Słyszałem głosy dolatujące z kąta sali, gdzie było kilka stolików pogrążonych w mroku. Nie zauważyłem ich wcześniej, a teraz musiałbym się odwrócić, żeby zobaczyć kto tam siedzi. Wydawało mi się, że mówią o nas. Rzeczywiście, kobieta coś im odpowiedziała ze śmiechem i zaproponowała, żebym postawił jej wódkę. Nie byłem pewien, czy w ubraniu Emila znajdę dość pieniędzy, ale nie śmiałem odmówić.

Barman nalał wiśniówki, a ona ujęła kieliszek niepewną ręką. Zanim wypiła, trzymała go nad moim ramieniem i coś mówiła. Nie słuchałem jej wcale, pochłonięty obawą o garnitur Emila. Próbowałem lekko ją odsunąć, żeby nie poplamiła tą wiśniówką ubrania, ale ona zrozumiała mój gest opacznie i zdenerwowała się. Energicznie odstawiła kieliszek na bar, rozlewając lepki płyn. Nie zwróciła uwagi na pobrudzone palce i tą właśnie ręką chwyciła mnie za ramię. Szarpnąłem się gwałtownie, a ona straciła równowagę i spadła ze stołka. W tym momencie ktoś zaatakował mnie z tyłu. Teraz wszystko działo się bardzo szybko, ale ta część snu była zupełnie niewyraźna. Nie pamiętam w jaki sposób opuściłem bar.

Stwierdziłem, że leżę na trawniku w miejskim parku. Zaczynało właśnie świtać. A może zmierzchało? Przeraziła mnie ta myśl, bo jeżeli byłem poza domem dłużej niż jedną noc, jeżeli odkryto już moje ciało...

Zerwałem się i pobiegłem w kierunku domu. Kiedy przekręcałem klucz w zamku, usłyszałem z drugiej strony jakiś szmer i serce zabiło mi mocniej. Znieruchomiałem na chwilę, po czym delikatnie pchnąłem drzwi. Na progu czekał na mnie kot. Nalałem mu mleka i cicho, na palcach, żeby nie obudzić ciotki poszedłem do pokoju Emila. Rozebrałem się i położyłem do łóżka. Nie byłem pewien, czy opuszczenie jego ciała będzie równie łatwe jak wejście, ale na szczęście nie miałem z tym trudności.

Znowu byłem duchem, który przeniknął kolejne drzwi. Znalazłem się w moim pokoju. Własne ciało zastałem w pozycji w jakiej je opuściłem. Kiedy udało mi się w nie z powrotem wejść, poczułem, że się budzę. Popatrzyłem na zegarek, dochodziła szósta. Wstałem, żeby napić się mleka. W kuchni przywitał mnie kot. Odruchowo spojrzałem na jego miskę. Była pusta. Czego się spodziewałem? Sen najbardziej nawet wyraźny jest tylko snem i nie może zostawiać namacalnych dowodów rzekomego przeżycia działania.

Pomyślałem, że warto by zapisać ten dziwny sen. Wziąłem czysty zeszyt i usiadłem przy stole w kuchni. Kot usadowił mi się na kolanach i tak zastała nas ciotka, gdy przyszła żeby przygotować dla wszystkich śniadanie.

— Zaczęły się już wakacje. Co ty tam jeszcze piszesz? — wyjęła chleb i zaczęła go kroić. — Idź lepiej obudź Emila, bo będzie spał do południa.

Nie miała racji, bo oto właśnie Emil pojawił się w drzwiach ziewając i przeciągając się.

— Bój się Boga! — krzyknęła ciotka. — Jak ty wyglądasz, cały posiniaczony i bez zęba na samym przodzie!

Kronika

PRZYPOMINAMY, że pokonkursowa wystawa prac plastycznych dzieci: **„Co się dzieciom śni?"** prezentowana jest w łódzkim oddziale PSMF przy ul. Łagiewnickiej 118c, do 5 września 1983 roku.

Wystawa ta będzie następnie podróżowała po Polsce. Odwiedzi między innymi Gdańsk, Lublin, Częstochowę oraz w Dzierżoniowie będzie towarzyszyła V Ogólnopolskiemu Konwentowi SF.

NOWE kluby PSMF powstały we Wrocławiu i Gdańsku. Natomiast z Węgorzewa donoszą o zawiązaniu się... Zakonu Fantastyki! **(R.S.)**

MOŻNA kupić sobie... sztucznego satelitę. Jak na razie tylko w USA. Tamtejsza państwowa agencja NOAA (National Oceanie and Atmosferic Administration) zgłosiła do sprzedania prywatnym nabywcom pięć satelitów okołoziemskich: cztery meteorologiczne oraz stację obserwacji Ziemi „Landsat". Jak do tej pory wyceniono tylko satelity meteorologiczne. Po 300 milionów dolarów. „Landsat" nie ma jeszcze ceny. Można spodziewać się, że będzie ona stosunkowo wysoka. Czy znajdą się kupcy?

Inicjatywa NOAA wzbudziła niepokój naukowców, którzy do tej pory otrzymywali informacje z kosmosu gratisowo, po przejęciu satelitów meteorologicznych, czy stacji obserwacji Ziemi przez osoby prywatne będą musieli za te informacje płacić. Naukowcy — jak powszechnie wiadomo — nie mają nadmiernych ilości pieniędzy. W ogóle mają ich mało. Może się więc to niekorzystnie odbić na rozwoju nauki.

AMERYKAŃSKI sztuczny satelita OSA pomógł uczonym ustalić, że nasza galaktyka otoczona jest koroną składającą się z gazu — głównie wodoru i helu. Średnica tej korony wynosi około 25.000 lat świetlnych. Jakie to ma znaczenie dla galaktyki, tego jeszcze nie wiadomo.

PO ZAKOŃCZENIU radarowego pomiaru powierzchni **Wenus**, odbyła się w Centrum Badawczym Ames w USA zorganizowana przez NASA konferencja dla omówienia wyników tych pomiarów. Objęto nimi około 90 proc. powierzchni planety. Stwierdzono między innymi rejony z większymi nasileniami wyładowań atmosferycznych. Uczeni wiążą to nie tyle z chmurami składającymi się z cząsteczek kwasu siarkowego, ile z pyłami wyrzucanymi przez czynne wulkany.

Uczeni zastrzegli jednakże, że dla uzyskania pewności, co do słuszności stawianych hipotez, potrzeba jeszcze wielu badań.

NAKŁADEM „Czytelnika" w serii z kosmonautą, ukazała się książka **Kurta Vonneguta „Syreny z Tytana"**. Nakład: 30.000 egzemplarzy. Cena: 100 zł. W Polsce wydano już 5 książek tego autora: „Kocia kołyska" (1971), „Rzeźnia nr 5" (1972), „Niech pan Bóg błogosławi panie Rosewater" (1976), „Śniadanie mistrzów" (1977), „Pianola" (1977).

(L.B.)

1 Zdarzenia i zwierzenia

Mądrusie

W języku potocznym określenie „mądruś" znaczy tyle, co „przemądrzały". „Mądrusiów" nigdy nie brakowało w kraju, gdzie każdy uważa, że wie najlepiej.

Niedawno w jednym z felietonów napisałem, że żadne polskie słowo nie zaczyna się na literę v — i natychmiast odezwał się „mądruś" informując mnie, że to znaczy po angielsku „Victory". Zacytuję zresztą cały list: „Dziennikarz piszący na temat „dwóch palców" powinien wiedzieć, że znak V oznacza skrót angielskiego słowa Victory. Wymyślił go Churchill, a nie Goebbels. Chłopiec, który wznosił dwa palce do góry na Starym Mieście wiedział o tym, natomiast nic nie wie o „Sternie", który jest dotępny tylko dla dziennikarzy.

Podpis — „Warsza viak".

„Mądruś" podpisując swój list kryptonimem „Warszawiak" ujął go w cudzysłów. Bardzo słusznie, bowiem tylko „Warszawiak z Kołomyi" może nie pamiętać ogromnych znaków V na warszawskich placach w czasie okupacji, albo tych samych znaków na lokomotywach pociągów z Werhmachtem jadących na Wschód.

Dochodzenie dziś kto pierwszy użył znaku V nie ma sensu, bowiem w walce propagandowej o ów znak wygrał jednak Goebbels; to propaganda hitlerowska zarzuciła Niemcy i podbite kraje owym symbolem i dla każdego kto wojnę t u t a j przeżył albo o niej coś rzetelnego przeczytał, ów znak kojarzy się z nazizmem. Łodzianie także pamiętają ów symbol ustawiony na placu Wolności na miejscu zburzonego przez hitlerowców pomnika Kościuszki. Jak widać z publikacji zachodnioniemieckiej prasy pamiętają ten znak i jego wymowę także młodzi neonaziści z RFN.

Natomiast chłopiec na Starym Mieście w Warszawie pokazany przez telewizję zapewne mało wie zarówno o Churchillu, jak i Goebbelsie, a z cytowanym przez mnie „Sternem" mógłby się zapoznać, gdyby znał drogę do jakiejś większej biblioteki, albo do najbliższego kiosku „Ruchu", gdzie można kupić magazyn przedruków „Forum", publikujący po polsku szereg artykułów także ze „Sterna".

Inny „mądruś" odezwał się po mojej recenzji z powieści Isaaca Singera „Sztukmistrz z Lublina". Jak wynika z listu „mądruś" książki nie czytał, z nazwiskiem Singera spotyka się po raz pierwszy, o przyznanej mu pięć lat temu Nagrodzie Nobla dowiedział się dopiero dziś teraz. Ale poucza.

Oświadcza mianowicie: „Singer nie pisze po żydowsku, bo nie ma takiego języka — jest tylko jidisz".

Przykro mi, ale „mądruś" się myli. Zamiast iść ze swoim listem do redakcji, aż na pocztę, aby nadać „polecony" — lepiej było pójść do biblioteki i zajrzeć do encyklopedii. Dowiedziałby się „madruś' wówczas że „masło jest maślane", bowiem używa się równolegle obu określeń, które znaczą to samo.

Dalej pisze „mądruś" że Miłosz nigdy nie powiedział, że Polska nie jest jego ojczyzną lecz „krajem pierwszej emigracji" (Kiedy przyjechał z Wilna do Warszawy w latach trzydziestych). No cóż — nawet reglamentacja masła nie zapobiegła u niektórych ludzi gromadzeniu się cholesterolu — skutecznie osłabiając pamięć. Otóż słowa te wypowiedział Miłosz wobec paru milionów Polaków — w telewizyjnej transmisji ze spotkania w Uniwersytecie Warszawskim. Słyszała to cała Polska — „mądruś" widocznie oglądał wtedy mecz w drugim programie.

I to jest właśnie niezwykle charakterystyczne i bardzo dla nas typowe. Ludzie bowiem z ogromną pewnością siebie zabierają nieraz głos w sprawach, o których akurat wiedzą niewiele lub nic. Zakładam, że „mądrusie", o których tu mowa są cenionymi specjalistami w jakichś dziedzinach, że mają autorytet jako inżynierowie, lekarze, prawnicy, lub mechanicy bądź piekarze. Czemu więc chcą żyć w przekonaniu, że wiedzą w s z y s t k o?

A przecież wszystkiego nie wie nikt. Nieraz dla napisania dwóch kartek maszynopisu sięgam do pięciu — sześciu książek. Staram się sprawdzać to co wiem — i też mi się zdarzają pomyłki. Staram się znaleźć rzetelną informację o tym, czego nie wiem — i też czasem staję bezradny.

Dlatego śmieszy mnie ta nonszalancja „mądrusiów", którzy „wiedzą wszystko" oprócz jednego — że od głębokiego przekonania, nie popartego niczym poza głęboką wiarą — ważniejsze jednak są zwykłe poglądy poparte zwykłą wiedzą.

JERZY WILMAŃSKI

2 Spojrzenie znad szachownicy

Japończycy na działce

1.

Prognozy, można powiedzieć, sprawdziły mi się wprost znakomicie, lepiej niż wszystkim uczonym instytutom od meteorologii: po fali upałów przyszło oziębienie (kiedyś, do diabła, musiało przyjść), mózg przestał parować od gorąca i możemy teraz w marę na chłodno porozmawiać o tym i o owym.

W zasadzie miałem zamiar wygłosić popularną gawędę o podatku zwanym wytwornie wyrównawczym, podatek ów — zważcie to, proszę — płaci się wszakże wyłącznie od zarobków uważanych za przesadnie wysokie. Aby zarobić trzeba jednak coś robić, byłoby więc może metodologicznie słuszne porozmawiać najsamprzód o robocie, potem o płaceniu za tę robotę, jeszcze potem o płaceniu podatków od płacenia, a dopiero na koniec o tym, warto czy też nie warto próbować się z tego wszystkiego wykręcić. Możliwości są tu spore, kusząca wydaje się na przykład idea utrzymywania się wyłącznie z wygranych w Toto-Lotka, które — przynajmniej jak dotąd — nie podlegają w ogóle żadnemu opodatkowaniu...

2.

Zacznijmy wszakże, jako się rzekło, od tej nieszczęsnej roboty.

Minister Ciosek na krótko przed świętem 22 Lipca udzielił wywiadu przedstawicielowi PAP, z którego wryło mi się w pamięć taki akapit:

„Porównajmy wymiar czasu przepracowanego w przemyśle w ciągu tygodnia. W 1981 r., wyniósł on w Polsce 33,9 godz., we Francji — 40,3 godz., w RFN — 41,1 godz., a w Japonii, którą stawiano tak chętnie za punkt odniesienia — 41,6 godz. A więc o blisko 1,5 godziny dziennie dłużej niż w Polsce. W tych warunkach nieprędko zbudowalibyśmy „drugą Japonię". Warto dodać, że kilka lat wcześniej, konkretnie w 1975 r., omawiany wskaźnik wynosił w Japonii 38,8 godz. tygodniowo, w Polsce — 37,6 godz. Mogliśmy zatem odnotować akurat odwrotną tendencję niż w Kraju Kwitnącej Wiśni".

Bardzo wymowne jest to zestawienie, pójdźmy jednak dalej i zapytajmy ciekawie, co też dajmy na to brat-Polak zrobił z tym nie przepracowanym czasem?

Różni wykorzystali go różnie, każdy wedle gustu, jedni przesiedzieli go na zebraniach, inni w knajpach, ten i ów demonstrował, niestety nie zawsze z sensem, ale tak najwięcej to staliśmy po prostu w kolejkach. Działało tu — mówiąc uczenie — dodatnie sprzężenie zwrotne, takie, które pobudza oscylację, zamiast ją wygaszać. Im mniej się pracowało, tym mniej się produkowało, im mniej się produkowało, tym mniej było do kupienia, im mniej było do kupienia, tym dłużej stało się w kolejce, im dłużej stało się w kolejce, tym mniej na robotę zostawało czasu, któż z nas bowiem — przyznajmy się w swoich sumieniach — nie próbował wyskoczyć do kolejki w godzinach jakże uszlachetniającej pracy?!

3.

No dobrze, ale gdzie w takim razie podziali się potencjalni Japończycy? Co sprytniejsi, jak mi się przynajmniej zdaje, zajęli się prywatnym biznesem, mniej zaś sprytni, albo po prostu mniej w kapitał zasobni — zaczęli tę swoją Japonię budować na pracowniczych działkach.

Jako cherlawy inteligent, a zarazem neofita działkowiczowstwa, wprost oczy wytrzeszczam ze zdumienia: jakże ci ludzie zachrzaniają, wcale a wcale na zegarek nie patrząc, jak kopią, podlewają, budują, murują, flancują i czort wie, co jeszcze.

Budujący ten obrazek ma wszakże pewną skazę, która dopiero przy bliższym wejrzeniu na jaw wychodzi i powstrzymuje mnie od zgłoszenia śmiałego projektu zamienienia całej Polski w jeden wielki ogród działkowy. Otóż okazuje się co i trochę, że czegoś, co potrzebne, a nawet niezbędne, po prostu nie ma, to znaczy kiedyś było, ale się zmyło i czekaj teraz tatka latka, bądź jeszcze lepiej później jesieni, kiedy podobno te potrzebne coś być może znów pojawi się w sklepach.

Nie ma wideł, szpadli, rur, tak zwanych szlauchów, papy, blachy, gwoździ o pożądanych parametrach, muterek (może ktoś gdzieś widział muterkę z motylkiem, nie oddam królestwa za muterkę, bo nie mam królestwa, ale mogę wyasygnować parę złotych), no i tak dalej, i tak dalej. Większość pożądanych dóbr można wprawdzie — przepłacając cokolwiek — nabyć na rynku, bądź — użyjmy eufemizmu — zorganizować, niestety nie mam z czym włączyć się do gry, bo w mojej macierzystej firmie mogę zorganizować co najwyżej papier do maszyny, a i to w lichym gatunku.

4.

Iżby jednak ten felietonik nie wyglądał na brzydki donos do organów ścigania, w obronie po. Japończyków tak dzielnie tyrających na polskich działkach zacytuję piękny dwuwiersz z Franciszka Villona:

„Potrzeba ludzi pcha do zbrodni,
a głód wygania wilki z boru".

Tak, tak, panie prokuratorze, ja rozumiem, że nie należało kraść tej muterki z motylkiem, ale za cholerę nie mogłem jej kupić. Iżbym mógł kupić, należało ją wyprodukować, a kiedy i kto miał produkować, gdy wszyscy stali w kolejkach, a ci najpracowitsi — z braku szlaucha — podlewali akurat działkę konewką!?

JERZY P.

3 Lewym okiem

Ręce opadają

Poczucie bezsilności jest chyba jednym z najgorszych stanów psychicznych. Ludzie wrażliwi, dostrzegający nawet mimo woli co krok i co chwile przejawy głupoty, lenistwa, niechlujstwa i napiętej chamskiej złośliwości, a czujący przy tym swoją całkowitą bezsilność — tacy ludzie nie mają łatwego życia. Są przecież permanentnie w stanie, o którym się mówi: „diabli mnie biorą".

Nic nie mogę poradzić na ruinę, w jaką na oczach nas wszystkich pogrążają się nasze parki, zieleńce i skwery. Nie mogę tego nie widzieć, ale cóż poradzę, skoro tyle tysięcy ludzi widzi to samo i uważają, że klawo jest, że wszystko w porządku; i wcale ich to nie obchodzi — ani tych przechodzących, ani tych, którzy z mocy społecznych wyborów posiadają mandat na utrzymywanie ładu, zapobieganie nieporządkom i likwidowanie ich skutków.

Już chyba ani jedna ławka, w żadnym parku łódzkim, nie stoi normalnie na skraju alejki. Wszystkie poprzenoszono w głąb trawników, w gęste krzaki, pod drzewa. Do każdej z nich, oczywiście, kto chce idzie beztrosko najkrótszą drogą, a więc najbierw każda ławka jest punktem docelowym dwudziestu dróg wydeptanych przez trawnik, potem wokół każdej tworzy się zdeptane do dziesiątej skóry klepisko usłane śmieciem, szkłem i niedopałkami, a potem już w ogóle trawników nie ma, tylko cały skwer staje się takim właśnie brudnym klepiskiem. Dozorców w żadnym parku nikt nigdy nie uwidzi. Nie ma takiego pojęcia. Pewnie znów „brak motywacji".

Młodzi ludzie zniecierpliwieniem i złością reagują „na każde wspomnienie, jak to „kiedyś" było. Ale cóż — to najprawdziwsza prawda: doskonale i z całą dosadnością pamiętam, że na skraju trawnika my dzieci sprzed półwiecza stawaliśmy jak nad brzegiem głębokiej wody. Tam nie było wolno wejść! Do biegania były alejki i place. Jeśli piłka wpadła na trawę, czekało się, dopóki pan dozorca nie skinął przyzwalająco głową, żeby po nią pójść. Baliśmy się dozorcy? Dlaczego? Żaden z nich nigdy mnie nie uderzył, nie widziałem też żeby uderzył inne dziecko. I jego też nikt nie uderzył, chociaż tacy stróże parkowi to byli starzy, niemocni ludzie, nie mieli psów, mieli tylko kijki z gwoździami do podnoszenia papierów. I podnosili te papiery i było czysto. I nie bali się, że dostaną po głowie, co niechybnie czekałoby ich dzisiaj, gdyby ośmielili się zwrócić komukolwiek uwagę. Chciałbym dożyć powrotu tamtych parkowych obyczajów.

Żeby można było przechadzać się, przysiąść tu i ówdzie z gazetą czy dla pogawędki, żeby pachniały kwiaty i świeże liście i żeby ze wszystkich stron nie było słychać ohydnego języka. Żeby po krzakach nie miętosiły chłopaków dziewczyny (właśnie tak, taki nastaje podział ról...) i nie szarpali się za klapy zwaśnieni kolesie przy odbijaniu któregoś tam litra.

Absolutna bezsilność. Niegdawno na łódzkich przystankach tramwajowych i autobusowych rozwieszono nareszcie trasy poszczególnych linii. Już ich nigdzie nie ma. Do jasnej Anielki — po co właściwie taki dureń podchodzi i starannie zrywa taką kartkę, co on z tego ma za przyjemność, na czym to zboczenie polega? Co prawda wywieszki były wątlutkie, od samego słońca stawały się po dwóch dniach nieczytelne, ten kto je wymyślił, też nie grzeszył nadmiarem rozumu. Ale na przystankach PKS w całym kraju były tablice solidne, z blachy. I też ich nigdzie nie ma. Stoi tylko słupek i poza stałymi klientami nikt się nie dowie co tu przystaje, kiedy, w którą stronę jedzie. Trudne, och, jakie trudne jest życie w tym kraju!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4 Sport

Straszna rzecz — pieniądze

Ktoś się martwił niedawno, że nasi olimpijscy piłkarze nie popisali się w Ameryce Południowej i ich los w przedolimpijskich eliminacjach czarno wygląda. Byłoby to może i zmartwienie, gdyby nie pewien drobiazg, o którym różni działacze sportowi i kibice na ogół chętnie zapominają. Otóż olimpijskie przepisy zabraniają brać udział w rozgrywkach tym, którzy utrzymują się ze sportu, a więc zawodowcom. Tylko, kto dziś nie utrzymuje się ze sportu? Myślę oczywiście o zawodnikach, o sportowcach. Lekkoatleci też przecież nie pracują, nie uprawiają sportu amatorsko, po pracy, w wolnych chwilach i jakoś nikt tego nie kwestionuje.

Skoro jednak nasi piłkarze — i to nie tylko ci z pierwszej czy drugiej ligi — traktowani są jako zawodowcy, to rzeczywiście może powstać kłopot, kto pojedzie na zawody olimpijskie. Ale ja bym się tym nie martwiła zbytnio. Oto bowiem niedawno objawili się prawdziwi amatorzy. „Lato z radiem" pokonało „Trójkę" 4:2 i to już po raz drugi. Myślę, że z obu drużyn da się skompletować piękną jedenastkę, która wstydu nam nie przyniesie. A przy okazji jeszcze usłyszymy i w „Lecie z radiem", i w „Trójce" piękne reportaże z Olimpiady. Opłaci się więc to podwójnie. No i mamy po zmartwieniu.

Wszakże niektórym kibicom, a i działaczom również, nigdy nie jest za mało zmartwień. Nie mam wątpliwości, że nikt mojej propozycji zastąpienia piłkarzy dziennikarzami radiowymi nie potraktuje serio, a szkoda, bo byłoby to ciekawe. I można by to nazwać eksperymentem. Ale wszyscy nadal będą się martwili przyszłością naszej olimpijskiej reprezentacji, bo zmartwienia o zakwalifikowanie się do mistrzostw Europy mamy już raczej z głowy. A o coś trzeba się przecież martwić. Ostatnio wszyscy zaczęli liczyć i martwić się o klubowe pieniądze.

Najpierw było bardzo źle, że wszelkie transfery są utrzymywane w tajemnicy. Wszyscy byli za jawnością. I oto stało się. Znane już są zmiany w klubach. Z RTS Widzew odeszli: Mirosław Tłokiński do Lens, Krzysztof Surlit do Nimes, Zdzisław Rozborski do Stade Reims, Andrzej Grębosz do Oldenburga w RFN. Z ŁKS za granicę wyjeżdżają Mirosław Bulzacki i Andrzej Milczarski. Z Lecha do St. Etienne przechodzi Janusz Kupcewicz, a do amerykańskiej drużyny Pittsburg Sprit odchodzi Piotr Mowlik. Do Pittsburga też odchodzi Zbigniew Kapka z krakowskiej Wisły. Ale do wyjazdów za granicę już zdążyliśmy się przyzwyczaić. I wiemy, że kluby te płacą za naszych piłkarzy różne okrągłe sumy, w dewizach na ogół. To jakoś nie budzi sensacji. Nie mówi się też głośno, że niektórzy nasi piłkarze „kupowani" są za skromne raczej sumy, choć w klubach tych — jak choćby Andrzej Szarmach — bardzo się jeszcze przydają i odgrywają tam znaczne role.

Sensacje budzą natomiast krajowe transfery. Z GKS Katowice przeszedł do RTS Widzew Jerzy Wijas i widzewski klub zapłacił za ten transfer 8 milionów złotych. Wielkość tej transakcji podały gazety i na tym skończyło się. Ale oczekiwano z niecierpliwością ujawnienia szczegółów transakcji związanej z przejściem Dariusza Dziekanowskiego ze stołecznej Gwardii do... No właśnie! Dariusz Dziekanowski był przedmiotem westchnień dwu klubów: RTS Widzew i CWKS Legia. Trener Jerzy Kopa ze stołecznej Legii powiedział Andrzejowi Bilińskiemu z „Trybuny Ludu":

— Sprawa rozstrzygnie się niebawem na szczeblu znacznie wyższym niż klubowy. Nie ukrywam, iż mam nadzieję, że z korzyścią dla mojej drużyny. Dziekanowski pełni obecnie służbę wojskową, więc byłoby dziwne, gdyby zaczął grać w klubie cywilnym. Poza tym mieszka w Warszawie, tu ma rodzinę, tu też będzie mógł kontynuować studia. A w Legii będzie miał także szansę pokazać na co go stać, a stać go na wiele.

No i pięknie. Aliści okazało się, że RTS Widzew zaoferował 21 milionów za przejście Dariusza Dziekanowskiego na 5 lat do Łodzi. I zaczęło się. Nikt nie podzielił 21 przez 8, co daje 2,625, czyli 2 miliony 625 tysięcy rocznie, a tyle mniej więcej płaci się za przejście mało liczącego się zawodnika, który dopiero ma się pokazać na ligowym boisku. A jest to związane z ryzykiem i może być transkacją tylko na rok. O co więc ten krzyk?

Krzyk wszakże spowodował, że GKKFiS nakazał PZPN zbadanie prawno-finansowe zasad tej transakcji. Szkopuł w tym, iż — jak to 30 czerwca 1983 roku na łamach „Życia Warszawy" oświadczył sekretarz generalny PZPN, Zbigniew Kaliński — „Obowiązująca obecnie dowolność ustalania takiego ekwiwalentu przez kluby wynika bezpośrednio z systemu zawierania umów — kontraktów. Jest to rezultat daleko idącej samodzielności klubów. Taką politykę przyjął PZPN". No więc teraz, tenże PZPN ma zrobić coś — zgodnie z wolą GKKFiS — co jest sprzeczne z ustalonymi przez niego zasadami. Przyznam bez bicia, że czegoś tu nie rozumiem. Nie rozumiem tym bardziej, że tenże Zbigniew Kaliński zgadzając się, że wysokość niektórych sum niepokoi, przyznaje przecież, że PZPN ma „możliwości działania bardzo ograniczone". I mówi dalej: „Dajemy klubom samodzielność finansową i jeśli tylko dysponują one prawdziwymi, a nie „lewymi kasami", to są wobec przepisów w porządku".

Ciekawa jestem jak się zakończy sprawa Dariusza Dziekanowskiego, 21 milionów, Widzewa oraz będącej nadal w cieniu, CWKS Legii? Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła się dowiedzieć, na jakiej zasadzie prawnej — wobec słów sekretarza generalnego PZPN — opierała się interwencja GKKFiS? Marzenia — jak widać — mam skromne.

BOGDA MADEJ

PS. Ostatnia decyzja GKKFiS sprawę poruszaną w felietonie rozstrzygnęła ostatecznie. Po zbadaniu legalnych wpływów i wydatków klubu uznano, że RTS „Widzew" ma zdolność prawno-finansową do zapłaty GKS „Gwardia" kwoty 21 mln zł z legalnego źródła za przejście piłkarza D. Dziekanowskiego.

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (z-ca sekretarza redakcji), **Igo Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), **Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11 kod 90-438 Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652 44 sekretarz redakcji 680 93 publicyści 677 70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo do skrótów informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę otrzymuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2076/33 L-11.

KIEDY BOLI GŁOWA

Czy to już migrena?

Rozmowa z prof. ANTONIM PRUSIŃSKIM, przewodniczącym sekcji badań nad migreną Polskiego Towarzystwa Neurologicznego, kierownikiem Kliniki Neurologicznej łódzkiej Akademii Medycznej.

— Czym jest ból, czy w ogóle odpowiedź na takie pytanie jest dziś możliwa?

— Pewne rzeczy, które przeżywamy codziennie są trudne do definiowania. Trudność określenia czym jest ból jest podobna do trudności określenia czym jest życie. Propozycja zdefiniowania takich pojęć jest czasem dość zaskakująca. Oczywiście są różne definicje bólu, ja sam swojej własnej dotąd nie utworzyłem. Uważa się ból za złożone przeżycie psychiczne, które może być wywołane bodźcem bólotwórczym, ale jest też modulowane na wyższych piętrach układu nerwowego, stąd intensywność przeżycia niekoniecznie musi być proporcjonalna do siły działania bodźca. Jest to przeżycie o zabarwieniu przykrym, którego osoba doznająca stara się pozbyć jak najprędzej. Przecież to sygnalizuje zwykle jakiś szkodliwy dla organizmu bodziec, który pochodzi z zewnątrz lub z wewnątrz naszego ciała. Dzieli się na ból fizjologiczny, spowodowany działaniem bodźców fizjologicznych, takich jak na przykład ukłucie szpilką a więc nie związanych z chorobą; taki ból jest krótkotrwały i jest mniej modulowany przez wyższe ośrodki nerwowe. Druga postać bolu to ból patologiczny, który powstaje przez działanie bodźców chorobowych i ten jest bardzo modulowany przez wyższe ośrodki kontrolujące te przeżycia. Takie wyższe ośrodki mają chyba za zadanie, to nie jest zupełnie jasne, osłonić człowieka, jego psychikę, przed nadmiernymi przeżyciami bólowymi. Ale ta modulacja ma w sobie i szkodliwe elementy, bo może działać też w odwrotnym kierunku: nasilać bodźce bólowe wskutek doświadczenia poprzedniego.

— Czy to znaczy, że ludzi, których już coś bolało później będzie bolało bardziej?

— To nie jest takie proste. Już Richet w XIX wieku powiedział, że nie istnieje pamięć uczuć, że uczucie może być pamiętane jako fakt, ale pamięć nie odtwarza jego zabarwienia. Powiedziałbym, że nie tyle poprzednie przeżycie, ile lęk przed bólem może na ten ból wpływać. Sądzę, że im lepiej się człowiekowi żyje tym łatwiej odczuwa ból, tym gorzej go znosi. I dlatego zwalczanie chorób połączonych z trwałym bólem, takich chorób, których istotę stanowi właśnie ból, rozwinięte jest najlepiej w społeczeństwach bogatych, gdzie ludzie bardzo wygodnie żyją i ten ból im przeszkadza.

— Czy ból można zmierzyć?

— Dotąd nie udało się ściśle zmierzyć bólu i dlatego jest on taki trudny do oceny. Jest or przeżyciem subiektywnym i dlatego możemy się opierać tylko na tym, co chory nam powie. Możemy mu przedstawiać jakieś wzorce, aby porównał ból odczuwany w tej chwili z jakimś innym, który też przecież znamy tylko z jego relacji.

Gdy zajmujemy się leczeniem bólów głowy nie jesteśmy w stanie powiedzieć, na ile nasi pacjenci naprawdę się poprawili. Dlatego np. w ocenie jakiegoś leku wolimy takich pacjentów, którzy mają napady bólu i po podaniu leku możemy powiedzieć: miał napad czy go nie miał. Można wtedy bardziej zobiektywizować, ale jeśli słyszymy: „miałem znów ból, ale słabszy" to już jest to bardzo subiektywne.

Zwykle lekarz bada chorego przy pomocy ekg, badań laboratoryjnych krwi, prześwietleń rentgenowskich i bez nich ani rusz. Przy migrenie i innych bólach głowy jest inaczej...

— Opieracie się głównie na wywiadach...

— Tak, na rozmowach z chorymi, to jest główne narzędzie badania.

— A czy ludzie umieją opowiadać o swoim bólu?

— Niektórzy tak, inni zupełnie nie. Trzeba im wtedy pomóc, a pomoc ta jest zwykle obosieczna, bo z jednej strony umożliwia nam rozpoznanie a z drugiej strony podpowiada pewne sugestie choremu. Chory się mniej lub bardziej tym sugestiom poddaje i może dać nam informacje w części nieprawdziwe.

— Idąc dalej tropem rozważań jak zachowują się ludzie wobec bólu, jakie są reakcje, jak sobie radzą?

— Dobrze opisuje to krzywa w kształcie dzwonu. Najwięcej jest osób o średnim nasileniu reakcji, dużo mniej przy obydwu biegunach. Niewielka część ludzi reaguje bardzo gwałtownie, bardzo żywo: rozpacza, płacze, narzeka, woła o pomoc. Część zaś odnosi się do swego bólu bardzo spokojnie i to czasem aż budzi w nas niedowierzanie: czy ci ludzie faktycznie mają bóle czy tylko o nich mówią.

Te bóle, z którymi spotykamy się w naszej klinice przy leczeniu migreny nie są chyba aż tak bardzo intensywne. To, że są męczące wynika raczej z ich powtarzalności albo długotrwałości, albo z tego, że pojawiają się w najmniej dla pacjenta odpowiednich momentach. Na migrenę się nie umiera, nie doprowadza też ona do kalectwa.

— Przy leczeniu migreny i lekarz i pacjent powinni wykazać dużo cierpliwości. Tu żadnych cudów nie ma?

— Zasadniczo nie. Zwykle stosuje się jeden lek, gdy on nie pomaga drugi, potem trzeci, czwarty i trzeba chorego na to przygotować. Leków przeciwmigrenowych jest sporo, ale jak dotąd nie potrafimy odróżnić, który z nich dla danego pacjenta będzie skuteczny. To jest problem kapitalny. Wiemy, że po podaniu pierwszego leku u połowy pacjentów wystąpi poprawa. Tej drugiej połowie musimy podać inny lek i znowu połowa z nich się poprawi. Z kolei pozostałym trzeba zaordynować trzeci lek z podobnym skutkiem. Tych, którym pomaga trzeci lek trzeba było od razu nim leczyć, ale tego właśnie nie potrafimy, jak dotąd, przewidzieć. A to dlatego, że mechanizm napadu migrenowego jest wciąż dla nas niejasny, znamy tylko pewne fragmenty procesów, jakie zachodzą w czasie napadu, ale nie wiemy, czy to są tylko jego następstwa czy to sama jego istota tak się ujawnia. Również mechanizm działania leków przeciwmigrenowych jest nie całkiem znany.

— To znaczy, że wprowadzamy do organizmu pacjenta jakiś lek, nie bardzo wiemy co się z nim dzieje, a potem patrzymy czy jest skutek, czy nie ma?

— To jest bardzo złośliwe powiedzenie, ale w medycynie, gdyby się przyznać, to tak właśnie jest. Większość leków, poza niektórymi, działa w ten sposób, że mechanizm działania jest dla nas niejasny. My tylko przypuszczamy, że one działają tak a nie inaczej, ale nie jest wykluczone, że mechanizm ten jest zupełnie inny.

Oto przykład. Powszechnie używany jest w leczeniu migreny pizotifen. Wprowadzając go uważano, że działa on antagonistycznie na pewną substancję wytwarzaną w organizmach także i zdrowych ludzi pod nazwą serotonina, a która z kolei podejrzewano o odgrywanie istotnej roli w wywoływaniu napadów migrenowych. Dziś się już tak nie sądzi, co więcej, myśli się nawet, że lek ten działa na zupełnie innych zasadach a mimo to nadal się go stosuje, bo jest skuteczny.

— Według różnych statystyk przyjmuje się, że od 3 do 10 procent wszystkich ludzi cierpi na migrenę. To duża różnica — 3 procent czy 10.

— Wynik zależy od tego, jaką metodą poszukuje się chorych na migrenę w populacji, jaką się przyjmuje definicję choroby, kto to robi, wśród jakich ludzi itp. Wobec tego wyniki nie mogą być jednakowe. Myśmy próbowali, za naukowcami duńskimi, przeprowadzić badania wśród lekarzy, ponieważ sądziliśmy, że wywiady wśród nich będą najprecyzyjniejsze. Stwierdziliśmy około 12 procent chorych na migrenę w tej grupie. W czasie jednego z sympozjów na temat migreny prezydium liczyło 12 osób i 4 spośród nich cierpiały na tę chorobę. Ale może to zbieg okoliczności.

— A może to jest choroba ludzi wybitnie inteligentnych. Na migrenę cierpieli: Cezar, Beethoven, Marks, Nobel, Heine, Chopin, Wagner, Nitzsche i Freud.

— Cezar jest w podręczniku historii a pana Kowalskiego tam nie ma i dlatego nie wiemy, że cierpi na migrenę.

— Czy migrena jest chorobą?

— Po latach badań doszedłem do wniosku, że chyba nie, ale nie jestem tego wniosku stuprocentowo pewien. Napisałem ostatnio książeczkę o migrenie, poradnik dla chorych. Pisałem z myślą o tym, żeby chorym ułatwić orientację we własnym cierpieniu i umożliwić dobrą współpracę z lekarzem. W książce tej przyjąłem stanowisko, które jest podtrzymywane przez wielu, że nie jest to choroba w takim znaczeniu jak na przykład grużlica czy wrzód żołądka, ale skłonności do pewnych reakcji naczyniowych, biochemicznych, na rozmaite czynniki zewnętrzne, która sięga trochę poza granice przeciętnej normy.

— Kilka lat temu pisał pan w swojej książce „Migrena" jeszcze nieśmiało: „Migrena być może nie stanowi choroby w sensie nozologicznym, lecz wariant normy w zakresie reagowania na bodźce zewnętrzne i wewnętrzne".

— O właśnie. Pojedyncze napady migrenowe zdarzają się u wielu ludzi, którzy się z tym w ogóle do lekarza nie zwracają. Jest to zrozumiałe, bo jeden napad zazwyczaj nie wywołuje niepokoju. Można chyba powiedzieć, że u wszystkich mogą być takie pojedyncze napady lecz tylko niewielka grupa ma je stale i to są właśnie „chorzy" na migrenę.

— Czy można to rozumieć w taki sposób: pewien zespół bodźców działa na wszystkich, jeśli przekroczy pewną barierę, u niektórych wywołuje pojedynczy napad, a u innych, coś w rodzaju choroby czyli powtarzające się napady, jednostronnego zwykle, bólu głowy?

— Tak by to trzeba rozumieć, ale musi jeszcze być w samym człowieku jakiś mechanizm, który po zadziałaniu bodźców „uruchamia" ból głowy.

— Wynikałoby z tego, że migrena jest chorobą dnia codziennego, wywoływaną przez czynniki występujące w życiu codziennym?

— Tak, tylko że nie wiadomo dziś jeszcze jaki jest mechanizm działania tych czynników, znamy tylko ich skutek. Podstawowe pytanie brzmi: dlaczego u niektórych osób dość dokładnie zinwentaryzowane już czynniki wywołują bóle głowy, a u innych nie. Dochodzi tu jeszcze jedna sprawa — migrena jest chorobą o podłożu dziedzicznym. To nie ulega wątpliwości. Najprawdopodobniej dziedziczy się ten właśnie typ reakcji, ten a nie inny. Przystępując do leczenia trzeba przede wszystkim wykryć u danej osoby czynniki, które powodują napady. Czasem sam chory je zna, czasem trzeba ich długo szukać. Wykrycie powoduje często możność ograniczenia ich występowania, po prostu unikania ich.

— Jest to dobry moment do zapytania o przyczynę pańskiego zainteresowania tą właśnie dziedziną medycyny.

— Do klasyków światowych badań nad migreną należy warszawski neurolog, Edward Flatau, który jeszcze przed I wojną światową, w 1912 roku, opublikował piękną książkę o migrenie, która jest do dzisiaj cytowana na całym świecie.

— A co w ustach profesora medycyny, mówiącego o książce innego uczonego znaczy przymiotnik „piękna"?

— Bo nie tylko daje informacje, ale przedstawia problem. Tak że go widać. To tak jak piękny obraz, który nie tylko przedstawia, ale i pozwala widzieć namalowany na nim krajobraz.

Otóż twórca tutejszej kliniki neurologicznej, profesor Herman, którego 90-lecie niedawno obchodziliśmy, jest uczniem Flataua a zarazem moim nauczycielem. Po ostatniej wojnie profesor Herman również zajmował się nieco migreną, napisał nawet książkę o bólach głowy. Inspirowany tym wszystkim postanowiłem zająć się migreną.

W 1974 roku utworzyliśmy przy klinice ośrodek leczenia migreny, postaraliśmy się, by Polskie Towarzystwo Neurologiczne powołało sekcję badań nad migreną, publikowaliśmy wyniki badań w kraju i za granicą, zaczęliśmy zwoływać międzynarodowe sympozja — piąte było przed kilkoma tygodniami — nawiązaliśmy kontakt z ośrodkami za granicą. I w ten sposób sprawa się rozwinęła. Przyjmujemy wszystkich tych, których do nas kierują lekarze i albo zatrzymujemy ich w naszym ośrodku albo po udzieleniu porady prosimy, by leczyli się tam, gdzie dotąd, ponieważ z braku lekarzy i pomieszczeń nie jesteśmy w stanie zajmować się dłużej wszystkimi. Jest to jedyny tego typu ośrodek w Polsce i o ile wiem jedyny w krajach socjalistycznych.

— Sposoby leczenia migreny są bardzo różne: psychologiczne, fizyczne, farmakologiczne...

— Bazujemy nie tylko na lekach krajowych. Dostajemy do wypróbowania leki, które zaczęto stosować za granicą, a również sami wprowadzamy pewne nowe środki. Nie są to leki, które zostały wyprodukowane przez nas, a leki znane już i stosowane do innych celów, lecz o takich właściwościach, które po ich dokładnym poznaniu wskazują, że mogłyby być one spożywane przy leczeniu migreny.

Nie ma dotąd w migrenie środka niezawodnego, dlatego wciąż się szuka czegoś lepszego. Przypuszczam, że nie jest to droga, na której uzyskamy pożądane rozwiązanie, ale na razie jedyna. Prawdopodobnie takie rozwiązanie zostanie odnalezione wtedy, kiedy istota migreny zostanie wykryta, jeśli w ogóle to się kiedyś stanie.

W świetle tego, co powiedzieliśmy o naturze migreny bardzo ważne jest oddziaływanie na psychikę pacjenta w celu zmiany jego sposobu reagowania na bodźce zewnętrzne, a także wpływanie na jego reagowanie na życie. Dostałem ostatnio z RFN bardzo ciekawą książkę, zupełnie odmienną od tych, które do tej pory na temat migreny czytałem, książkę napisaną przez lekarza i psychologa. Pracą w dużej części jest poświęcona badaniom osobowości ludzi, którzy mają napady migrenowe. Zwykle są to ludzie bardzo ambitni, którzy każde niepowodzenie czy nawet drobne przeszkody przeżywają bardzo intensywnie. Gdyby przestawić ich sposób myślenia o życiu, o powodzeniu, o karierze na inne nieco tory może by nie reagowali tak ostro? No i wtedy można by uniknąć leków.

— Chodzi o to, by zareagowali na kłopoty, na stres inaczej?

— Żeby sobie powiedzieli: nie jest to przecież takie ważne, że pan X spojrzał na mnie krzywo. To oczywiście łatwo mówić. Tam, w Tuebingen, gdzie powstała ta książka, podobno mają już pewne rezultaty.

— Ale czy ten, kto zrobi z ambitnego pacjenta „tumiwisistę" to jest dobry lekarz?

— Ambitnym musi ten człowiek pozostać nadal, tyle że te ambicje powinien zacząć realizować w działaniach twórczych w życiu, a nie w napadach bólu głowy...

—W waszym ośrodku stosujecie też psychoterapię, akupunkturę...

— Psychoterapię tylko na tyle, na ile pozwalają nam nasze bardzo skromne środki i mała liczba pracowników. U nas lekarz przyjmuje przeciętnie kilkudziesięciu pacjentów dziennie. A np. w Szwajcarii w klinice lekarz przyjmuje czterech rano i czterech po południu. Pacjenci przychodzą o wyznaczonej porze i są z lekarzem czy psychologiem godzinę. Psycholog nie może mieć na pacjenta pięciu, dziesięciu czy nawet piętnastu minut, ale tyle ile akurat w danym przypadku potrzeba.

Akupunktura natomiast — stosowana u nas dość szeroko — jest to wykorzystanie jeszcze jednego narzędzia z arsenału medycznych działań fizykalnych. Gdyby tak uszeregować zabiegi medyczne to najwyższym piętrem jest chirurgia — wciąż jest ona królową — potem stoją leki, a więc działania farmakologiczne i wreszcie metody fizykalne, gdzie stosuje się np. prąd elektryczny czy bodźce termiczne. I do tej właśnie grupy należy akupunktura w europejskim wydaniu. Bo, pamiętajmy, ma ona dwa oblicza. Z jednej strony działanie fizyczne, które nie stanowi większej tajemnicy niż działanie leków, a z drugiej oblicze metafizyczne całe ogromnie rozbudowane tło, które powstało na Dalekim Wschodzie i które w Europie jest obecnie nie do przyjęcia, ponieważ my zupełnie inaczej patrzymy na organizm ludzki niż ludzie Wschodu.

— Czy można wyleczyć migrenę?

— Odpowiedź jest bardzo trudna i nie może być jednoznaczna. Znam pacjentów u których migrena ustąpiła i przez wiele lat nie wraca...

— Ale nie można powiedzieć ze stuprocentową pewnością, że są to ludzie wyleczeni...

— Zgodnie z tym, co wcześniej powiedzieliśmy migrena nie jest chorobą lecz typem reakcji i dlatego napady mogą wrócić. Znam też takich, u których była remisja a potem nawrót. Można więc powiedzieć, że w migrenie uzyskuje się dłuższą lub krótszą remisję, to znaczy dłuższe lub krótsze ustąpienie objawów. Ale nie udaje się to u wszystkich, niestety. Są chorzy bardzo oporni, żaden lek im nie pomaga, a my nie wiemy dlaczego. Może to jest coś innego niż migrena?

Mimo iż bóle głowy są znane od tysiący lat a dokładnie badane co najmniej od 150-ciu nawet nie wszystkie postacie tych bólów zostały dotąd opisane. Ostatnio na przykład wykryto dwie nowe formy bólów głowy. Ciekawsza z nich to opisana przez naszego niedawnego gościa, profesora Sjaastada z Norwegii, przewlekła napadowa hemikrania. Nazwa bardzo niezręczna, ale przyjęła się na świecie. Opisano już kilkadziesiąt jej przypadków, myśmy mieli też już dwa w naszej klinice. To jest rzeczywiście nowy typ bólów głowy przypominający niektórymi cechami tak zwany ból głowy Hortona. Cierpią nań wyłącznie kobiety, a napady można niezawodnie usunąć podając lek pod nazwą Indometacyna. Powiem panu jak Sjaastad to wszystko odkrył.

Rozpoznał u pewnych chorych ból głowy Hortona i podał im Indometacynę, bo chciał uzyskać kolejny dowód na to, że w bólu głowy Hortona ten lek nie pomaga. Tymczasem objawy natychmiast ustąpiły co wszystkich zdziwiło, no i naprowadziło na myśl, że musi to być zupełnie inna choroba.

— Po tym wszystkim, co pan mówił o migrenie chciałbym prosić o odpowiedź na następujące pytanie: czy zajmuje się pan chorobą, którą można by, trochę przesadnie, nazwać drobną niedogodnością przesublimowanej cywilizacji?

— Muszę powiedzieć, że mam czasami takie uczucie. Sądzę, że i niektórzy neurolodzy tak myślą. Ale wynagradza mi to pomoc, jaką może przynieść pacjentom, którzy bardzo cierpią. Na przykład dwie pacjentki, u których wykryliśmy chorobę opisaną przez Sjaastada, były od kilku lat bezskutecznie leczone. Trafiły do nas i na drugi dzień, natychmiast, były już bez objawów. Chory, który ma napad co tydzień, w ciągu roku ma ich 50, a przez 10 lat ponad 500. To znaczy, że jest przez tyle dni wyłączony z efektywnej pracy, że jest pozbawiony wszelkich przyjemności, że cierpi.

Dodam jeszcze, że chociaż zajmuję się szczególnie migreną, nadal jestem neurologiem, nie przestałem i nie przestanę nim być.

— A teraz inne pytanie, będące też wnioskiem z naszej rozmowy. Zadmę teraz w dużą dudkę i może pan profesor sprowadzi mnie na ziemię, a może nie. Czy jeśli medycyna będzie wiedziała coraz więcej rzeczy naprawdę ważnych, poznawała prawdziwe przyczyny, prawdziwe oddziaływania zewnętrzności na wnętrze i odwrotnie, to czy wtedy badania nad migreną, czyli nad jednym z bardzo popularnych sposobów reakcji organizmu na świat, nie znajdą się przypadkiem w tym głównym nurcie?

— Myślę, że badania nad migreną doprowadzą do jakichś rezultatów, które będą mogły być przeniesione na inne, bardzo odległe od migreny, a zarazem ważne, sprawy chorobowe. Bo badania nad migreną prowadzą do badań nad bólem w ogólności, tym najważniejszym przecież sygnałem alarmowym organizmu, do badań nad reakcjami ludzi na ból, nad substancjami bólotwórczymi, które mają i poza migreną kolosalne znaczenie. Badania nad migreną łączą się z badaniami osobowości tych chorych i ich odmiennej reaktywności, poznaniem wzajemnej zależności człowieka i świata...

— A więc ten główny nurt będzie szedł w kierunku badań nad osobowością pacjenta, sposobem życia, oddziaływania na chorego słowem a nie tylko wypisaniem recepty?

— Sądzę, że tak.

Rozmawiał: KRZYSZTOF KRUBSKI